

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

PARANORMAL

SHARON SALA
NIEŚMIERTELNY

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

PARANORMAL



SHARON
SALA

NIEŚMIERTELNY



Sala Sharon

Nieśmiertelny

XVI wiek

Hiszpańscy najeźdźcy pod wodzą Antonia Vargasa, owładnięci chciwością i żądzą krwi, napadają na spokojną indiańską wioskę. Mordują wszystkich mieszkańców, nie oszczędzają kobiet ani dzieci. Z życiem uchodzi jedynie młody wódz o imieniu Nocny Wędrowiec. Nie spocznie, dopóki nie dokona zemsty na zabójcach. Pomoże mu w tym niezwykle dar – nieśmiertelność...

XXI wiek

Zemsta wreszcie się dopełni. Po wiekach tułaczki Nocny Wędrowiec jest bliski celu. Miliarder Richard Ponte, duchowy spadkobierca Antonia Vargasa, musi zginąć. Nocny Wędrowiec zdobywa zaufanie jego córki, nie ma skrupułów ani wątpliwości. Liczy się z tym, że skrzywdzi niewinną dziewczynę. Jednak przewrotny los wyznaczy mu zupełnie inną rolę...

PROLOG

Ameryka Północna Początek XVI wieku

Night Walker, czyli Nocny Wędrowiec, młody wódz szczepu Żółwia i przyszły następca starego przywódcy, stał na cyplu nieopodal swojej wioski i spoglądał na wielką wodę. Był dzielnym wojownikiem, skończył dwadzieścia dziewięć wiosen, miał ostro wyciosaną twarz, szerokie bary i twarde mięśnie. Z każdym porywistym podmuchem wiatru jego gęste, czarne włosy unosiły się z ramion jak skrzydła kruka, a nozdrza drgały w napięciu.

Od wielu dni miał wizje, które zakłócały mu sen. Krwawe, okrutne majaki nieodmiennie kończące się śmiercią. Czuł, że to zły znak, dlatego stał na warcie, w miejscu górującym nad osadą. Wyższy o głowę od reszty mężczyzn ze szczepu Żółwia, dostrzegał w dali więcej niż inni. Wpatrywał się w spiętrzone fale i wiedział, że nadejdzie sztorm. Nagle przyroda zamarła, powietrze stało się dziwnie rześkie. Nocny Wędrowiec poczuł, że zaraz coś się wydarzy. Podobnie jak w snach, ogarnęło go napięcie. Czekał.

Stał twardo na skale, wystawiając twarz na gniewne podmuchy wiatru, starając się dojrzeć cokolwiek pod brzuchami pędzących nisko ciemnych chmur. Nagle niebo rozświetliła błyskawica. Nocny Wędrowiec drgnął, każdym zmysłem wyczuwając zbliżające się niebezpieczeństwo.

Gdy uderzyła druga błyskawica, zobaczył dziwny kształt wyłaniający się zza przylądka. To była łódź, podobna do łodzi, którymi pływał jego lud, ale znacznie większa, z białymi skrzydłami wydętymi przez wiatr.

Nocny Wędrowiec zamarł w napięciu. Nigdy nic takiego nie widział. Niespokojne wody kołysały statkiem. Ludzie biegnący po pokładzie wyglądali jak małe robaczki. Serce podskoczyło mu do gardła, złe przeczucie się wzmogło.

Spojrzał w dół na swoją wioskę. Jego szczep nie spodziewał się niczego więcej prócz nadciągającego sztormu. Zobaczył swoją kobietę, Białą Sarenkę. Wyszła z wigwamu i walcząc z silnymi porywami wiatru, szła w stronę sągu drewna. Pewnie chciała osłonić zapas suchych szczap, nim spadnie deszcz. Była dobrą kobietą, bardzo dbała o jego wygodę. Na jej widok zawsze przyśpieszał mu puls. Była jego sercem, połową duszy, i nawet jeśli Wielki Duch nie zesłał im dzieci, kochał ją. Dopiero gdy znikła w sadybie, znowu spojrzał na wodę i przebiegł go dreszcz. Wielka łódź stała na środku zatoki, a trzy mniejsze, wypełnione dziwnie wyglądającymi ludźmi, zdążyły do brzegu.

Wiedział, po prostu wiedział, że stanowią śmiertelne zagrożenie dla jego szczepu. Zaczął szybko schodzić po stromym zboczu klifu. Chciał jak najszybciej ostrzec swój lud.

Antonio Vargas był piratem, okrutnikiem i chciwcem wciąż wietrzącym nowy łup. Od miesięcy dochodziły go plotki z Hiszpanii, że niejaki Colombo odnalazł nową drogę do Indii Zachodnich i odkrył ziemie bogate w rozmaite dobra, a strzeżone tylko przez dzikusów. Innymi słowy, skarb łatwy do wzięcia.

Vargas ruszył na poszukiwania tej cudownej krainy, lecz atak angielskiego statku korsarskiego zdziesiątkował załogę. Ci, którzy ocaleli, szczęśliwie zdołali uciec, kierując statek w przybrzeżną mgłę. Od tamtej pory żeglowali na zachód przez wiele tygodni. Od dawna nie widzieli ani innych statków, ani lądu.

Rejs trwał już ponad dwa miesiące. Vargas zaczął się obawiać, że podjął złą decyzję, ale wtedy właśnie w oddali dostrzegli ląd. Był na to najwyższy czas. Ludzie ślaniali się, cierpieli na dyzenterię, potrzebowali świeżej wody i żywności. Ląd był dla nich zbawieniem, ale gwałtowny wiatr pchał ich do brzegu zbyt szybko. Vargas wykrzykiwał rozkazy, popędzał marynarzy i zdołali bezpiecznie wprowadzić statek do zatoki.

Dopiero gdy zarzucili kotwicę, Vargas mógł spokojnie rozejrzeć się wokół. Zaraz za brzegiem, jeszcze przed ścianą lasu, leżała niewielka wioska. Powolny uśmiech wykrzywił mu twarz. A więc udało się. Odkrył nowy ląd! Po powrocie uznają go za dzielnego odkrywcę. Potrzebował tylko dowodu, takiego jak złoto, które według wszelkich pogłosek znalazł Colombo.

Kazał spuścić szalupy, obserwując przy tym brzeg przez lunetę. Widział, że dzikusy zbierają się w grupki i wskazują zatokę.

- Szybko! - wrzasnął. - Zauważyli nas!

Płynął na dziobie pierwszej z trzech łodzi. Zobaczył, że czterech mężczyzn zmierza do brzegu, a reszta tłoczy

się nieopodal, najwyraźniej zaciekawiona. Wiatr nadal był bardzo silny, spieniał wodę, czuć było nadciągającą burzę, ale dzikusy nie okazywały zaniepokojenia pogodą, więc i Vargas przestał o niej myśleć.

Po kilku minutach łódzie wbiły się w piasek. Vargas wskoczył do wody, nie zważając na silny wiatr i fale. Tuż za nim podążało trzech jego ludzi, głośno przeklinając pogodę, ale on myślał tylko o jednym. Na widok zbliżających się dzikusów ogarniała go niepohamowana chciwość.

Ich skóra była ciemna, choć nie tak jak u Maurów. W proste długie włosy mieli wplecione pióra i kawałki zwierzęcej skóry. Z zafascynowaniem wpatrywali się w jego ludzi i podchodzili coraz bliżej, nie bacząc na podmuchy wiatru.

Odruchowo położył dłoń na rękojeści szabli, ale potem przesunął ją na sztylet zatknięty za szerokim skórzanym pasem. Patrzył na ich prymitywną broń, przepaski biodrowe i uśmiech triumfu powoli rozpląwał mu się po twarzy. Był pewien, że zwycięstwo już jest jego. Kiedy podeszli bliżej, dostrzegł, że noszą naszyjniki z nieznanymi kamieniami, między którymi zdawało się połyskiwać złoto. W jego wyobraźni również małe skórzane woreczki na ich szyjach z pewnością zawierały cenny kruszec. W końcu gotów był nawet uwierzyć, że ich chaty wypełnione są złotem i diamentami.

Gdy pierwszy dzikus stanął przed nim i uniósł dłoń w geście powitania, Vargas drapieżnym ruchem sięgnął do woreczka zawieszzonego na jego szyi.

Wódz Dwa Kruki, starzec o mądrym wejrzeniu, był równie zaskoczony widokiem gości, jak Nocny Wędrowiec. Zgodnie z tradycją wyszedł, by ich przywitać,

jednak gdy przybysz bez słowa sięgnął po amulet, zdecydowanym ruchem odtrącił jego dłoń.

Vargas złośliwie wyszczerzył zęby i odezwał się do swoich ludzi:

- Widzicie, amigos, dzikus nie chce się dzielić! - Błyskawicznie sięgnął po sztylet i nim wódz zdążył zareagować, rozorał mu gardło, jednocześnie zrywając niewielki woreczek z jego szyi. Stary wódz skonał, w jego gasnących oczach widać było zdumienie, a krew trysnęła na pierś Vargasa. - Naprzód! - zakomenderował, dobywając szabli.

W tej samej chwili spadły pierwsze krople deszczu. Łupieżcy ruszyli ku wiosce, strzelając z pistoletów i zabijając każdego, kto stanął im na drodze.

Nocny Wędrowiec był w połowie stoku, gdy usłyszał krzyki i coś jakby krótkie grzmoty. Z bojowych okrzyków zrozumiał, że zostali zaatakowani. Przypomniały mu się senne wizje i strach przyśpieszył jego kroki. Burza rozpętała się na dobre, ale nie zwracał na to uwagi. Ostre, cierniste gałęzie boleśnie raniły twarz i pierś, ale deszcz szybko zmywał krople krwi. Nocny Wędrowiec nie czuł żadnego bólu. Przed oczami miał tylko twarz Białej Sarenki. Czuł, że zdarzyło się coś okropnego i nie zdoła już jej uratować.

Wreszcie wybiegł z lasu i to, co ujrzał, było gorsze niż jego wizje, bardziej krwawe od najgorszych koszmarów.

Wrogowie zabijali wszystkich z niezwykłym okrucieństwem.

Rozglądał się rozpaczliwie za współbraćmi, ale jedynymi żywymi, których dojrzał, byli obcy, w dzikim szale rabujący amulety z martwych ciał, jakby największą radość sprawiało im bluźnierstwo wobec duchów.

Zobaczył, jak wysoki brodaty mężczyzna unosi ciało Białej Sarenki, by zerwać z niej naszyjnik.

Litościwy deszcz zmywał krew z ukochanej twarzy.

Krzyknął z przerażenia, potem z wściekłości. Sięgnął do kołczana, nałożył strzałę i obrał cel. Grot przeciął strugi deszczu i przebił gardło najbliższego napastnika. Oczy wyszły mu z orbit, a na ustach pojawiła się spieniona krew. Umarł, zanim jego ciało uderzyło o ziemię, w ostatniej chwili upuszczając swoje łupy.

Nocny Wędrowiec wypuszczał strzały, z ponurą satysfakcją obserwując, jak kolejni napastnicy wala się na ziemię. Reszta nie spostrzegła, co się dzieje, bo jęki konających ginęły w ryku burzy. Gdy kołczan opustoszał, liczba łupieżców znacznie się zmniejszyła. Nocny Wędrowiec wpadł do najbliższego wigwamu, chwycił maczugę i włócznię i z okrzykiem wojennym ruszył na wrogów.

Pierwszy dostrzegł go Miguelito Colon. Zdołał jeszcze ryknąć z przerażenia, gdy włócznia wbijała mu się w brzuch. Zaalarmowany Vargas odwrócił się w tamtą stronę. Choć nawykł do krwawych jatek, zdrygnął się na widok wyprutych wnętrzności Colona. Błyskawicznie powiódł wzrokiem wokół - i dostrzegł ciała tych, którzy zginęli od strzał. Ten wielki dzikus był wysłannikiem śmierci!

- Brać go! - wrzasnął.

Arturo Medajine sięgnął po pistolet i nacisnął spust, ale zawilgocony proch nie wypalił. Zanim zdążył sięgnąć po miecz, dzikus rozłupał mu czaszkę drewnianą, nabijaną ostrymi kamieniami, maczugą.

Nocny Wędrowiec wpatrywał się w człowieka, który

zabił Białą Sarenkę. Przeskoczył ciało swojego dziadka, wyjął włócznię z martwej ręki Brązowej Sowy, ominął zamordowane dziecko. Ruszał się szybko, zwinnie, jak świadom swej siły drapieżnik. Gdy następny pirat skoczył na niego z pałaszem, niczym w śmiertelnym tańcu wygiął się przed ciosem, wbił włócznię w podbrzusze i wyrwał broń z mdlejącej dłoni. Najeźdźca zawył z bólu, a wtedy stalowe ostrze spadło mu na szyję. Ciało osunęło się na ziemię, odrąbana głowa potoczyła się ku morzu.

Przerażony Vargas patrzył, jak olbrzymi dzikus, znacznie przerastający swych pobratymców, masakrował jego ludzi. Ilu wystrzelał z łuku? Ilu zabił w walce wręcz? Właśnie rozplątał następnego, a sam jakby był nieśmiertelny, jakby ciosy się go nie imały.

- Przekleństwo! - ryknął, machając szablą. - Peron, zatrzymaj tego diabła!

Luis Peron właśnie odnosił do łodzi zrabowane futra. Osłabiony przez dyzenterię, nie miał żadnych szans. Ledwie zdążył porzucić futra, by sięgnąć po nóż, gdy potężne cięcie rozplątało mu klatkę piersiową.

Vargas zaczynał wierzyć, że rzeczywiście ten dzikus to diabeł wcielony. Pogrom był wręcz niesłychany! Pirat stoczył wiele walk i wiedział, że nikt nie jest niezwyciężony! Sam, choć tak wprawny w bojach, kilka razy lizał ciężkie rany, cudem uchodząc kosztusze. Wiedział też, że liczebna przewaga jest najpotężniejszą bronią, której ulec muszą nawet najsprawniejsi wojownicy. A tutaj jeden dzikus szatko wał po kolei doświadczonych w bojach zabijaków!

- Do łodzi! - ryknął ogarnięty paniką i nie patrząc, kto za nim podąża, rzucił się w stronę wzburzonego morza.

Nieliczni, którzy ocaleli, natychmiast usłuchali rozkazu. Ruszyli do łodzi, ale siła wichru sprawiała, że posuwali się z trudem. Vargas bał się nawet obejrzeć. Zmagał się z wiatrem, rozpaczliwie walcząc o to, by nie zostać z tyłu, bo tam czyhała nieuchronna śmierć.

Najeźdźcy padali jeden po drugim, ale Nocny Wędrowiec wciąż był nienasycony w swym pragnieniu zemsty. Zazna ulgi, dopiero gdy zabije tego, który podciął gardło Białej Sarence i skradł jej amulet.

Trawiący go ogień może ugasić tylko krew olbrzymiego brodacza.

Gdy napastnicy rzucili się ku łodziom, wpadł w jeszcze większy szal. Nie mogli uciec! Musieli zapłacić za swój czyn!

Błyskawicznie dopadł najwolniejszego z nich, chwycił za włosy i szarpnął mocno, wyginając głowę w tył. Pirat spojrział w niebo, jakby szukając u Boga łaski za swe niezliczone zbrodnie, lecz czarne chmury bardziej piekło przywodziły na myśl, gdy krzemienny nóż rozszarpał mu gardło.

Nocny Wędrowiec odepchnął wraże ciało i pognął dalej w pościgu za zabójcą Białej Sarenki.

Następny piorun uderzył w miejsce, gdzie stał przed chwilą. Żałował, że błyskawica nie uderzyła prosto w niego, by ukoić straszliwy ból. Wtedy nie musiałby grzebać swoich najbliższych.

Pędził jednak dalej. Widział, jak napastnicy w rozpaczliwym pośpiechu ładowali się do łódki. Nie mógł pozwolić im uciec. Niestety olbrzymi brodacz był już bezpieczny. Trzymał wiosło, ponaglał innych, którzy zaraz poszli jego śladem. Łódź zaczęła oddalać się od brzegu.

Nocny Wędrowiec wiedział, że nie dopełni swej

zemsty. Dobiegł nad brzeg i wskoczył do wzburzonej wody, która sięgnęła mu pasa. Uniósł bezradne ramiona, krzyczał. Jego głos stapiał się z szumem deszczu i grzmotami piorunów. Przeklinał zabójców szczepu, grabieżcę talizmanów Białej Sarenki, wzywał Duchy Przodków i Wielkiego Ducha, ofiarował im własną duszę w zamian za prawo pomsty.

Łódź oddalała się coraz bardziej, a on nadal stał w wodzie, nie przerywając swoich zaklęć. Wzywał najeźdźców, by wrócili i stanęli do walki. Oni jednak wiosłowali w pośpiechu, byle dalej od brzegu. Vargas wprost nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Samotny dzikus zmasakrował jego zaprawioną w bojach załogę, a teraz stał w wodzie i rzucał na tych, którzy zdołali przeżyć, jakieś przekleństwa. Ucieczka była straszliwym upokorzeniem i Vargas aż się palił do tego, by choć w części je zmazać. Mógł to załatwić jednym strzałem. Nakrył się kurtką, by nabić broń. Szczęśliwie proch nie zamókł w tej ulewie.

Uniósł się z dna łodzi, odrzucił kurtkę i wstał. Dzikus nadal coś wykrzykiwał. Vargas nie rozumiał słów, ale nie musiał. Przekleństwo na wasze głowy i syny wasze, taki musiał być ich sens. Pirat nie znał straszliwszej klątwy niż zły urok rzucony i na człeka, i na jego potomstwo.

Wycelował starannie i wypalił.

Vargas wstrzymał oddech, czekając, aż dzikus upadnie, podobnie jak padali wszyscy inni, których brał na cel. Dopiero wtedy będzie mógł uznać ten nieszczęsny wypad za zakończony.

Nocny Wędrowiec zaklinał Duchy Przodków i żądał

odpowiedzi, dlaczego on jeden ocalał. Rzucił złe słowa na tych z łupieżców, którzy ocaleli, na rody, z których się wywodzili, na ich synów i córki. Mięśnie mu drżały, wnętrzości palił ból. Rozpaczliwie szarpał ciało paznokciami, trawiony ogniem, złąkniony śmierci.

Nagle rozległ się huk, a potem jakby czas zwolnił. Nadal padało, ale Nocny Wędrowiec widział osobno każdą spadającą kroplę. A także coś, co opuściło dłoń człowieka, który zabił Białą Sarenkę, i leciało ku niemu. Coś, co ze świstem rozcinało powietrze.

Uspokoił się, czekając na to, co nadchodziło, a co miało przynieść śmierć. Duchy Przodków jednak go wysłuchały. Cokolwiek to było, honorowo zakończy swoje życie. Dołączy do Białej Sarenki i innych, zamiast błąkać się samotnie po ziemi. Patrzył w oczy nadchodzącej śmierci.

Wtedy to uderzyło.

Czekał na ból, na krew, lecz zamiast tego to coś odbiło się od niego i wpadło do wody.

- Nie! - Z niedowierzaniem chwycił się za pierś i spojrzał na wioskę.

Szedł z trudem wśród martwych ciał. Tak bardzo chciałby je ożywić... Powinien pomścić pobratymców, lecz wróg uciekł. Chciał umrzeć z nimi, ale to też było niemożliwe.

Spojrzał przez ramię. Brodaty olbrzym ze zdumieniem patrzył na niego z łodzi.

Serce Nocnego Wędrowca obumierało w bólu. Nie zauważył nawet, że deszcz już ustał, pogrążony w rozpacz po tych, których utracił. Przez rzędzące chmury przedostał się promień słońca i spoczął na nim.

Poczuł się, jakby dotknął go ogień.

A więc teraz umrę, pomyślał. Uniósł ramiona i czekał,

14

aż ogień ogarnie go całego, lecz zamiast tego usłyszał bębny i podniosła pieśń, same dźwięki, bez słów. Wiedział jednak, że jego dusza znalazła się przed Duchami Przodków.

Padł na kolana, gdy pieśń przyoblekła się w słowa: *Nocny Wędrowcze, synu szczepu Żółwia, słyszeliśmy cię.*

Dzielny synu swojego szczepu, dobrze walczyłeś.

Przyniosłeś nam zaszczyt swym życiem i śmiercią. Spójrz na wielką wodę, spójrz w twarz swego wroga i wiedz,

*że jakkolwiek przyjmie postać,
zawsze rozpoznasz jego obecność
i będziesz czuł bicie jego serca.*

Słuchaj uważnie naszych słów, synu szczepu Żółwia.

Będziesz żył,

aż krew twego wroga spłynie do twoich stóp, aż poczujesz na twarzy jego ostatni oddech. Dopiero wtedy i tylko wtedy staniesz się znów jak inni ludzie, będziesz czuł ból i starzał się, aż dożyjesz swych dni.

Teraz zaś dostaniesz szansę zemsty, tak jak pragnąłeś. Będziesz żył!

Światło znikło, chmury gdzieś odpłynęły. Nocny Wędrowiec wstał z trudem, chwiejąc się na nogach. Głosy Starszych ucichły. Ogień zniknął i nie pochłoniął go. Spojrzał na wodę. Wrogowie wdrapywali się do skrzydlatej łodzi, tłocząc się jak szaleńcy.

Zobaczył brodatego olbrzyna. Stał na dziobie łodzi i patrzył w kierunku brzegu. Nocny Wędrowiec czuł, że

krw tego człowieka buzuje w panicznym rytmie. Dlaczego? Był przecież już bezpieczny, umknął z pola walki, skrył się na swej skrzydlatej łodzi.

Vargas był w szoku. Sam widział, jak spadła na dzikusa błyskawica, ale nic mu nie zrobiła! Nadal stał na piasku.

Ludzie wokół niego rozmawiali przyciszonymi głosami. Uważali, że to czary. Kula odbiła się od piersi wojownika jak kropla deszczu, a błyskawica go nie spaliła.

Vargas cały był przerażeniem. Nie pojmował, co się stało, chyba że zadziałały moce nadprzyrodzone. Dzikus zabił kilkunastu jego ludzi, kula odbiła się od niego niczym kamyk rzucony przez dziecko, piorun też go się nie imał. Powinien być trupem, lecz to oni w panice uciekli przed śmiercią z jego dłoni, on zaś stał na brzegu i wzywał ich do walki.

Wódz piratów wiedział, że jego ludzie są tak samo przerażeni jak on, bo zetknęli się z czymś, czego nie byli w stanie pojąć. Lecz to już koniec, najważniejsze, że przeżyli. Musiał udawać, że nic się nie stało, przywrócić normalność.

Czuł jednak na sobie spojrzenia załogi. Stracił ich szacunek, pozwalając, by jeden człowiek, w dodatku dzikus, zmusił go do ucieczki. Odwrócił się i stanął z nimi twarzą w twarz, krzyknął:

- Wciągać kotwicę!

Dwóch ludzi rzuciło się, by spełnić rozkaz, ale wszyscy unikali wzroku Vargasa. Po plecach przebiegł mu dreszcz strachu. Żeglarze byli bardzo zabobonni. Jeśli stracił ich zaufanie, jeśli uznali, że przynosił pecha, jego życie nie będzie warte funta kłaków.

Mocno popchnął jednego z przebiegających. - Żwawiej, ofermo! Pośpiesz się albo nakarmię tobą ryby!

Pirat pobiegł dalej. Wiedział, że gniew kapitana zwykle dosięga tego, kto jest najbliżej, wołał więc usunąć się w bezpieczne miejsce.

Ale ci, którzy byli z nim na brzegu, nie bali się Vargasa. Już nie. Widzieli, jak uciekał w popłochu przed dzikusem. Pędził przerażony jak kobieta, byle szybciej znaleźć się na łodzi.

Byli chorzy, głodni i rozgoryczeni. Ktoś musiał ponieść winę za to wszystko.

Tego wieczoru, zanim wzeszedł księżyc, Vargas stał na krawędzi trapu i błagał o życie. Nie pomyślał nawet o tym, jak szybko odmienił się jego los. Jeszcze rano to on był tym, który niósł śmierć. Nie czuł wyrzutów sumienia, tylko żal, że skończy w tak upokarzający sposób.

Zabrzmiał strzał. Kula dotarła do celu.

Kapitan poczuł ogień w piersiach, a potem tylko spadanie, spadanie...

Woda zamknęła się nad nim, wdarła do gardła, tłumiąc przekleństwa rzucane na zbuntowaną załogę.

Ostatnim obrazem, który pojawił się w jego głowie, był dzikus wskazujący na niego z brzegu.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Georgia Dziś

Mimo setek lat, które John Nighthwalker spędził na tej ziemi, wciąż nie czuł się swobodnie w ubraniu. A sądząc po spojrzeniu, którym obrzuciła go kasjerka w banku, też z radością zobaczyłaby go bez niczego.

Czuł na sobie jej wzrok, ale ignorował wysyłane przez nią sygnały. Nie był w nastroju do takich zabaw, poza tym dostrzegł, że flirciara miała na palcu obrączkę, a tej granicy nigdy nie przekraczał. Przeniósł wzrok na stojącą przed nim klientkę z dwójką małych chłopców. Starszy przyglądał mu się ciekawie, a młodszy, zapatrzony gdzieś w dal, nie przestawał dłubać w nosie.

- Cześć! - odezwał się w końcu starszy. - Jestem Brandon Doggett. - Wskazał na młodszego. - A to Trevor, mój brat. - Przeniósł palec na plecy kobiety. - A to moja mama. Też nazywa się Doggett, chociaż tatuś mówi na nią Lisa.

Odwróciła się z lekkim westchnieniem, pokręciła głową, a na koniec powiedziała z uśmiechem:

18

- Mam nadzieję, że chłopcy panu nie dokuczają?
- Wszystko w porządku - uspokoił ją John.
- Chcesz zobaczyć mój samochód? - Brandon wyciągnął z kieszeni zabawkę. - Ma otwierane drzwi!

John z należytym podziwem oglądał wyczyny małej wyścigówki.

Zwolniło się miejsce przy okienku i do kontuaru podeszła Lisa Doggett. Chłopcy pobiegli za nią. Starali się zachowywać spokojnie, lecz widać było, jakie to dla nich trudne. Kasjerka dała im po lizaku, na chwilę więc zajęła ich walka z opornymi opakowaniami. Po chwili Lisa skończyła załatwiać swoje sprawy, rzuciła Johnowi pożegnalny uśmiech i ruszyła w stronę drzwi, ciągnąc za sobą chłopców.

John był następny w kolejce. Podeszedł do okienka i cierpliwie czekał, aż kasjerka uporządkuje dokumenty po poprzedniej klientce. Na chwilę w całym pomieszczeniu zapadła cisza, przerywana tylko miękkim szuraniem stóp i szmerem rozmów pracowników z działu pożyczek. Nagle John poczuł, że powietrze wypełniło się dziwnym napięciem. Atmosfera stała się dusząca i naładowana gniewem, którego nie rozumiał.

- W czym mogę pomóc? - spytała kasjerka, ale nie zareagował.

Omiótł spojrzeniem Lisę Doggett, która właśnie dochodziła do przedsionka. Nagle Brandon krzyknął, wyrwał się matce i pobiegł na środek holu po lśniący czerwony samochódzik, który został na podłodze. Lisa znów westchnęła lekko, jednak cierpliwie czekała na powrót synka.

A więc to nie stamtąd pochodziło napięcie. Przeniósł spojrzenie na pozostałych klientów. Na pozór nikt się nie wyróżniał, ale po chwili jego uwagę przyciągnął

zwalisty mężczyzna stojący po drugiej stronie holu. Ubrany był w wytarte dzinsy i drelichową kurtkę. Ta kurtka kompletnie nie pasowała do temperatury panującej na zewnątrz. Mężczyzna miał rozbudowaną szczękę, niemal sięgającą tak zwanego boksinoskiego nosa, czyli takiego, który został złamany czy też strzaskany, i to zapewne niejeden raz. John czuł bijące od tego typka napięcie. Nie wiedział jeszcze, co się stanie, ale był pewien, że nie będzie to nic dobrego.

Obserwował go kątem oka. Widział, jak podszedł do jednej z kasjerek, stanął blisko przy okienku i podał jej coś, co wyglądało jak zwykła bawełniana torba, w której przekazywano depozyty, i powiedział kilka słów.

Kasjerka zbladła, oczy rozszerzyły jej się z przerażenia. A potem zemdlła. Rozległ się głuchy odgłos, gdy jej głowa uderzyła o posadzkę.

Druga kasjerka zaczęła histerycznie wzywać pomocy. Zapanował ogólny chaos.

Wallace Deeds przeklął pod nosem. Był w tej branży od lat, ale nikt jeszcze nigdy nie zemdlął na jego widok. Wiedział, że powinien zabrać notatkę, którą położył na ladzie i spokojnie wyjść, tyle tylko, że kartki nie było już w zasięgu jego ręki, spadła bowiem na podłogę i leżała obok nieprzytomnej kobiety.

- Cholera! - mruknął Wallace.

Wsunął rękę do kieszeni i poczuł uspokajający chłód kolby pistoletu. Rozejrzał się wokół, szybko oceniając liczbę świadków. Powinien wydostać się stąd jak najszybciej. Starając się zachować spokój, powoli ruszył w kierunku drzwi.

Do zemdlonej kasjerki podbiegł jakiś mężczyzna w garniturze, schylił się, by zbadać puls, i znalazł kartkę z wydrukowaną informacją:

„Mam broń. Włóż wszystkie pieniądze do torby i bądź cicho. Albo jesteś martwa.”

- Zatrzymać go! - krzyknął. - On ma broń!

Wallace odwrócił się, klnąc szpetnie. Strażnik bankowy ruszył ku niemu, w biegu wyciągając pistolet. Deeds błyskawicznie chwycił najbliższą osobę i ścisnął ją w duszącym uchwycie. W drugiej dłoni dzierżył broń, z której strzelił w sufit.

- Wszyscy na podłogę! - wrzasnął. Strażnik nie posłuchał polecenia.

- Rzuć broń! - krzyczał. - Rzuć broń i puść ją! John poczuł zimny dreszcz. Zakładniczką była Lisa Doggett. Przerazona i bezradna patrzyła na dzieci. Trevor, młodszy z chłopców, zapłakał i nieporadnie ruszył do matki.

- Niech nikt się nie rusza! - wrzeszczał Wallace, machając bronią to na strażnika, to na dzieci.

John wyczuł w jego głosie histerię. Spanikowany gangster mógł zaraz kogoś postrzelić! Wszyscy zamarli w napięciu, jedynie Trevor zdawał się nie wiedzieć, co się dzieje, i uparcie szedł ku matce. Nie było czasu do namysłu.

Wyszarpnął nóż z cholewy i skoczył naprzód, by odciągnąć uwagę napastnika od chłopców, Lisy i ochroniarza. Wiedział, że zostanie postrzelony, będzie cierpiał, ale nie zginie.

Taką miał przewagę nad innymi. Stawał oko w oko ze śmiercią i oszukiwał ją niezliczoną ilość razy przez ostatnich pięćset lat. Teraz będzie tak samo.

Wallace Deeds kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

Odwrócił się i skierował lufę pistoletu na biegnącego ku niemu mężczyznę.

- Sukinsynu! - wrzasnął i wypalił.

Strzał uderzył prosto w pierś Johna. Poczł ostry, palący ból, ale nie upadł.

Zdumiony Deeds odrzucił na bok ledwie przytomną zakładniczkę i kolejny raz nacisnął spust. Jednak ta kula nie dosięgła celu. W następnej sekundzie zobaczył, że z jego piersi sterczy rękojeść noża.

Rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi, zaraz jednak zapadła śmiertelna cisza.

Lisa Doggett ocknęła się z przerażenia, uklękła i drżącymi rękoma zaczęła tulić do siebie dzieci.

Pozostali wpatrywali się w dwie postacie stojące na środku holu.

Nikt się nie ruszał.

Nikt nic nie mówił.

Wszyscy z niedowierzaniem patrzyli na obu krwawiących mężczyzn. Który z nich pierwszy upadnie?

John jęknął, gdy dotknął swej piersi. Gorąca struga krwi powoli zwalniała. Obserwował, jak Deeds upada. Głowa z trzaskiem uderzyła o kamienną podłogę, ale bandyta tego nie poczuł. Już był martwy.

John zerknął w bok. Zauważył, że ochroniarz schował broń i ruszył w jego kierunku. Lisa Doggett drżała oszołomiona, ale przeżyła, a jej dzieci były bezpieczne.

Przez tłum przepychał się Horace Miles, prezes banku, z napięciem sprawdzając, czy nikomu nic się nie stało. Zobaczył krew na koszuli Johna i krzyknął, aby wezwano pogotowie.

John wolałby ulotnić się jak najprędzej i uniknąć kłopotliwych wyjaśnień. Przerabiał to już wiele razy

i wiedział, że nie będzie w stanie wytłumaczyć, jakim cudem dziura po kuli w jego piersi niemal się zasklepiła. Wydobył nóż z piersi bandyty, otarł z krwi i schował do buta.

- Musisz usiąść, synu - powiedział ochroniarz, ujmując go za łokieć. - Jesteś ranny.

- Wszystko w porządku. - Delikatnie uwolnił się z uścisku.

Z daleka słyhać już było przenikliwe syreny. Powinien stąd wyjść, i to natychmiast. Ruszył ku drzwiom, ale drogę przeciął mu Horace Miles. Również ujął go za ramię i ruszył w kierunku fotela.

- Proszę usiąść - rzekł z troską. - Krwawi pan. Zaraz nadjedzie pomoc.

- Nic mi nie jest, wszystko w porządku - powtórzył znużony.

Jednak Horace Miles nie pozwolił mu odejść. Dla niego nic nie było w porządku. Napad w jego banku, ranny bohater...

Podeszła do nich Lisa Doggett z chłopcami uczeptionymi jej nóg.

- Uratował mi pan życie - wyszeptała poruszona. - Nas wszystkich. Dziękuję... Dziękuję...

Chłopcy wpatrywali się w niego z nabożnym podziwem. Szok i przerażenie odebrały im mowę.

- Ej, chłopaki, nosy w górę! - Uśmiechnął się do nich ciepło. - Mamie nic się nie stało.

Brandon z trudem przełknął ślinę i powiedział:

- Pokonałeś złego człowieka!

John tylko mrugnął. Ból w piersi wprawdzie szybko łagodniał, ale syreny były coraz bliżej. Zanim zdążył cokolwiek zrobić, przed wejściem zaparkowało kilka radiowozów i dwie karetki. Sanitariusze wbiegli do

środka, ochroniarz wskazał im kierunek, i już byli przy Johnie.

Westchnął w duchu. Jak miał im wytłumaczyć swój stan?

- Nic mi nie jest - zapewniał, choć wiedział, że to na nic, bo sanitariusze już nacinali zakrwawiony materiał. Zrezygnowanym ruchem uniósł koszulę i pokazał zabliznioną ranę.

Sanitariusze stanęli jak wryci.

- Ale jak...?

- Hm... Powiedzmy, że pobierałem nauki u dalajlamy - odparł. - Umiem zatamować krwawienie i uleczyć się siłą woli. Pewnie o tym słyszeliście.

Mruknęli coś niewyraźnie i zaczęli pakować sprzęt, jednak nie potrafili ukryć zdumienia.

Nie tylko oni. Prezes banku też był zaskoczony. Widział przecież strzał, potem strumień krwi na koszuli, a na koniec zabliznioną ranę. Dostrzegł też inne blizny i wołał nawet nie myśleć, przez co musiał przejść ten człowiek.

Pojawili się policjanci. Przez mundurowych przecisnął się chudy mężczyzna w garniturze. Zadał kilka pytań strażnikowi, a potem ruszył w kierunku Johna. Nawet gdyby nie pokazał odznaki, John i tak wiedziałby, z kim ma do czynienia. Znał ten typ.

Detektyw zatrzymał się, przez chwilę patrzył na ciało, a potem w milczeniu przeniósł wzrok na Johna.

Ciszę przerwał prezes banku:

- Jestem Horace Miles. Byłem świadkiem tego zdarzenia.

- Detektyw Robert Lee. - Otaksował uważnym spojrzeniem Johna i jego zakrwawioną odzież. - A ty, bohaterze, jak się nazywasz?

20

Nie spodziewał się takiej ironii. I nie wiedział, dlaczego aż tak bardzo go rozgniewała. Podniósł się gwałtownie, dobrze wiedząc, że dzięki temu będzie znacznie górował nad mikrym chudzielcem.

- Bardzo boli mnie klatka piersiowa - odezwał się przeciągle. - I nie podoba mi się pański sarkazm. Poza tym nie jestem bohaterem. Znalazłem się w złym miejscu o złym czasie. A nazywam się John Nightwalker.

Lee bardzo chciał się wkurzyć, ale wiedział, że ten Indianin ma rację.

- Przepraszam. Źle to zabrzmiało. Zaczniemy jeszcze raz. Może pan opowiedzieć, co się tu wydarzyło?

- Zapewne mógłbym... - mruknął John, wskazując kamery dyskretnie poumieszczone w różnych miejscach. - Ale wygląda na to, że pan Miles może dostarczyć panu filmową relację całego zajścia ujętą z każdego kąta tej sali. Może ograniczę się do tego, że facet próbował obrabować bank, wziął zakładniczkę i mierzył do dziecka. Odwróciłem jego uwagę i ściągnąłem strzał na siebie. Przy okazji wbiłem mu też nóż w pierś.

Na razie brzmiało to logicznie. Lee był przekonany, że John został już opatrzony, szybko przeszedł więc do dalszych pytań.

- Mogę zobaczyć ten nóż?

John sięgnął do cholewy. Gdy ostrze błysnęło w świetle lamp, oczy detektywa rozszerzyły się. To nie był zwykły scyzoryk. Nóż miał ponad dwadzieścia pięć centymetrów długości, był szeroki u nasady, a rękojeść wyglądała na kościaną.

- No, proszę pana... - Pokręcił głową. - Z takim czymś można walczyć z niedźwiedziami.

- To prawda - przyznał John spokojnie.

- Tylko niech pan nie mówi, że walczył pan z grizzly
- rzucił Lee z powątpiewaniem.

John wzruszył ramionami. Miał szczerze dość tej rozmowy. Wiedział, że swym zachowaniem denerwuje Roberta Lee, ale nie dbał o to.

- Z niedźwiedziami się nie walczy, detektywie - odparł z lekkim uśmiechem. - Przed nimi albo się ucieka, albo się je zabija. Robiłem i to, i to.

Lee spiorunował go wzrokiem.

- Ma pan zezwolenie na noszenie ukrytej broni?

- Mam. - Wyjął z portfela legitymację. Detektyw obejrzał ją uważnie i zwrócił bez słowa.

- Przepraszam, że się wtrączę... - odezwał się Horace Miles, najwyraźniej zdumiony przebiegiem rozmowy.

- Detektywie, chyba pan nie rozumie, że pan Night-walker zapobiegł ogromnej tragedii. Ocalił życie kobiety i zapewne wielu innych osób. Nie wiadomo, kogo ten drań by jeszcze postrzelił. Z całą pewnością pan Nightwalker działał w samoobronie. To napastnik wystrzelił pierwszy. Zresztą proszę zapytać świadków.

- Och, bez obaw, na pewno to zrobię.

- Mogę już odejść? - spytał John znużonym głosem.

- Nie tak szybko. Chciałbym, żeby udał się pan na posterunek.

- Niby dlaczego? - spytał zdziwiony. - Sprawa jest przecież oczywista.

- Może dlatego, że wbiłeś nóż w pierś człowieka

- stwierdził Lee z krzywym uśmiechem.

- On pierwszy mnie postrzelił - przypomniał John.

- Musiałem się bronić, prawda?

- Ja tu jestem od zadawania pytań - uciął Lee.

- To proszę mi jakieś zadać.

Detektyw spiorunował go wzrokiem, szybko jednak

26

przypomniawszy sobie, że przyglądają im się ludzie i pohamował emocje.

- Jeśli ma pan ranę postrzałową, to dlaczego nie zabrano pana do szpitala?

John z trudem opanował zniecierpliwienie. Uniósł koszulę i wskazał swoją pierś.

- Tu jest ślad po miejscu, gdzie kula wleciała. - Obrócił się i dodał: - A tu rana wylotowa. Szybko dochodzę do siebie.

Brzeży ran były wyraźnie widoczne, ale już prawie zasklepione.

- Nikt nie zdrowieje tak szybko! - krzyknął detektyw. - To musi być jakaś dawna rana. Owszem, byłeś postrzelony, ale na pewno nie dzisiaj. Pewnie byliście w zмовie z tamtym rabusiem, ale wycofałeś się i zabiłeś go, żeby nie wpaść razem z nim!

- Gówna prawda! - wybuchnął John i wskazał kamery. - Obejrzyj lepiej nagrania, mądralo! Jestem klientem tego banku od lat. Pan Miles ma moje dane, telefon i adres. A teraz, jeśli nie jestem aresztowany, wychodzę. - Stanowczym gestem wyciągnął dłoń, czekając na oddanie noża.

Zapadła pełna napięcia cisza, wreszcie Lee oddał nóż. Patrzył, jak John chowa go w milczeniu, a potem wychodzi z banku, nie oglądając się za siebie.

Lee stłumił wściekłość. Nie miał podstaw do zatrzymania tego Indianina, ale instynkt podpowiadał mu, że coś tu nie gra.

- Chcę wszystkie nagrania - zakomenderował ostro, wskazując kamery. - Jak najszybciej.

Horace Miles spokojnym tonem polecił jednemu ze swoich pracowników:

- Proszę dostarczyć panu wszystkie nagrania z dzisiejszego dnia.

23

Savannah zostało daleko z tyłu. John zbliżał się już do zjazdu prowadzącego do jego domu. Był zadowolony, że dwugodzinna jazda dobiega końca. Zjechał z szosy i ruszył ku urwistemu klifowi. Kilkaset lat zajęło mu zdobycie na własność tego kawałka ziemi, gdzie niegdyś stała jego wioska, ale gdy wreszcie mu się to udało, odzyskał spokój ducha.

Przez tych kilka wieków przeżył wojny domowe, powstania, walczył w wielu bitwach i wciąż z przerażeniem obserwował, jak znika dziewicze piękno jego kraju i zmienia się świat wokół niego, podczas gdy on bezustannie poszukiwał reinkarnacji swego wroga. Bolało go zanieczyszczenie niegdyś krystalicznych strumieni, wycinanie lasów i dewastowanie przyrody. Czyste powietrze, które uważał za coś naturalnego, teraz stawało się luksusem dostępnym dla nielicznych. Wielkie wysypiska śmieci kalały twarz Matki Ziemi.

W różnych częściach kraju miał jeszcze trzy domy. Co kilka lat przeprowadzał się w inne miejsce, by uniknąć pytań sąsiadów związanych z jego wiekiem. Przez wieki opracował system, który pomagał mu ukryć prawdę. Zmieniał mieszkania, styl ubierania i przedstawiał się jako krewny poprzedniego właściciela. Jak dotąd wszystko działało bez zarzutu. Przez ostatnie trzy lata przebywał w Georgii. Z okien sypialni widział miejsce, gdzie pochował swoich bliskich. I choć ich kości dawno już obróciły się w pył, dla niego pamięć tamtego dnia była wciąż tak żywa, jakby wszystko zdarzyło się wczoraj. Z bólem i niesłabnącą zaciętością wciąż szukał duszy człowieka, który zgładził jego lud.

Zatrzymał się na szczycie cypla, zaraz jednak ruszył dalej. Zwykle lubił tu rozmyślać, lecz dziś chciał jak najszybciej znaleźć się w domu. Czuł się wyczerpany

porannymi wydarzeniami, dlatego odetchnął z ulgą, kiedy wjechał do garażu i usłyszał cichy szum zamykającej się solidniej bramy. Pierś nadal go bolała, ale już nie krwawiła. Po kilku dniach ta rana będzie tylko kolejną blizną w bogatej kolekcji.

Wysiadł z dżipa, sięgnął po torby z zakupami i przeszedł do kuchni. Wypakował świeże warzywa i nabiał. Tak jak i teraz, zwykle zaopatrywał się w małym sklepiku w Justice. Lubił to miasteczko leżące kilka kilometrów od jego domu, którego mieszkańcy toczyli sielskie, spokojne życie. Nazywali go Dużym Johnem. Nie wiedzieli nic o majątku, który zgromadził przez wieki, zyskach na operacjach handlowych i towarach, które eksportował i importował z różnych krajów. Starał się nie dostarczać tematów do plotek i najróżniejszych domysłów. Sąsiadów i znajomych traktował po przyjacielsku, ale trzymał ich na dystans. Im mniej o nim wiedziano, tym lepiej.

Rozpakował zakupy i przeszedł do pomieszczenia gospodarczego. Wyrzucił podartą i zakrwawioną koszulkę i zajął się dżinsami. Polał plamy odplamiaczem i wrzucił spodnie do pralki.

Wychodząc z pomieszczenia, był nagi, tak jak lubił najbardziej.

Miał długie, szczupłe nogi i muskularne, sprężyste ciało. Na szerokich ramionach nosił ciężar setek lat głuchej, nieuzewnętrznianej rozpaczy. Włosy, niegdyś długie i powiewające na wietrze, teraz były krótko przystrzyżone, a zamiast piór, które zdobiły głowy jego przodków, miał w uchu kolczyk w kształcie pióra, jedyny widoczny znak łączący go z przeszłością.

Chociaż drewniana podłoga nie była pokryta dywanami, poruszał się bezszelestnie. Gdy otworzył okna

sypialni, pokój wypełnił się chłodną oceaniczną bryzą, która orzeźwiała go znacznie skuteczniej niż najlepsza klimatyzacja.

Kiedy przechodził do salonu, jego wzrok spoczął na małym, krzemiennym nożu, zawieszonym między kamiennym toporkiem a łapaczem snów. Ten mały kawałek krzemienia był wszystkim, co zostało mu po Białej Sarence. Serce ścisnęło mu się z żalu na jej wspomnienie. Tym nożem oprawiała mięso ze skóry, z której potem szyła miękkie, ciepłe ubrania. Gdyby los był łaskawszy, zginąłby razem ze wszystkimi. Jednak Duchy Przodków spełniły jego prośbę, musiał więc wypełnić swoją część zobowiązania. Zły na siebie, że dotąd nie udało mu się tego zrobić, odegnał wspomnienia i wszedł pod prysznic.

Kilkanaście minut później, kiedy zmył z siebie ślady krwi, włożył wygodne spodnie i zaczął przygotowywać posiłek. Już dawno musiał się nauczyć sam troszczyć o siebie. Całe jego długie życie było naznaczone samotnością, ale takiego dokonał wyboru. Czasami samotność doskwierała mu tak bardzo, że niemal szlochał na samo wspomnienie Białej Sarenki. Były wprawdzie w ciągu tych stuleci jakieś kobiety, ale żadna nie zastąpiła tamtej w jego sercu.

Niejedno widział i wiele przeżył przez te wszystkie lata. Dla napływających na jego ziemię hord wciąż był dzikusem, to nie zmieniło się mimo upływu wieków. Szybko jednak nauczył się rozmawiać z intruzami, którzy zawładnęli ziemią jego przodków, i stał się im potrzebny. Był ich przewodnikiem, tłumaczem i traperem. Tak to się zaczęło, a teraz...

Kiedy jedzenie było gotowe, wziął talerz i wyszedł na taras. Jadł powoli, spoglądając na ocean. W tym samym

miejscu stał, gdy zobaczył diabelski statek, który przyniósł z sobą śmierć i cierpienie. Choć od tamtych wydarzeń minęły wieki, instynkt w Johnie nie stępniał. Wciąż był czujny. Wiedział, że już od co najmniej sześćdziesięciu lat dusza, której szukał, znów wcieliła się w ciało. Oznajmiły mu to znaki.

Pierwszym był sen o tamtym dniu. John ocknął się z koszmaru drżący i mokry od potu. Dawno już zauważył, że gdy zbliżał się do jakiejś reinkarnowanej duszy, jego serce biło szybciej. Czuł to częściej, niż mógłby zliczyć, ale jak dotąd nie spotkał swego przeznaczenia.

Skończył jeść i obserwował morze do czasu, aż słońce zaszło.

Detektyw Robert Lee przewinał taśmę do początku i znów włączył odtwarzanie. Kolejny raz oglądał nieudany napad na bank. Jego logiczny umysł nie był w stanie uwierzyć w to, co widział. Obserwował wystrzał Deedsa. Widział, jak pocisk uderza Indianina, tryska strumień krwi i koszula barwi się na czerwono. Deeds składa się do kolejnego strzału, ale jest już właściwie po wszystkim, bo nóż tkwi w jego piersi.

Deeds pada, a Indianin nie. A gdy cholerny Nightwalker pochyla się, nie zachwiawszy się przy tym w ogóle, i wyjmując nóż z piersi martwego Deedsa, umysł detektywa nie był w stanie tego ogarnąć.

Zastanawiał się nad pretekstem, który pozwoliłby zgodnie z prawem śledzić Nightwalkera, ale niczego nie wymyślił. Zresztą na biurku leżało już pół tuzina nowych spraw i wiedział, że tę musi odpuścić. Choć bardzo niechętnie.

Justice, Georgia Dwa dni później

Życie Alicji Ponte biegło dotąd dostatnio i beztrasko. Była córką niezwykle bogatego człowieka, a jej głównym zajęciem była prezesura w kilku organizacjach dobroczynnych i organizowanie eleganckich imprez. Nosila wytworne ubrania, znała odpowiednich ludzi i była ozdobą towarzystwa. Miała kilkoro przyjaciół, ale z nikim nie była zbyt blisko. Na studiach miała chłopaka, potem na krótko związała się z pewnym mężczyzną, lecz od trzech lat była sama.

Niedawno obchodziła dwudzieste siódme urodziny. Zawsze uważała się za osobę spokojną, zrównoważoną i pewną siebie, jednak ostatnie wydarzenia pokazały jej, jak bardzo się myliła. Była przerażona jak nigdy dotąd. Najgorsze zaś było to, że powodem tej paniki był jej własny ojciec. Drgnęła na wspomnienie tego, co się wydarzyło, i mocniej nacisnęła pedał gazu. Już niedługo powinna dotrzeć na lotnisko.

Z niepokojem zerknęła na wskaźnik paliwa. Będzie musiała stracić kilka minut na tankowanie. Tablica przy drodze informowała, że w pobliżu znajduje się miasteczko Justice. Tam na pewno znajdzie stację benzynową.

Wiedziała, że ucieczka nie rozwiąże jej problemów, nie mogła przecież uciekać wiecznie. Potem się nad tym zastanowi. Teraz musiała przede wszystkim gdzieś się ukryć.

Jej ojciec, Richard Ponte, był największym fabrykantem broni na zachodniej półkuli, to wiedziała od dawna. Ale niedawno dowiedziała się, że czerpał zyski z wojny w Iraku w najbardziej odrażający sposób - dostarczał

nowoczesny sprzęt bojowy zarówno amerykańskim żołnierzom, jak i ich nieprzyjaciołom. Prawie cały ostatni rok ojciec spędził za oceanem, tworzył bowiem nowy zakład utylizacyjny na Tajwanie i zamykał fabrykę opon w Indiach. Odwiedzała go kilkakrotnie, ale szybko odsyłał ją do Miami. Ona zresztą też nie przepadała za tymi wizytami. Gdy w końcu wrócił, powitała go serdecznie, ucieszona, że wreszcie nie będzie jadać samotnych posiłków i pełna nadziei, że ich stosunki nieco się zacieśnią.

Szła właśnie do jego gabinetu, żeby spytać, czy zjedzą razem obiad, kiedy usłyszała fragmenty rozmowy. Rozpoznała głos starego przyjaciela, Jacoba Carruthersa, i ucieszyła się na myśl, że wuj Jacob dołączy do posiłku. Miała właśnie do nich zapukać, gdy dobiegł ją podniesiony głos ojca i głośne przekleństwa. Przystanęła zaskoczona. Richard nigdy się tak przy niej nie zachowywał. Postanowiła poczekać chwilę, żeby ojciec się uspokoił, zatrzymała się więc przed drzwiami, ale to, co usłyszała potem, było jeszcze gorsze.

Zwrot „dostawa broni” nie był niczym niezwykłym w interesach ojca, kiedy jednak usłyszała „Osama bin Laden”, krew zmroziła jej się w żyłach.

„Osama był zadowolony z ostatniej dostawy!”

Musiła zatkać sobie usta dłonią, żeby nie krzyknąć. Przez kilka sekund miała jeszcze nadzieję, że to jakaś pomyłka, ale kiedy ojciec wspomniał o dostawie do Afganistanu dla Al-Kaidy, a potem coś o Kurdach i Mohammedzie Al-Kazirze, nie mogła już dłużej się łudzić. Gwoździem do trumny był głos wuja, który mówił, że bin Laden podwoi zamówienie, jeśli dostawa będzie zrealizowana przed końcem miesiąca, a koło trzynastego mogą mieć problem, bo jest jakieś święto.

Potem ojciec chrząknął i powiedział, że muszą dobrze płacić, jeśli chcą mieć dobry towar. Nogi się pod nią ugięły.

- Wiesz - usłyszała jeszcze zaniepokojony głos wuja - celnicy mogą coś zwęszyć. W końcu ile pługów i traktorów może importować jedna firma.

- Bzdury! - zachnął się ojciec. - Doją ze mnie taką forszę, że zdołam przeszmygłować każdy cholerny towar, jaki tylko mi się przyśni.

Nie pamiętała, jak znalazła się z powrotem w swojej sypialni. Ocknęła się, kiedy klęczała przy toalecie i gwałtownie wymiotowała. Wstrząsana dreszczami i oblana zimnym potem, zawlokła się do łóżka. Powiedziała pokojówce, że ma atak grypy i zostanie w łóżku.

Twardo nakazała sobie, że musi myśleć logicznie i na chłodno ocenić całą sprawę. Wiedziała, że ojciec ma zbyt wiele na głowie, by przejmować się jej chorobą. To dobrze, bo nigdy nie potrafiła kłamać i od jednego spojrzenia rozpoznałby, że coś ukrywa.

Jedynym efektem logicznej, chłodnej analizy było to, że spakowała torbę i uciekła.

Teraz, po dwudziestu kilku godzinach od tamtych wydarzeń, nadal uciekała. Chciała powiedzieć komuś o swoim odkryciu, ale ojciec był jednym z najbardziej wpływowych ludzi. Mowa o prawdziwych wpływach, a nie tych, które można by wysnuć na podstawie medialnych rankingów. Alicia żyła w tym świecie i wiedziała doskonale, gdzie była prawdziwa władza. Ojciec miał silne powiązania z wojskiem, policją i instytucjami rządowymi. Jak wiele osób z pierwszych stron gazet było przez niego opłacanych? Musiało tak być, była tego pewna po tym, co usłyszała.

Nie miała pojęcia, komu w takiej sytuacji mogłaby

zaufać, ale musiała komuś o tym powiedzieć. Nie mogła żyć z krwią niewinnych ludzi na rękach. I nie zamierzała pozwolić na to ojcu.

Zostawiła mu notatkę, że czuje się już lepiej i wyjeżdża do spa na kilka dni, opróżniła jedno ze swoich okazałych kont bankowych i wyjechała z Miami w samym środku wielkiej burzy. Pogoda idealnie dopasowała się do jej nastroju.

Okazało się, że wymówka ze spa podarowała jej niewiele czasu. Kiedy do wieczora nie dawała znaku życia, Richard zaczął dzwonić. Po kilku godzinach miała już wiele nieodebranych połączeń i wiadomość wyrażającą lekkie zaniepokojenie. Wiedziała, że nie może milczeć zbyt długo, nie była jednak jeszcze gotowa. Tak się gotowała ze wściekłości na ojca, że z trudem udawało jej się logicznie myśleć. I jednocześnie panicznie się go bała. Od lat obserwowała, w jaki sposób prowadził interesy. By osiągnąć swój cel, stawał się bezwzględny w pełnym, strasznym znaczeniu tego słowa. Dlatego nikt nigdy nie zdołał pokrzyżować mu planów. Alicia zamierzała być pierwsza.

Oczywiście oddzwoni do niego, ale dopiero gdy będzie daleko od domu, ukryta w bezpiecznym miejscu. I nade wszystko pewna, że ojciec nie zdoła jej wyśledzić. Owszem, postanowiła go zdradzić. Czy jednak zdrajcą jest ten, kto zdradza zdrajcę ojczyzny? Kogoś, kto sprzedawał broń terrorystom odpowiedzialnym za tragedię 11 września 2001?

Łzy wściekłości napływały jej do oczu.

Nie miała pojęcia, że jej ojciec potajemnie kazał zainstalować nadajniki GPS we wszystkich pojazdach należących do koncernu, wiedział więc doskonale, gdzie

przebywa córka, i wysłał Dietera Bahna, swoją prawą rękę, by sprowadził Alicię z powrotem. Richard nie miał pojęcia, co się stało, ale wiedział, że sprawa nie może być błaha. Rozsądna, zrównoważona córka oczyściła konto bankowe i uciekła. Dlaczego? Musiał uzyskać odpowiedź na to pytanie. A jeśli Richard Ponte coś postanowił, zawsze to osiągał.

Alicia poczuła skurcz w żołądku. Wiedziała, że musi skupić się na najpilniejszych potrzebach: tankowanie, jedzenie. Wypatrywała stacji, gdy znowu zadzwonił jej telefon. Zerknęła na wyświetlacz i serce jej drgnęło. Ojciec. Który to już raz dzisiaj?

Powodowana jakimś impulsem sięgnęła po komórkę.

- Halo - odezwała się, z całych sił próbując zachować spokój.

- Wreszcie! - ryknął ojciec. - Alicia, co ty, do diabła, wyprawiasz?! Czemu nie odbierasz?

- Nic nie wyprawiam. - Tylko lekkie drżenie głosu zdradzało, że jest zdenerwowana. - Zostawiłam przecież kartkę, dokąd jadę. Zamierzałam potem się odezwać i nie oczekiwałam gradu telefonów, którymi mnie kontrolujesz, jakbym była nieodpowiedzialną nastolatką.

- Nie wciskaj mi tu bzdur! - krzyknął Richard. - Oczyściłaś konto i nie odbierasz telefonów, to co mam o tym myśleć!?

- Może pomyśl, że mam dwadzieścia siedem lat i że to są moje pieniądze - powiedziała z trudem. Niemal widziała, jak ojciec drgnął rozdrażniony tymi słowami. Zawsze gwałtownie reagował, gdy ktoś próbował stawiać mu opór, ale najbardziej nie lubił, gdy mu przypomniano, że to pieniądze zmarłej żony ułatwiły mu start, a także zapewniły córce finansową niezależność.

- Chodzi o jakiegoś faceta, tak? - dopytywał.

- Ostrzegam, że pewnie cię nie kocha. Chodzi mu tylko o twoją forszę!

Poczuła się, jakby ją spoliczkował. To było przykre i poniżające. Własny ojciec sądził, że bez majątku nie byłaby warta prawdziwej miłości...

- Dlaczego, tato? - spytała zdławionym przez łzy głosem. - Dlaczego ktoś nie mógłby mnie pokochać? Jak mogłeś tak powiedzieć?

- A więc mam rację! Chodzi o mężczyznę! - mruknął z satysfakcją. Nie wyglądało na to, by przejął się jej uczuciami. - Posłuchaj mnie, Alicio. Przestań zachowywać się jak dziecko i wracaj do Miami, zanim wpakujesz się w jakąś miłosną pułapkę. Jesteś zbyt łatwowierna. Czy on teraz jest z tobą?

- Nie ma żadnego faceta - wyszeptała, żałując nagle, że tak jest. To byłoby znacznie prostsze niż problem, z którym musiała się borykać.

- Nie wierzę ci! - krzyknął rozjuszony Richard.

- Wyślizgujesz się z domu jak jakaś pierwsza lepsza idiotka, zabierasz pieniądze i uciekasz w nieznane. Musiałaś mieć jakieś ważne powody, żeby tak zrobić!

Tego było już za wiele. Nagle wszystkie ostatnie przeżycia, szok, rozczarowanie, ból, strach i wściekłość wezbrały w niej. Zaczęła mówić, początkowo spokojnie, ale z każdym zdaniem jej rozgoryczenie i złość rosły, a ostatnie słowa wykrzyczała:

- Jedynym facetem, przez którego opuściłam dom, jesteś ty! Wiem, co robicie... ty i wuj Jacob. Słyszałam waszą rozmowę, sprzedajecie broń wrogom!

- Mylisz się... - zaprotestował Richard, lecz głos miał dziwnie niepewny. - Przesłyszałaś się...

- Przestań! Wiem, co słyszałam! To straszne, co

robicie! - Odetchnęła głęboko. - Dlaczego, tato? Dlaczego się w to wpakowałeś? Mamy przecież więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek moglibyśmy wydać. Dlaczego zdradzasz swój kraj? Dla następnych milionów?

Wiedziała, jak czuje się teraz ojciec. Jakby oberwał mocno w brzuch. Jeśli do tej pory stał, to pewnie usiadł, by nie upaść. I pomrukuje: „Niech to diabli, niech to diabli”.

- Nie wiem, o czy mówisz... - powtórzył. - Wracaj do domu, a wszystko ci wytłumaczę.

- Nie wierzę ci. Nie chcę cię więcej widzieć!

- Co zamierzasz? - spytał z niepokojem.

Nawet nie zdawała sobie sprawy, że płacze, dopóki nie poczuła słonego smaku łez. Starła je gwałtownie.

- To nie twoja sprawa!

Zapadła długa, pełna napięcia cisza, a po niej ostatnie pytanie:

- Zamierzasz to rozgłosić?

Zagryzła słone od łez wargi. Rozłączyła się bez słowa, cisnęła telefon na sąsiedni fotel i z ulgą zobaczyła w oddali zabudowania stacji benzynowej.

Richard Ponte słyszał dudnienie własnego serca. Jak to się mogło stać? - zachodził w głowę. Byli przecież tak ostrożni. Przeczesał włosy palcami i zakrył twarz dłońmi, nerwowo zastanawiając się nad dalszymi krokami.

Nikomu nie powie, przekonywał się w duchu. To przecież moja córka, krew z krwi, kość z kości. Nie zwróci się przeciwko ojcu.

A jednak ten ból w jej głosie, ta złość... Nie, nie miał żadnej pewności, jak zachowa się Alicia. Co powinien zrobić w tej sytuacji? Nie może przecież siedzieć tak i czekać na cios.

Szok szybko zamienił się w gniew. Wiele razy w życiu był już w podobnej sytuacji, u progu ruiny spowodowanej działaniami innych. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w decyzji, że nie może dopuścić do zburzenia tego, co z takim trudem tworzył przez lata.

Najpierw musi ją złapać, a potem zobaczy, co dalej.

Wybrał numer Dietera.

- To ja. - Richard był już całkiem spokojny. - Jak daleko jesteś od Alicii?

- Osiem kilometrów - odparł Dieter.

- Jak ją znajdziesz, sprowadź z powrotem, nawet gdybyś musiał użyć siły. Chcę ją mieć w domu. Zrozumiałeś?

- Oczywiście.

- I daj mi znać, jak będzie już w twoim samochodzie.

- Tak jest!

Richard zakończył rozmowę bez pożegnania. Wstał z biurka i podszedł do okna. Przez kilka chwil podziwiał swoją posiadłość, główną siedzibę potężnego imperium, które stworzył.

Jeśli sprawy pójdą w niewłaściwym kierunku, jutro może to wszystko stracić. Ale tak się nie stanie.

Nie zamierzał do tego dopuścić. Dieter zaraz złapie Alicię, a wtedy...

Powoli obracał w kieszeni drobne monety, zastanawiając się, co wtedy. Jak ją unieszkodliwić i zmusić do milczenia? Jaką będzie miał pewność, że dochowa sekretu? Westchnął ciężko.

Nie będzie miał żadnej...

Uchwycił na szybie swoje odbicie i szybko odwrócił wzrok. Pracował zbyt długo i zbyt ciężko, by stracić majątek przez kogokolwiek. Nawet własną córkę. Jeśli więc się nie podporządkuje...

Gdy pewna myśl przemknęła mu przez głowę, Richard gwałtownie zacisnął szczęki. Jeśli się nie podporządkuje, tym gorzej dla niej. W końcu wypadki ciągle się zdarzają...

John Nightwalker wszedł do samochodu i wolno ruszył do Justice. Słońce ogrzewało mu twarz, schronił więc oczy za dużymi lotniczymi okularami.

Po kilku minutach był już na głównej ulicy miasteczka. Przyhamował na czerwonym świetle, przyjaznym gestem pozdrowił znajomą aptekarkę, która pomachała mu z chodnika, przecesał włosy potargane przez wiatr. Jego duże, silne, brązowe dłonie trzymały kierownicę równie pewnie, jak niegdyś łuk i włócznię. Upływ czasu nie wypędził z jego ciała duszy wojownika, przeciwnie, wzmógł go nawet.

Zerknął na wskaźnik paliwa i stwierdził, że powinien zatankować. Zjechał na stację Marva, zatrzymał się przy dystrybutorze, przesunął przez czytnik kartę kredytową i sięgnął po nalewak. Była spokojna, leniwa pora dnia, nikt poza nim nie korzystał ze stacji. Jedyne ruch, jaki mógł dostrzec, to stado mew krążące po niebie. Pewnie wypatrywały szans na posilenie się rybimi łbami, które Marv wyrzucał na tyłach swojego sklepu. John przeciągnął się i pomyślał, że zaraz po powrocie do domu pójdzie nad ocean i popływa. Zawsze go to odświeżało.

Po chwili dopływ paliwa odciął się automatycznie, co znaczyło, że zbiornik jest już pełen. John przerwał swoje rozmyślenia i odwiesił wąż. W tym samym momencie na stację wjechało ze znaczną prędkością białe bmw.

Gdy samochód zatrzymał się z drugiej strony dystrybutora, serce Johna zabiło tak mocno, że aż poczuł

ból. Powietrze wokół było naładowane wielką energią, z jaką rzadko spotkał się przez ostatnich pięćset lat.

Wiedział, że ktokolwiek był w tym aucie, albo był reinkarnacją Antonia Vargasa, albo był blisko z nim związany. Dłonie odruchowo zacisnęły mu się w pięści, a serce wypełniły wściekłość i żądza zemsty. Znów widział wioskę - kałuże krwi z obmywanych deszczem ciał, trupy dzieci, martwe ciała obdzierane z ubrań, ozdób i amuletów.

Emocje, które nim targały, były tak silne, że zachwiał się lekko. Wtedy dostrzegł, kto wysiadł z samochodu. Zobaczył wysokie, zgrabne ciało, piękną twarz, włosy ciemne jak środek nocy. Poczul żal do losu. Cóż to za ironia, że okrutna dusza, której szukał od tak dawna, wraca na ziemię w tak doskonałej postaci.

Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy, ale to wystarczyło, by nagle wszystkie jego odczucia znikły. Chwila krótsza niż jedno uderzenie serca powiedziała mu, że nie jest to osoba, której szuka, choć musiała być blisko związana z Vargasem.

Młoda kobieta miała słodką twarz o zdecydowanych, proporcjonalnych rysach. Pełne usta dodawały jej dziewczęcego uroku, choć teraz wyrażały głęboki smutek. W jej oczach dostrzegł łzy... Nagła fala współczucia niemal pozbawiła go oddechu. Nie znosił widoku płaczących kobiet. Przez kilka sekund stali tak wpatrzeni w siebie w milczeniu.

- Coś się pani stało? - zdołał w końcu wykrztusić. Alicia zadrżała. Jego spokojny, głęboki głos był jak balsam dla jej zranionej duszy. Choć na chwilę złagodził szok i ból.

- Nie... - Potrząsnęła głową. - Ja... - Otarła z łez policzki i odrzuciła głowę, nieświadoma, że ten prosty

gest ujawnił jej dumę. - Cholera - mruknęła po chwili, kiedy drżącymi palcami usiłowała zatankować samochód. - Potrzebuję paliwa.

- Pomogę pani. - Działał instynktownie, ale wiedział, że nie może utracić z tą kobietą kontaktu.

Sięgnął po nalewak i zatankował bmw.

Alicia westchnęła głęboko. Nie miała pojęcia, co powiedzieć, ale nagle przestało być to ważne. W chwili, kiedy nieznajomy znalazł się między nią a samochodem, w zupełnie absurdalny sposób, mimo stresu, napięcia i wszystkich ciężkich przeżyć ostatnich dni, zapragnęła położyć mu rękę na karku i przejechać w górę po krótkich, ciemnych włosach.

Zamiast tego jednak wyciągnęła z torebki plik banknotów, bezwiednie wpatrzona w kropelkę potu, która wolno spływała od czoła wzdłuż linii szczęki nieznajomego.

Krew zawrzała w jej żyłach, a przez głowę przeleciało kilka śmiałych myśli.

Cholera, zaklęła w duchu, co się ze mną dzieje? Czyżby to była reakcja na stres?

Ale kiedy mężczyzna się odwrócił, w jego oczach wyczytała podobne pragnienia.

- Dziękuję za pomoc, panie... - Urwała gwałtownie, gdy na stację wjechał kolejny samochód i z piskiem opon zatrzymał się tuż obok białego bmw. - Boże, tylko nie to... Znalazł mnie! - szepnęła przerażona.

ROZDZIAŁ DRUGI

John nie miał pojęcia, kim jest facet, który wysiadł z samochodu i wyglądał jak łysy kulturysta.

Zauważył, że nieznajoma panicznie go się bała.

Z zasady nigdy nie wtrącał się do cudzych sporów, ale tym razem musiał zadziałać. Nie chciał stracić z oczu kogoś, kto mógł go doprowadzić do duszy Vargasa.

Odwiesił wąż paliwowy i uważnie spojrzał na łysego kulturystę.

- Zostaw mnie, Dieter - ostrzegła Alicia.

Facet zatrzymał się z nieporadnym, na poły przeproszającym uśmiechem.

- Lepiej chodź za mną. Twój ojciec chce, żebyśmy wracali do domu.

- Jak mnie znalazłeś? - spytała zaskoczona.

- Nadajnik GPS. - Dieter wzruszył ramionami.

- Nie mówisz chyba poważnie... Ojciec zainstalował nadajnik w moim samochodzie?!

- We wszystkich autach. Myślałem, że wiesz.

- Nie miałam pojęcia. Widzę, że nie znam go tak dobrze, jak sądziłam - dodała gorzko.

Dieter zrobił krok naprzód i powtórzył:

- Chodź, pojedziesz ze mną.

- Nigdzie z tobą nie pojedę! - cofnęła się nieco.

- Ależ oczywiście, że pojedziesz. - Dieter rzucił się na nią.

Stało się jednak coś dziwnego, bo zamiast pochwycić Alicię, znalazł się twarzą w twarz z facetem, który jakby wyrósł spod ziemi.

Dieter zamarł, a potem spojrzał na Alicię.

- Kto to? - spytał. - On jest z tobą?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odezwał się John:

- Nie powinno cię interesować, kim jestem. Słyszałem, jak ta pani co najmniej dwukrotnie prosiła, żebyś odszedł.

Dieter wyciągnął wielką łapę i stuknął go palcem w pierś.

- Lepiej się w to nie wtrącaj, koleś. Nie należysz do sprawy i niech tak zostanie. Mam zlecenie od jej ojca, żeby dostarczyć ją do domu.

John złapał gruby paluch i wygiął tak, że na twarzy Dietera pojawił się grymas bólu. Nie miał pojęcia, jak to się stało, ale ten dość niewinny z pozoru chwyt go unieruchomił.

- Cholera! Puszczaj! - wrzasnął.

Ale John nie zamierzał go posłuchać. Zamiast tego odwrócił się do Alicii i powiedział:

- Zakładam, że nie jest to pani mąż?

- Skąd! - zachnęła się. - Pracuje dla mojego ojca.

- Robi pani coś nielegalnego? Jest pani poszukiwana przez policję?

- Nie, nigdy.

- Zakładam, że jest pani pełnoletnia. - Gdy parsknęła lekko, uznał to za odpowiedź twierdzącą. - Rozumiem więc, że może pani robić, co chce.

Jej oczy znów napełniły się łzami.

- Już nigdy nie będę wolna - wyszeptła do siebie. Jednak John usłyszał te słowa i niemal uśmiechnął się. Wiedział, że jej niepewność działa na jego korzyść.

Znów spojrział na Dietera, którego twarz robiła się coraz bledsza.

- Zamierzasz nadal ją ścigać? - spytał ostro.

- Rany, koleś, to moja praca.

- Więc powinna mieć trochę przewagi na starcie - mruknął John i chwycił Dietera za kark.

Łysy kulturysta padł na ziemię bez czucia. Alicia nie miała pojęcia, jak to zrobił, ale zrobił, dzięki Bogu.

- Muszę uciekać, zanim się ocknie - powiedziała cicho.

- Dlaczego obawia się pani własnego ojca? Otarła ciężko twarz.

- To koszmar. Proszę... muszę zdobyć inny samochód i ukryć się gdzieś, gdzie nie będzie mógł mnie odnaleźć, zanim wszystkiego sobie nie poukładam.

John westchnął z ulgą. Bingo. Idealne trafienie.

- Pomogę pani.

Spojrzała na niego. Oczy miał tak ciemne, że niemal nie odróżniała źrenic. Nie знаła tego człowieka. Rozpaczliwie potrzebowała pomocy, ale nie wiedziała, czy powinna mu zaufać. Mógł przecież być seryjnym mordercą albo sadystą.

Oczywiście wyczuł jej wahanie, tak zrozumiałe w tej sytuacji.

- Nazywam się John Nightwalker. - Wiedział, że musi działać szybko. - Mieszkam niedaleko stąd.

Swoje auto i tak musi pani porzucić, więc pojedziemy moim.

Pomogę pani, jak tylko zdołam, proszę więc powiedzieć, czego pani potrzebuje.

- Hm... - Uśmiechnęła się niepewnie. - Cóż... ja...

- Nie jestem człowiekiem znikąd, mieszkam w tej okolicy, wszyscy mnie tu znają i szanują. Proszę mi zaufać. Nie zawiedzie się pani.

Szóstym zmysłem czuła, że mówi prawdę.

- Dobrze, zgoda. I proszę mi mówić po imieniu. Alicia.

Miał wrażenie, że niebiosa się otworzyły, jego puls przyśpieszył gwałtownie, a w głowie były głośne dzwony. Choć jego twarz nawet nie drgnęła, serce biło jak szalone. Czyżby to miał być początek końca jego długich poszukiwań?

- Zabierzmy więc lepiej twoje rzeczy z samochodu.

- A co z nim? - Wskazała na Dietera.

- Ja się nim zajmę.

Przeszła do swojego samochodu i sięgnęła po walizkę. Kiedy się odwróciła, John właśnie wyjmował z dzipa sześciopak piwa. Otworzył puszkę, rozchylił usta Dietera i wlał w nie trochę alkoholu. Dieter zakaszłał i zdawało się, że na chwilę się ocknął. John pomógł mu wstać, przeciągnął do jego samochodu, wepchnął na siedzenie i znów pozbawił przytomności, naciskając odpowiedni nerw. Sięgnął po kolejną puszkę, polał Dietera i siedzenia auta piwem, po czym rzucił na podłogę resztkę sześciopaka, po czym spojrzał na Alicię, odebrał od niej walizkę, którą wrzucił na tylne siedzenie, i powiedział:

- Wskakuj.

Alicia odetchnęła głęboko i pomyślała o drodze, którą przebyła. Wiedziała, co zostawia za sobą. Teraz nadszedł czas, by zobaczyć, co przed nią. Spojrzała na Johna i bez słowa usiadła na miejscu pasażera.

- Zapnij się - rzucił, odpalając silnik.

Sięgnęła po pasy, podczas gdy John wybrał numer na posterunek.

- Policja. O co chodzi?

- Cześć, Carl, tu John Nightwalker. Jestem na stacji benzynowej. Przy jednym z dystrybutorów stoi porzucony samochód, a obok, w drugim, śpi pijany facet. Zajmijcie się tym, zanim zablokują Marvowi stację.

- To ktoś z okolicy?

- Nie, tablice rejestracyjne są z innego stanu.

- Zaraz tam kogoś wyślę - obiecał Carl. - Dzięki za informację.

- Nie ma sprawy. - John rozłączył się.

- Dziękuję - szepnęła Alicia. Bez słowa skinął głową.

Wyjechali na główną drogę. Milczenie stawało się coraz bardziej kłopotliwe.

Co ja właściwie wyprawiam, zastanawiała się. Zaczęło do niej docierać, że zdała się całkowicie na łaskę tego mężczyzny. Mogła się tylko modlić, by nie ściągnąć na siebie większych kłopotów niż te, od których właśnie próbowała uciec.

- Nie skrzywdzę cię - usłyszała spokojny głos Johna.

Drgnęła zaskoczona. Odwróciła głowę w jego kierunku i natknęła się na uważne spojrzenie. Trwało to ledwie sekundę, ale znalazła w nim coś kojącego.

Rozparła się wygodniej na siedzeniu i spróbowała uspokoić oddech.

Łagodny wiatr, który wpadał przez okno, rozrzucał jej ciemne włosy, odgarnęła je więc niedbale. Po raz pierwszy od tamtej straszliwej chwili, kiedy usłyszała rozmowę ojca, czuła się w miarę bezpiecznie. Po kilku

dniach nieustannego stresu niemal zapomniła, jakie to uczucie.

Richard niecierpliwie bębnił palcami po biurku i zerkał na telefon. Dieter miał wystarczająco dużo czasu, by wszystko załatwić, a tu żadnej wiadomości. Zirytowany wybrał jego numer, nagrał ostrą wiadomość na pocztę głosowej i wyszedł na obiad. Był pewien, że podwładny tylko na chwilę stracił łączność i wszystko jest pod kontrolą.

Sam Dieter już od dawna nie czuł się tak niepewnie. Właśnie się przebudził i ze zdumieniem rozglądał się po otoczeniu. Takich wewnątrz nie sposób było nie rozpoznać. Nieraz już bywał w więzieniu, ale zawsze dotąd pamiętał, jak się tam dostał. Tym razem jednak nie miał pojęcia, ani dlaczego, ani kiedy tu trafił. Usiadł na pryczy, przeciągnął dłońmi po twarzy, po czym podniósł się i mocno potrzęsął kratami.

- Strażnik! - wrzasnął. - Muszę zadzwonić!

Po chwili po drugiej stronie korytarza pojawił się chudy mężczyzna w mundurze.

- Co tam?

- Muszę zadzwonić - powtórzył Dieter niecierpliwie. - Przynieś mi mój telefon!

Strażnik wzruszył ramionami.

- Możesz zadzwonić z naszego. Na twój koszt. Rozumiesz?

- Nic nie rozumiem! - irytował się Dieter. - Jak się tu w ogóle dostałem?

- Przywieźli twoją zapitą dupę - wyjaśnił strażnik tonem człowieka, który niejedno już widział.

Dieter zamarł. Był abstynentem.

- Do diabła... - wymamrotał.

Alicia. I ten wielki Indianin. Richard go zatłucze.

- Tu masz telefon. - Strażnik podał mu przez kraty niewielki aparat. - Załatw to szybko.
- Gdzie jestem? - spytał jeszcze Dieter. Nie miał pojęcia, gdzie go wywieźli.
- W więzieniu - odparł strażnik usłużnie.
- Bardzo śmieszne... - Zaklął pod nosem. - Jak się nazywa ta pipidówka?
- Jesteś w Georgii, w Justice. Jak za bardzo nie wagarowałeś w szkole, to pewnie słyszałeś o Georgii. A jak polecisz palcem po mapie, to znajdziesz Justice - drwił w żywe oczy strażnik.

Dieter spiorunował go wzrokiem.

- Potrzebuję prywatności.
- Gówno, nie prywatność. - Oczy strażnika stwardniały. - Masz prawo do jednego telefonu, a ja będę słyszał każde twoje słowo.

Dieter zaklął w duchu, ale wiedział, że nic nie wskóra.

Gdy wybierał numer Richarda, zastanawiał się gorączkowo, czy powinien go prosić o pomoc. Coś mu mówiło, że pewnie lepiej pozostać za kratami.

Richard nie odbierał, więc zostawił mu wiadomość:

- Panie Ponte, tu Dieter - mówił półgłosem. - Jestem w Justice, w Georgii, w... w więzieniu. Dopadłem Alicię na stacji benzynowej, ale nie była sama. Pewnie ten jej facet mnie ogłuszył. Nie wiem, jak znalazłem się w więzieniu, ale ktoś musi wpłacić za mnie kaucję.

Zakończył rozmowę i oddał słuchawkę. Richard nie potrzebował więcej wskazówek, będzie wiedział, co robić.

Kiedy strażnik odszedł, Dieter opadł na pryczę i westchnął ciężko. Nie wyglądało to dobrze. Szczerze mówiąc, całkiem kiepsko.

Alicia przywykła do wszystkiego, co najlepsze. Przez całe życie miała do dyspozycji luksusowe samochody, eleganckie ciuchy, wszystko, co można dostać za pieniądze. Niewiele mogło ją zaskoczyć.

Kiedy John powiedział, że zabiera ją do siebie, była pewna, że pojedą do zwykłego domku na przedmieściach, jednak to, co zobaczyła, przerosło jej najśmielsze oczekiwania.

Dom był wspaniały. Imponujący, cudownie harmonijny budynek z drewna, kamienia i szkła zdawał się niemal wyrastać z klifu. Okna wkomponowane były tak, że nawet teraz, stojąc na podjeździe, widziała na przestrzał błękitną taflę oceanu rozciągającego się z tyłu.

Bez słowa wysiadła z samochodu i podeszła do krawędzi klifu, zahipnotyzowana widokiem, który się tam rozpościerał. Ale im dłużej tu stała, tym bardziej była pewna, że ten dom nie został zbudowany dla tych wspaniałych widoków. Rozejrzała się wokół i dostrzegła, że budynek usytuowano tak, aby nikt nie mógł podejść do niego niezauważony.

Czuła w powietrzu głęboki smutek, rozpacz. Czego John Nightwalker wypatruje przez te wielkie okna? - zapytywała się w duchu.

- Witam w moim domu - powiedział.

Nie była w stanie odpowiedzieć. Skinęła tylko głową i wróciła do samochodu po walizkę. Poczekała, aż John wypakuje wszystkie zakupy, i podążyła za nim.

Był tak podekscytowany, że ledwie mógł się skupić na najprostszyc czynnościach. Po tylu wiekach czekania wreszcie dopadnie swojego wroga, a w każdym razie bardzo zbliżył się do niego.

Tylko raz był równie blisko. Zdarzyło się to niemal przed wiekiem w pociągu pędzącym przez środkową

Europę. Wtedy dzieliło ich tylko kilka wagonów, był tego pewien, bo krew krążyła mu w żyłach z niesłychaną prędkością, a wszystkie zmysły gwałtownie się wyostrzyły. Przeszukiwał kolejne przedziały, czując niemal rytm serca Vargasa, gdy nagle ostre szarpnięcie wyrwało wszystkich z siedzeń. Rozległ się huk i pociąg się wykoleił. Gdy John ocknął się po jakimś czasie, słyszał wokół tylko rozpaczliwe krzyki i czuł przejmującą pustkę, która mogła znaczyć tylko jedno. Kimkolwiek był jego wróg w tym wcieleniu, już nie żył, ale John w żaden sposób się do tego nie przyczynił.

Wtedy nic się nie rozstrzygnęło.

Teraz skupił uwagę na kobiecie, która właśnie przekraczała próg jego domu. Z całych sił starał się okiełznać targające nim emocje. Nie chciał jej przestraszyć, ale z wielkim trudem zachowywał spokój. Tak długo czekał na zemstę. Musiał się dowiedzieć, czy jej ojciec jest człowiekiem, którego szukał. Tak przypuszczał, ale upewni się dopiero wtedy, gdy stanie z nim twarzą w twarz.

Nie próbował nawet wyobrazić sobie, co się wtedy stanie. Chciał wreszcie wyrównać rachunki, to wszystko. Nawet jeśli sam miałby już po minucie nie żyć.

- Tutaj jest kuchnia - odezwał się, prowadząc ją w głąb domu.

Alicia szła za nim i oczarowana rozglądała się wokół. Wysmakowane wnętrza roztaczały aurę spokoju i bezpieczeństwa. Przesuwała zachwyconym wzrokiem po bladoniebieskich ścianach, jasnej terakocie i starannie dobranych dodatkach.

Na lewo od korytarza zauważyła dużą, doskonale wyposażoną bibliotekę.

Ściany ozdobione były dziełami sztuki i wytworami

rzemiosła ludowego. Jak się zorientowała, większość była pochodzenia indiańskiego.

John podszedł do wysokiego okna i otworzył je. Do pokoju wpadła bryza, poruszając białymi zasłonami, które zwisały od sufitu aż do podłogi. Pomieszczenie wypełnił aromat słonego powietrza i zmieszał się z innym, słodkawym zapachem. Przez chwilę rozglądała się, próbując zlokalizować, skąd dochodzi ten upojny aromat, kiedy w końcu jej wzrok spoczął na dużym wazonie wypełnionym kwiatami glicynii.

- Te kwiaty... - odezwała się miękko.

- Tak? - Spojrzał na nią.

- Są piękne...

Powiedziała to takim tonem, że John po raz pierwszy miał poczucie winy. Ta kobieta miała poważne kłopoty, w każdym razie tak sądziła, a on wykorzystywał ją do swoich celów. Cóż, nie było innego wyjścia.

- To były ulubione kwiaty Białej... mojej żony - wyjaśnił, spoglądając na wazon pełen białych i fioletowych kwiatów, których łodygi uginały się pod własnym ciężarem. - Rosły dziko tam, gdzie żyliśmy.

- Twoja żona nie żyje? - spytała łagodnie. Drgnął na wspomnienie martwego spojrzenia Białej Sarenki i krwi na jej piersi, ale zdusił ból.

- Od wielu lat. - Szybko zmienił temat: - Schowam zakupy do lodówki, a potem zaprowadzę cię do pokoju. Możesz tu zostać tak długo, jak chcesz, aż zdecydujesz, co robić dalej. Zgoda?

- Tak. I... dziękuję...

W milczeniu skinął głową. Wiedział, że nie byłaby tak wdzięczna, gdyby znała prawdziwe motywy jego postępowania.

Alicia stała na balkonie, podziwiała ocean i obserwowała błędne światła na niebie. Gdy poprosiła Johna, żeby pokazał jej miejsce, skąd rozciąga się najwspanialszy widok, przyprowadził ją tutaj, a potem dyskretnie się usunął.

Chłodna bryza uniosła z karku jej włosy i delikatnie pieściła skórę. Zatraciła poczucie czasu, zachwycona pięknem natury, ogarnięta dziwną emocją.

Usłyszała z tyłu ciche kroki, a po chwili poczuła na ramionach coś ciężkiego i ciepłego. Ten gest był równie miły, co niespodziewany.

- Dziękuję - powiedziała miękko, nie odrywając wzroku od oceanu. - Tak tu cudownie, zaklęta kraina... Sam wiesz to najlepiej.

Wiedział, że nie mówiła tylko o widokach. I po raz pierwszy, odkąd tu była, spojrzał na nią jak na wspaniałą, dzielną, atrakcyjną kobietę, a nie tylko środek prowadzący do upragnionego celu.

- Tak... bardzo tu pięknie... - niemal szepnął.

- Myślę, że... - Zerknęła na niego, uchwyciła jego uważne spojrzenie i straciła wątek.

- Powiedz mi coś o sobie - poprosił po chwili.

- Co chcesz wiedzieć? - spytała ostrożnie.

- Na przykład, gdzie mieszkasz?

- Przez większość czasu w Miami.

- Twój ojciec też? Skinęła głową.

Bingo! Z trudem skrył uśmiech. Wiedział więc, dokąd zmierzać. Jego walizka zawsze była spakowana. Alicia może tu zostać, jak długo zechce, albo uciekać dalej, on w każdym razie jutro rano jedzie do Miami.

Najważniejszą informację już zdobył, ale im więcej

się dowie, tym pewniejszy będzie sukces, na który tak długo czekał.

- Dlaczego uciekasz przed ojcem? - spytał. Ściągnęła sweter pod brodą.

- To paskudna historia - mruknęła niechętnie.

- Słyszałem już paskudne historie - zapewnił ponuro.

Rozważała, czy powiedzieć mu prawdę, aż wreszcie uznała, że skoro jej pomagał, nie mogła niczego przed nim ukrywać. Musiał wiedzieć, że to, co robi, może narazić go na poważne niebezpieczeństwo.

- Kilka dni temu podsłuchałam pewną rozmowę...

- Przerwała na moment. - Dowiedziałam się, że mój ojciec sprzedaje broń terrorystom... Tym samym, z którymi nasi żołnierze walczą w Iraku.

Spojrzał na nią zdumiony. To była ostatnia rzecz, która przyszłaby mu do głowy. Młode kobiety zwykle uciekają z domu z zupełnie innych powodów.

- Jesteś pewna? Może to jakieś nieporozumienie? Spojrzała na niego ostro.

- O ile wiem - skontrowała podniesionym tonem

- jest tylko jeden Osama bin Laden i tylko jedna Al-Kaida.

John poczuł, że brakuje mu tchu. W milczeniu podszedł do balustrady balkonu, chwycił mocno poręcz i patrzył w mrok. Od wieków czekał na chwilę, kiedy wreszcie będzie mógł wymierzyć sprawiedliwość Vargasowi za tragedię, która spadła na jego lud, ale w tej sytuacji prywatna zemsta mogła poczekać. W pierwszym rzędzie trzeba zająć się bezpieczeństwem tych wszystkich ludzi, którzy gdzieś daleko walczyli za ojczyznę, a spadała na nich okrutna, cyniczna zdrada.

- Jak nazywa się twój ojciec? - spytał, odwracając się do niej. - W jaki sposób nawiązał takie kontakty?

- Nazywa się Richard Ponte i jest największym producentem broni na zachodniej półkuli.

Panująca wokół ciemność na szczęście ukryła szok malujący się na twarzy Johna. Wygląda na to, że dusza Vargasa nie nauczyła się wiele przez te wszystkie stulecia...

Spojrzał na Alicię. Drżała, i pewnie nie tylko z zimna. Wyraźnie bała się swojego ojca. Czego tak naprawdę się obawiała?

- On wie, że podsłuchałaś tamtą rozmowę? Zgarbiła ramiona, ciaśniej owinęła się swetrem.

- Tak... Powiedziałaś mu to, a on się przestraszył. Poznałam to po głosie. Na pewno zakłada, że kiedy dotrę do kogoś, komu zaufam, o wszystkim mu opowiem.

John czuł, jak zimny dreszcz przebiega mu przez plecy. Owszem, słuch go nie mamił, usłyszał, co usłyszał, i bezwzględnie wierzył Alicii, lecz jakże trudne było to do uwierzenia! Duchy Przodków musiały się nieźle bawić, widząc ten nieoczekiwany zwrot akcji. Jeśli Richard Ponte naprawdę jest osobą, której szuka, będzie trzeba ustawić się w kolejce, żeby go dopaść.

- Do czego może się posunąć, by cię powstrzymać? - spytał.

Umknęła wzrokiem. Zadawała sobie to pytanie od wyjazdu z Miami. Nie miała ochoty wypowiadać głośno tego, co przychodziło jej do głowy, ale nie było wyjścia. Wplątała Johna w tę aferę i winna mu była całkowitą szczerość.

- Zrobi wszystko, co będzie konieczne, by mnie uciszyć.

Potrząsnął głową w milczeniu. Nie mógł uwierzyć w aż takie łajdactwo. A zarazem wierzył...

- Mógłby cię... zabić? Skinęła głową.

Nastała długa chwila ciszy, którą w końcu przerwała Alicia:

- Cóż... Pewnie teraz żałujesz, że nie zostawiłeś mnie na stacji benzynowej...

Nie wiedziała, że ma łzy na policzkach, ale John je dostrzegł. Do licha... Nie chciał jej współczuć.

Usłyszał, że odetchnęła głęboko, co podejrzenie przypominało szloch.

- No, już dobrze... - mruknął. Księżyc odbił się w srebrnym piórze kolczyka, kiedy przysuwał się do niej. Zanim zorientowała się, co się dzieje, była już w jego ramionach z nosem wciśniętym w twardą klatkę piersiową. - Proszę, nie myśl o tym, że twój ojciec jest w stanie cię zabić. To zbyt trudne do zniesienia...

Łagodny ton jego głosu sprawił, że ogarnęło ją złudne poczucie bezpieczeństwa. Był taki duży, silny i przybył jej na ratunek, gdy tak bardzo tego potrzebowała. Ale musiała być z nim szczerą. Wciąż to sobie powtarzała w duchu. Jeszcze przez chwilę rozkoszowała się spokojem płynącym z Johna i siłą jego ramion, aż wreszcie powiedziała ze śmiertelną powagą:

- Musisz coś wiedzieć. Jeśli będziesz mi pomagał, sam narazisz się na poważne niebezpieczeństwo.

- Nie martw się o mnie - rzucił stanowczo.

- Ale...

W milczeniu pokręcił głową. Podjął już decyzję. Najpierw pomoże jej dotrzeć do odpowiednich ludzi, a potem zajmie się swoimi sprawami. To było dobre rozwiązanie. Nie tylko dobre. Jedyne właściwe.

- Zapewniam, że potrafię o siebie zadbać. I o ciebie też, jeśli mi pozwolisz.

- Sama nie wiem... I tak już za bardzo cię w to wszystko wciągnęłam.

- To prawda, wciągnęłaś - skomentował z lekkim uśmiechem, który nadał tym słowom specjalne znaczenie. Też musiała się uśmiechnąć. To była dobra chwila. - A skoro tak, to za późno na jakiegokolwiek wątpliwości. Co zamierzasz robić dalej?

- Jeszcze nie wiem. Ojciec ma wysoko postawionych przyjaciół. Jego wpływy są znacznie większe, niż wynikałoby to z i tak wysokiej pozycji, którą zajmuje w biznesie.

Wsunął ręce w kieszenie, spojrzał na wodę. Przez chwilę patrzył na fale uderzające o skały. Bił się z myślami, w końcu jednak przyzwoitość zwyciężyła. I wcale go to nie ucieszyło.

- Możliwe, że znam odpowiedniego człowieka.

- Ufasz mu?

Odwrócił się do niej powoli.

- Jak sobie samemu.

- Będę ci wdzięczna, jeśli mnie z nim skontaktujesz, ale to musi stać się szybko. Jestem pewna, że gdy ojciec zorientuje się, co chcę zrobić, ucieknie. Może się ukryć w dowolnym miejscu świata. A wtedy stanę się łatwym celem.

- Jutro do niego zadzwonię, teraz jednak powinnaś się przespać.

Miał rację. Nie wiedziała, czy będzie w stanie zasnąć, ale z pewnością powinna odpocząć. Oddała mu sweter, pożegnała się i przeszła do pokoju, który wcześniej jej wskazał.

John został sam. Przez chwilę stał, patrzył na ocean i ścisnął w rękach sweter. Wciąż był ciepły od jej ciała.

Potem wszedł do pokoju i zamknął drzwi balkonowe.

Zasłużył na odpoczynek. Miał nadzieję, że tym razem obejdzie się bez sennych wizji, jednak po tak ekscytujących przeżyciach szansa na to była niewielka.

Spojrzała na niego znad ogniska i uśmiechnęła się, gdy podszedł.

- Przygotowałam twoje ulubione danie - odezwała się Biała Sarenka.

Nocny Wędrowiec sięgnął do kociołka i spróbował.

- Więcej jagód. Zaśmiała się.

- Zawsze to powtarzasz. - Dorzuciła garść małych czarnych owoców.

Wyciągnął rękę, by pogłaskać jej głowę, a ona pochyliła się ku niemu.

- Chciałabym leżeć z tobą. - Spojrzał na nią tak, że poczuła skurcz w brzuchu.

- A ja z tobą.

Nocny Wędrowiec zestawił kociołek z ognia, po czym wszedł za Białą Sarenką do wigwamu. Opuścił zasłonę przy wejściu i zrzucił skórę, która okrywała mu biodra.

Biała Sarenka już była naga. Nie odrywając od niego miłosnego spojrzenia, położyła się na futrach, które były ich łóżem, i czekała, aż do niej dołączy. Położył się obok, a potem uniósł na łokciu, wsunął dłoń między jej uda i rozchylił je delikatnie.

Jej serce bilo mocno w oczekiwaniu nadchodzącej rozkoszy.

Wiedział, że jest gotowa. Wsunął się w jej cudownie ciepłe ciało. Objęła go nogami i przyciągnęła mocniej do

siebie. Zaczął się poruszać. Wychodziła mu naprzeciw przy każdym pchnięciu. Czas się dla nich zatrzymał.

Zapach dymu mieszał się z wonią namiętności. Przy każdym pchnięciu czuł na sobie wilgotne ciepło Białej Sarenki. Była dla niego najpiękniejsza. Nigdy nie miał dość tej kobiety. Dzierżyła jego serce i wiedział, że tak będzie zawsze.

Po chwili miłosny rytm stał się bardziej szalony, ostrzejszy, aż w końcu doprowadził ich oboje do wybuchu. Biała Sarenka obejmowała go mocno, kiedy wystrzelił swe nasienie w jej bezowocne łono, a potem zalała się łzami szczęścia, gdy opadł na nią z jękiem zaspokojenia.

John usiadł gwałtownie, przez kilka sekund rozglądał się tęsknym wzrokiem za kobietą, z którą przed chwilą się kochał. W końcu drżącą ręką otarł twarz i wstał z łóżka. Nie pamiętał o swoim gościu, gdy kroczył nagi przez dom. Wyłączył systemy alarmowe i wyszedł na zewnątrz.

Zimne powietrze chłodziło rozpaloną skórę, gdy schodził zboczem klifu na brzeg. Wszedł do wody i zanurkował w nadciągającą falę. Wyrzucił ramiona i z zacięciem walczył z żywiołem. Nie wiedział, jak długo pływał. Przestał dopiero wtedy, gdy mięśnie mu płonęły, a nogi miał jak z waty. Przewrócił się na plecy i spojrzał w stronę lądu. Z tej odległości jego dom miał rozmiary dziecięcej zabawki.

Czuł, że jego gniew minął, pozostało za to wielkie zmęczenie. Nie był w stanie myśleć o niczym, gdy rytmicznymi, spokojnymi ruchami pokonywał dystans dzielący go od brzegu.

Nad horyzontem jaśniał już świt, kiedy wyszedł z fal.

Stopy wlokły mu się leniwie po ziemi, gdy rozpoczął wspinaczkę po klifie. Alicia przebudziła się gwałtownie. Serce biło jej mocno, oczy miała szeroko otwarte ze strachu. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest i jak się tu znalazła, jednak zawieszony na ścianie łapacz snów przywrócił jej pamięć.

John Nightwalker.

Przetarła twarz dłońmi, wstała z łóżka i przeciągając się, ruszyła do łazienki. Gdy wróciła po kilku minutach, budzik właśnie wskazywał dziesięć po szóstej. Łóżko kusilo ciepłem i lenistwem, ale wiedziała, że nie może pozwolić sobie na dłuższy sen. Im szybciej ujawni zdradzieckie knowania ojca z terrorystami, tym szybciej będzie bezpieczna. Kiedy cała sprawa wyjdzie na jaw, Richard Ponte zrozumie, że uciszanie córki nie ma sensu, a nawet pogorszy jego sytuację. Wiedziała, że nic innego go nie powstrzyma. Wiedziała, jak bardzo jest bezwzględny, cyniczny i okrutny. To matka nauczyła ją, co to znaczy kochać. Lekcje życia, które odebrała od ojca, składały się z rozczarowań i kłamstw. Ale matka nie żyła już od lat, a w tym czasie Alicia stała się dorosłą i silną kobietą. Z całą determinacją - jedyną cechą odziedziczoną po ojcu - przysięgła, że doprowadzi do jego upadku.

Zerknęła na leżącą na podłodze walizkę i już miała sięgnąć po świeże ubranie, gdy spojrzała w okno. Właśnie nadchodził brzask i myśl o ogromnej kuli słońca wyłaniającej się zza horyzontu podziałała na nią jak magnes. Bez namysłu zbiegła więc na dół, a potem przez trawnik przeszła do krawędzi klifu. Rześkie poranne powietrze igrało z jej koszulą i ciasno oplatało materiał wokół ciała. Oparta o balustradę,

zapatrzyła się w dal. Widok świetlistej jutrzzenki na wschodzie hojnie spełniał jej oczekiwania. Jeszcze chwila, a pojawi się słońce w całej swej wspaniałości.

Była tak skupiona na tym widoku, że nie dostrzegła mężczyzny, który właśnie dopływał do brzegu.

Nagle słońce się wyłoniło z oceanu i w jednej chwili stał się dzień.

Uśmiechnęła się zachwycona i już miała odejść, gdy wreszcie go zobaczyła. Wynurzał się z oceanu równie pewnie i miarowo jak słońce.

Pierwszym uczuciem, które pojawiło się w jej sercu, był pełen zachwyty podziw. A drugim pożądanie.

Nawet w ubraniu miał wspaniałą figurę. Ale nagi był absolutnie cudowny.

Zwiesił głowę, szedł ociężale. Kroczył przez plażę, jakby dźwigał na sobie ciężar całego świata.

Zatrzymał się na chwilę, a potem zakrył twarz dłońmi. Nawet stąd czuła jego smutek. Przypomniała sobie, z jakim uczuciem mówił o zmarłej żonie... Sama nigdy nie poznała takiej miłości.

Po chwili John opuścił ręce i spojrzał w stronę domu. Teraz ona zamarła. Mógł ją dostrzec. Nie miała pojęcia, co powinna zrobić. Jeśli teraz odejdzie, gotów pomyśleć, że zawstydziła się, przyłapana na podglądaniu.

Zrobiła więc jedyną sensowną rzecz, czyli pomachała do niego i zawołała:

- Dzień dobry! Wschód słońca był cudowny! - i poszła do domu.

Kilka minut potem była już przebrana w błękitne szorty i luźną białą bluzkę.

Boso ruszyła do kuchni, by wypić kawę. Gdy tam się znalazła, tylnymi drzwiami do środka wszedł John.

- Dzień dobry! - pozdrowił ją i przeszedł przez

kuchnię, zostawiając za sobą wilgotne piaszczyste ślady.

Skinęła głową, ale odpowiedź utknęła jej w gardle. Wciąż był nagi, jednak tym razem nie to zrobiło na niej największe wrażenie. Nie mogła oderwać wzroku od jego ciała. Całe pokrywały blizny. Niektóre były poszarpane, od ran zadanych różnymi narzędziami. Zdawało się, że nie ma nawet fragmentu gładkiej skóry.

Co, na litość Boską, musiał przejść ten człowiek?

ROZDZIAŁ TRZECI

Dieter słuchał lodowatego z wściekłości głosu szefa i jedyne, co go pocieszało, to fakt, że Richard Ponte był daleko stąd. Przekładał słuchawkę od ucha do ucha i ze skrzywioną miną spacerował po zamkniętym parkingu.

- Wiesz chociaż, dokąd uciekła? - warknął Richard.

- Jeszcze nie, szefie. Dopiero co wyszedłem z więzienia i jestem w drodze do auta.

- Lepiej więc się pośpiesz... Lepiej szybko dokończ zlecenie, chłopcze, albo możesz nie wracać. A jeśli zjawisz się tu bez mojej córki, osobiście cię zabiję.

Dieter mimowolnie przyśpieszył kroku, w duchu jednak tłumaczył sobie, że to tylko taka przenośnia. Richard nie mówi serio.

Jednak szef spytał lodowatym tonem:

- Czy dobrze się rozumiemy?

Wtedy Dieter zmienił zdanie. Szef mówił poważnie.

- Rozumiem doskonale - zapewnił. - Oddzwonię, jak tylko ją zlokalizuję.

- Lepiej niech to szybko nastąpi.

- Oczywiście. - Dieter błagał w myślach, żeby ta

rozmowa wreszcie się skończyła, dlatego z ulgą przyjął ciche kliknięcie. Wrzucił telefon do kieszeni, wydłużył krok i dotarł na strzeżony parking.

Był wdzięczny losowi, że jeśli już coś takiego musiało mu się przytrafić, to szczęśliwie w takiej dziurze. Dyskretnie sprawdził zawartość bagażnika i stwierdził, że niczego nie brakowało. Czarny marynarski worek leżał za kołem zapasowym, przysłonięty skrzynką z narzędziami. Wyciągnął go, cicho mruczając z zadowolenia, że wszystko było na miejscu.

Dwa pistolety ze sporym zapasem amunicji, komplet wytrychów i kilka wiertel - podstawowy zestaw włamywacza. Oprócz tego miał też apteczkę wzbogaconą o środki odurzające i paralizujące.

Zamknął torbę, schował ją ponownie za koło zapasowe i zatrzasnął klapę bagażnika.

Po chwili silnik samochodu cicho szumiał. Dieter zastanawiał się, od czego zacząć poszukiwania.

Postanowił, że najpierw odwiedzi stację i zajazd „U Mar-va”, bo tam ostatni raz widział Alicję.

Daisy Broyles przyszła do pracy u Marva Spauldinga krótko po swoich szesnastych urodzinach i już tu została. W wieku dziewiętnastu lat ugruntowała swoją pozycję zawodową, zostając panią Spaulding, i aż do teraz jej kolejne dni biegły spokojnym, przewidywalnym torem. Mieszkali w niewielkim ceglanym domku na tyłach stacji, a niespieszne życie w sennym miasteczku w zupełności odpowiadało temperamentowi Daisy.

Ten ranek zaczął się tak samo jak każdy inny. Właśnie otworzyły się drzwi i weszli Herbert i Hubert Cooperowie - para starych kawalerów, jednojajowych bliźniaków. Jak zawsze zamówili dwie kawy i cztery świeżo

upieczone cynamonowe ciasteczka, po dwa dla każdego. Potem wpadła Su Walters po paliwo do kosiarki, a jej trzech synowie długo stali przed ladą, każdy z dolarem w dłoni, zanim zdecydowali się, na co wydać kieszonkowe. W końcu zamówili duży napój gazowany i paczkę cukierków. I tak mijał poranek, codzienne wydarzenia następowały miarowo jedno po drugim.

Zapach cynamonowych ciasteczek powoli się ulatniał, by ustąpić aromatom dań obiadowych. Daisy właśnie wykładała apetycznie pachnące udka kurczaka, gdy dostrzegła, że obcy samochód parkuje przed samymi drzwiami.

Nie, nie całkiem obcy, bo rozpoznała to auto. Zmarszczyła czoło. To ten facet, który wczoraj zasnął pijany przed dystrybutorem. Gdy więc wszedł do środka, przybrała groźną minę, oparła się o ladę i skrzyżowała ręce na wydatnym biuście. Jeśli zamierzał kupić tu alkohol, powie mu, co myśli o takich jak on.

Dieter nie miał pojęcia, co właściwie się z nim wczoraj stało, ale nie miało to teraz znaczenia.

Odnalazł samochód Alicji na tym samym strzeżonym parkingu, co wcale nie poprawiło mu nastroju.

Spaprał sprawę, mówiąc jej o tym nadajniku GPS. Był jednak przekonany, że ona wie. Teraz znów uciekła, ale czym? Musiał dowiedzieć się, kim był ten wielki Indianin, który jej wczoraj towarzyszył.

Jak na razie to jedyny trop.

Pchnął drzwi do jasno oświetlonego zajazdu przy stacji benzynowej i od progu natknął się na groźną minę barmanki, najwyraźniej niespecjalnie zadowolonej z faktu, że go tu widzi.

- Hm... Zastanawiam się właśnie, czy pracowała tu pani wczoraj...?-spytał, starając się zrobić jak najlepsze wrażenie.

Daisy zmierzyła go wrogim spojrzeniem.

- Jestem tu codziennie. Kupuje pan paliwo?

- Nee... Myślałem raczej...

- Tak?

- Wie pani, zastanawiam się...

- Proszę wreszcie wykrztusić, o co panu chodzi - zniecierpliwiła się Daisy. - Nie jestem na wakacjach, tylko w pracy.

- Tak, tak, oczywiście - przymilał się. - Widzi pani, wczoraj...

- Wiem, co zdarzyło się wczoraj - przerwała mu z groźnym błyskiem w oku. - Zasnął pan pijany przy naszej pompie. Nie lubimy tu kierowców pijusów.

Nie zamierzał protestować i wdawać się w szczegóły. Potrzebował tylko kilku informacji, dlatego postanowił ocieplić atmosferę.

- Przepraszam za wszystko. Mam nadzieję, że nie narozrabiałem.

Daisy zmarszczyła nos.

- No, może straciłam kilku klientów przez to, że blokował pan pompę.

- Cóż... jeszcze raz przepraszam...

- Co pana znów tu sprowadza?

- Wczoraj, gdy przyjechałem, przy tamtej pompie stał taki wysoki mężczyzna... Może pani go zna?

- Nie zwracam uwagi na to, kto tankuje. Mnóstwo ludzi się tu zatrzymuje, ale większość płaci kartą przy dystrybutorze. A jak on wyglądał? - zainteresowała się.

- Wysoki Indianin, krótko obcięte ciemne włosy i kolczyk w uchu.

- Aaa, Duży John - oznajmiła z uśmiechem. Poczł, że puls mu przyśpiesza. Znała go! Może wreszcie los potraktuje go łaskawiej.

- John! Rzeczywiście, właśnie takie imię mi podał - improwizował. - Gdzie go znajdę?

Oczy Daisy zwały się podejrzliwie.

- A o co chodzi?

- Bo... kiedy rozmawialiśmy, wspomniał, że ma samochód na sprzedaż. Pomyślałem, że mógłbym wpaść i go obejrzeć, póki jestem w okolicy.

- Nie wiem dokładnie, gdzie mieszka Duży John, ale gdzieś w tamtym kierunku. - Machnęła ręką, wskazując północ.

- Zapomniałem, jak się przedstawił. Chyba rzeczywiście John, ale dalej nie pamiętam - drażył ostrożnie.

- Nightwalker. John Nightwalker - oznajmiła Daisy. Dieter uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Bardzo dziękuję.

Pożegnał się i wsiadł do samochodu. Sprawy wreszcie zaczynały się układać.

Richard Ponte chodził po swoim gabinecie, miotając się między paniką a wściekłością. To zaczynało przypominać jakiś koszmar. Z takim trudem zbudowane imperium mogło się zawalić, a najgorsze było to, że zagrożenie przyszło z zupełnie nieoczekiwanej strony. Właściwie można by powiedzieć, że sam je stworzył.

Spojrzał na zegarek. Od ostatniej rozmowy z Dieterem minęła ledwie godzina. Z trudem powstrzymał się, by nie zadzwonić do Alicii i nie nakłaniać jej do powrotu, ale wiedział, że na nic by się to nie zdało. Musiał przyznać, że pomylił się co do córki. Miał ją za lekko traktującą życie pannę z wyższych sfer, dla której nie ma znaczenia, z jakiego źródła pochodzą pieniądze, ważne, żeby zapewniały luksus. Okazało się jednak, że tak naprawdę w ogóle jej nie znał. Ale najbardziej

zaskoczyła go wiadomość, że Alicia nie była sama. Kim jest facet opisany przez Dietera? W jaki sposób go poznała?

Właśnie dolewała sobie kawy, gdy w kuchni pojawił się John. Tym razem, na szczęście, był ubrany.

- Jadłaś już? - spytał. - Mam nadzieję, że znalazłaś wszystko, czego potrzebowałaś.

- Kawa wystarczy.

Przebiegł spojrzeniem po jej szczupłym ciele, po czym sięgnął do szafki i wyjął dwie miseczki.

- Tam są płatki. - Wskazał półkę za jej plecami. - Wybierz sobie, jakie chcesz. Ja poproszę czekoladowe.

- Naprawdę kawa to wszystko, czego potrzebuję, by...

- Jesteś za chuda - uciął bezceremonialnie. Spojrzała na niego zaskoczona. W jej eleganckim świecie coś takiego byłoby niemożliwe. John wybrał płatki czekoladowe, z uśmiechem poszła jego śladem. Kolorowe, dziecinne rysunki na pudełku w zestawieniu z posepnym, olbrzymim Indianinem robiły zabawne wrażenie.

- Nigdy nie jadam słodczy na śniadanie.

- Naprawdę? A to dlaczego?

- Bo nikt mi nie zaproponował - powiedziała po namyśle.

- Nigdy sama nie szykujesz sobie posiłków? - spytał zaciekawiony.

- Nie - przyznała zażenowana.

Mimo woli pomyślał o Białej Sarence, jak klęczy nad skórą i garbuje ją z wysiłkiem, wędzi nad ogniskiem jeleni udziec czy zbiera jagody, żeby doprawić posiłek tak jak lubił. Miała potem palce niebieskie od soku...

Odetchnął głęboko. Wiedział, że nie powinien osądzać Alicii, ale nie mógł powstrzymać się od złośliwej uwagi:

- Wygląda na to, że już dawno powinnaś uciec z domu.

- Pewnie masz rację - zgodziła się pogodnie. - Podaj mi płatki, mam ochotę na dokładkę.

Z uśmiechem sięgnął po pudełko.

Chyba pierwszy raz zobaczyła jego uśmiech... i poczuła się nader dziwnie. Litości! - jęknęła w duchu. Szczęśliwie John odwrócił się, by wyjąć mleko z lodówki i nie dostrzegł jej zmieszania. Zanim wrócił do stołu, zdążyła już wziąć się w garść.

Resztę posiłku zjedli w milczeniu. Co jakiś czas zerknęła tylko na Johna. Miała ochotę zapytać o blizny na jego ciele, ale zabrakło jej odwagi.

W pewnej chwili John uchwycił jej ukradkowe spojrzenie, ale ku zaskoczeniu Alicii nie odwrócił wzroku.

Zamarła zawstydzona. Nie była w stanie się poruszyć, kiedy sięgnął przez stół i otarł kciukiem kącik jej ust.

- Czekolada - powiedział cicho.

Odsunął rękę od jej twarzy i powolnym ruchem zlizął resztkę czekolady ze swojego palca. Patrzyła na to jak zahipnotyzowana.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Cóż... Poza tym, że już odkryłeś, że nie umiem gotować, nie potrafię o siebie zadbać i jem jak dziecko, to wszystko gra.

Uśmiechnął się na ten sarkazm.

- Ach, w tym rzecz. - Wstał i wstawił miskę do zlewu. - Nie śpiesz się. Muszę jeszcze sprawdzić wiadomości i podzwonić.

- Czym się zajmujesz? - spytała szczerze zainteresowana.

Przez chwilę patrzył zamyślonym wzrokiem gdzieś w przestrzeń.

- Obecnie głównie eksportem i importem różnych towarów, także antyków.

- O, to ciekawe. Takich jak te? - wskazała eksponaty wiszące na ścianach.

- Nie, to w większości pamiątki rodzinne. Możesz się tu rozejrzeć, postaram się szybko załatwić swoje sprawy.

Odprowadziła go wzrokiem, zastanawiając się, jakie tajemnice kryje w sobie ten niezwykły i nadzwyczaj atrakcyjny mężczyzna.

Skończyła jeść i wyjrzała przez okno. Wiatr targał grzywami fal i rozbijał je o skały. Przez kilka minut obserwowała zmagania dwóch żywiołów. Bitwa, którą obserwowała za oknem, doskonale odzwierciedlała stan jej ducha.

Musiła spokojnie zastanowić się, co dalej. Znała wielu wpływowych ludzi, ale w głównej mierze byli to znajomi ojca. Jadali kolacje w ich domu w Miami i spędzali wakacje w ich włoskiej willi.

Wątpliwe, by komukolwiek z nich mogła powierzyć swój sekret. Przez te wszystkie lata nieraz widziała, jak jej ojciec kupował kongresmanów i senatorów. Wybranie niewłaściwej osoby będzie równoznaczne z podpisaniem na siebie wyroku.

Wiedziała, że to dopiero początek drogi, ale już czuła się tym wszystkim znużona. Miała ochotę choć na chwilę uciec od tych myśli i zająć się czymś innym. Postanowiła więc rozejrzeć się po domu.

Weszła do biblioteki i z zainteresowaniem przejrzała bogaty księgozbiór. Przytulne pomieszczenie zapraszało do leniwej

lektury. Otworzyła kilka książek, ale nie była w stanie się skupić.

Przeszła do przestronnego holu, gdzie gustownie wyeksponowane były indiańskie dzieła sztuki.

Pogrążona w niewesołych rozmyślaniach, przesuwiała wzrokiem po kolejnych przedmiotach, gdy nagle jej uwagę przykuła pewna stara fotografia. Przyjrzała się jej uważnie. Wypłowiwały dagerotyp przedstawiał panoramę górskich szczytów i rzekę wijącą się poniżej. Tabliczka na ramie informowała, że to Wielki Kanion, a zatem rzeka w dole to Kolorado. Obok wisiało zdjęcie Indianina o włosach sięgających niemal do pasa. Stał na szczycie góry z dumnie utkwionym w dal spojrzeniem. Jego twarz pomalowana była w barwy wojenne, na biodrach miał skórzaną przepaskę.

Na starej fotografii trudno było dostrzec niektóre szczegóły, ale Alicia zbyt długo wychowywała się w domu handlarza bronią, żeby nie zwrócić uwagi na długą strzelbę, którą Indianin trzymał w dłoni. Już miała odejść, gdy coś przykuło jej wzrok. Długą chwilę wpatrywała się w piersi mężczyzny. Była tam duża blizna w kształcie półksiężyca, niezwykle podobna do tej, którą dostrzegła na ciele Johna. W postaci na zdjęciu było coś...

Odgłos jego kroków wyrwał ją z zamyślenia.

- Wiesz, kto to jest? - spytała.

Wsadził ręce do kieszeni i wzruszył ramionami.

- Daleki krewny.

- To dlatego jesteś do niego tak podobny...

- Tak uważasz?

Udawał, że uważnie przypatruje się postaci na zdjęciu. Nie mógł jej przecież powiedzieć prawdy. Nie dość

że na zdjęciu był on, to doskonale pamiętał, kiedy było zrobione, a nawet miał jeszcze tę strzelbę.

- Myślę, że dla białych wszyscy Indianie wyglądają podobnie - mruknął i dodał szybko: - To jak? Zastanowiłaś się już, w jaki sposób chciałabyś poinformować władze o działalności twojego ojca? Niechętnie wróciła do przykrego tematu.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, co robić. Ojciec zna wielu wpływowych ludzi. Niektórzy z nich są od niego zależni finansowo, że ujmę to tak delikatnie, dla innych jest wybitnym biznesmenem i amerykańskim patriotą. Boję się, że gdziekolwiek się obrócę, natrafię na mur. Jedni mi nie uwierzą, inni, ci umoczeni w ciemne interesy, natychmiast go ostrzegą. Zanim zdążę przekonać tych uczciwych, ojciec znajdzie sposób, żeby mnie uciszyć.

Próbował słuchać jej z należytą uwagą, rozpraszało go jednak odkrycie, że Alicia nie miała na sobie biustonosza. Zirytował się na siebie za takie obserwacje, zaraz jednak pomyślał, kiedy ostatnio był z kobietą... Może powinien wybrać się do Savannah?

- A ty co o tym myślisz? - spytała.

Że nie jesteś taka drobniutka, jak mi się wydawało...

- Cóż... To twoja decyzja... - mruknął roztargniony. Jęknęła cicho, podeszła do okna.

Zaraz był przy niej i powiedział:

- Posłuchaj, jeśli tak bardzo nie dowierzasz władzom, można nagłośnić sprawę w mediach. Znam Cor-bina Woodliffa i myślę, że mógłby nam pomóc.

- Tego, który kilka lat temu dostał Nagrodę Pulitzera?

- Tak.

Czuła, że puls jej przyspieszył. To mogło się udać...

- Gdyby to nagłośnił, władze musiałyby się zająć

sprawą - mówiła podekscytowana. - Nie mogłyby zignorować takiej informacji! - Uśmiech pojawił się najpierw w jej oczach, potem na ustach, aż wreszcie spontanicznie rzuciła się Johnowi na szyję i uściskała go. - Ratujesz mi życie! Znowu!

Pierwszą myślą, która przemknęła mu przez głowę, było to, że miał rację. Rzeczywiście nie włożyła stanika. Druga myśl była taka, że z każdym krokiem zbliżał się do celu, który zwał się Richard Ponte, a na tę chwilę czekał od tak dawna. Nie myślał o tym, że wykorzystuje Alicię. Jego przekleństwo trwało zbyt długo, by teraz, kiedy był tak blisko, cokolwiek mogło go zatrzymać.

Alicia nie zdążyła się zmieszać z powodu impulsywnego zachowania, gdy rozległ się cichy brzęczyk.

- Co to takiego? - spytała.

- Alarm. Właśnie ktoś dostał się na posesję przez tylną bramę.

- Była zamknięta?

- Tak. - Nie dodał, że również i tam założył dodatkowy czujnik alarmowy, a to na wypadek, gdyby nie zwykły rzezimieszek, ale rzezimieszek fachowiec wpadł tu z niezapowiedzianą wizytą.

Przeszedł do biura, gdzie umieszczone były monitory przekazujące obraz z kamer rozmieszczonych na terenie całej posiadłości. Alicia podążyła za nim.

Natychmiast rozpoznali intruza.

- To Dieter! - krzyknęła przerażona. - Znalazł mnie... A więc ojciec też już wie, gdzie jestem! Ty też jesteś teraz zagrożony... Nie powinnam była...

- Dość! - Chwycił ją mocno za ramię. - Zostań tutaj. Szybko to załatwię.

- Ale...

Potrząsnął nią lekko.

- Siedź tu i uspokój się. Wróć.

Łatwo mu mówić, pomyślała, ale usiadła posłusznie. Wbiła wzrok w ekrany i z napięciem obserwowała, co dzieje się w ogrodzie.

Ustalenie adresu Johna Nightwalkera nie zajęło Dieterowi zbyt wiele czasu. Lata doświadczenia i przyjacielskie nastawienie mieszkańców Południa sprawiły, że już po kilkudziesięciu minutach stał przed wysokim, groźnie wyglądającym ogrodzeniem.

Patrzył na mur z namysłem. Spodziewał się raczej czegoś w stylu rozklekotanej furtki na przerdzewiałyach zawiasach. Ciekawe, czym zajmuje się John Night-walker, skoro tak bardzo odgradza się od świata?

Wyjął z bagażnika dużą torbę i wyciągnął potrzebne narzędzia. Kilkoma sprawnymi ruchami dostał się do przewodów i rozbroił elektroniczny zamek. Uśmiechnął się, słysząc ciche kliknięcie.

Odpalił silnik i po chwili był na terenie posiadłości. Właśnie pokonywał łagodny zakręt, kiedy zobaczył, że z przeciwka pędzi na niego czarny džip. Cholerny Indianiec! Skąd wiedział?

Nie było jednak czasu na rozmyślanie, musiał działać. Mógł walnąć w dzipa, ale jeśli uszkodzi przy tym swój samochód, nie będzie miał czym odjechać. Sięgnął więc po broń, zatrzymał auto i kucając za osłoną otwartych drzwi, wystrzelił.

Pierwsza kula trafiła w oponę, a następna w chłodnicę, co rozpoznał po unoszących się w powietrzu kłębach pary. Oczekiwał, że kierowca wyskoczy z auta i będzie uciekał. Nie spodziewał się, że rzuci się na niego z gołymi pięściami.

Miał dość kłopotów, nie chciał zostawiać za sobą

trupów, ale rozkazy były jasne - Alicia musi być dostarczona do domu za każdą cenę. Widocznie ceną było życie tego Indianina. Wstał i wymierzył.

- Stój albo strzelam! - wrzasnął, lecz ku jego zdumieniu ten szaleniec nawet nie zwolnił.

Broń w ręku Dietera była dla Johna jasnym dowodem, że Alicia miała rację co do swojego ojca.

Chciał dostać ją z powrotem i gotów był na wszystko, by ją uciszyć.

- Wkroczyłeś na prywatny teren! - krzyknął, zbliżając się do niego.

Dieter mocniej ścisnął pistolet.

- Przyjechałem po Alicię. Jeśli mi ją wydasz, pozwolę ci żyć.

- Nie. - John wolno pokręcił głową. - Jeśli zaraz stąd znikniesz, to ja pozwolę ci żyć!

Przekonany, że w pełni panuje nad sytuacją, Dieter starannie wymierzył w pierś Johna.

- Ostrzegam cię po raz ostatni. Cofnij się. Biorę Alicię, wtedy zniknę.

- Nie w tym życiu - odparł John i skoczył. Dieter wypalił... i w tej samej chwili mocno pchnięte drzwi samochodu uderzyły go w brzuch, nogi i twarz. Krew i ból zupełnie go oślepiły. Nie widział, jak jego pocisk trafił Johna w ramię, nie zauważył strumienia krwi tryskającego na koszulę. Siła uderzenia była tak duża, że John runął na ścieżkę.

Alicia oglądała na monitorach te dramatyczne zdarzenia. A więc Dieter gotów był nawet zabić, by ją dorwać... To ostatecznie uświadomiło jej powagę sytuacji. Strzał, upadek Johna... Wtedy wybiegła z domu i zaczęła krzyczeć, błagała Dietera, by przestał. Modliła się, by kula nie okazała się śmiertelna.

Dieter chwiejnym krokiem wyłonił się z za drzwi samochodu z twarzą zalaną krwią i bronią w ręku. Jego nos był złamany, a usta wypełnione krwią.

- Ty żaloszny bękaracie! - wrzeszczał oślepiły z bólu. - Zapłacisz mi za to! Do diabła, miałem tylko zabrać tę dziewczynę! - Wycelowwał w nogę Indianina i nacisnął spust.

Rana na ramieniu już się zamykała i John właśnie wstawał, gdy kolejne trafienie znowu rzuciło go na ziemię. Z daleka było słychać kobiecego krzyk. A więc nie została w domu...

To oznaczało, że musi przejąć kontrolę nad sytuacją, zanim ten łajdak schwyta Alicję. Przewrócił się na brzuch, zgarnął z ziemi trochę piachu, mimo bólu zerwał się na równe nogi i cisnął Dieterowi piaskiem w twarz.

Pył go oślepił. Poczł, że John chwyta go mocno za ramię, wytrąca broń, a następnie powala na ziemię. Dieter padł jak ścięte drzewo.

Teraz, gdy przeciwnik był wyeliminowany, John poddał się bólowi. Zgięty wpół oparł się o dach samochodu i oddychał nierówno.

Tak znalazła go Alicia.

- Och, nie! - krzyczała przerażona. - Jesteś ranny. Musisz usiąść! - Błyskawicznie przeszukała samochód Dietera i znalazła telefon. - Zadzwońię po karetkę. Co mam im powiedzieć? Nie znam adresu...

Ból w nodze powoli zamieniał się w tępy łomot. John z wysiłkiem odepchnął się od auta, zabrał jej telefon i położył na dachu.

- Daj spokój. - Chwył ją za ramię i potrząsnął lekko. - Nic mi nie jest! Spójrz tylko.

- Nieprawda, krwawisz. - Rozpięła mu koszulę i odsłoniła ślad po ranie.

Jęknął w duchu. Zaraz się zacznie! Odsunął się lekko, ale nie spuszczała z niego wzroku. Z otwartymi ustami wpatrywała się w ślad po kuli. Ciało w tym miejscu nadal było czerwone, ale rana niemal całkowicie się zasklepiła. Z niedowierzaniem przeniosła spojrzenie z blizny na twarz Johna i z powrotem. Nie wiedziała, gdzie szukać wyjaśnienia tego, co widziała. Był postrzelony, upadł, krwawił, ale ślad po strzale już się niemal zagoił. Zerknęła na nogę, tam też krew już nie ciekła.

- Jakim cudem...

- To dość skomplikowane - mruknął.

Splotła ramiona na piersi i cofnęła się z wyrazem niedowierzania. John przeżył to już wiele razy, na twarzach tych, którzy to obserwowali, zawsze najpierw pojawiała się niedowierzanie, a potem strach. Teraz jednak nie było czasu na analizowanie jej uczuć.

Zerknął na nieprzytomnego Dietera i sięgnął po telefon.

- Cześć, Carl. Tu znów John Nightwalker.

- Cześć, John. Co u ciebie?

- W porządku. - Zaśmiał się cicho. - Choć bywało lepiej. Ktoś włamał się na mój teren i strzelał do mnie. Załatwił mi oponę i chłodnicę.

- Rany! Trzymaj się, już wysyłam pomoc! Odruchowo przeniósł ciężar ciała na zranioną nogę i skrzywił się z bólu.

- Sytuacja jest już opanowana - rzucił do słuchawki - ale zamierzam wnieść oskarżenie, więc przyślij kogoś po niego.

- Jasne. Masz ostatnio wiele przygód.

- Tak bywa. Cześć. - Rozłączył się i zwrócił się do Alicji, nie patrząc jednak na nią: - Muszę zmienić ubranie, nim przyjedzie policja. Wracaj do

domu i trzymaj się z daleka od tej sprawy. Im mniej osób będzie wiedziało, że tu jesteś, tym lepiej. W milczeniu wpatrywała się w Johna, zastanawiając się, jak dziwnie układa się życie. Wczoraj o tej porze nawet go nie znała, a dziś stał się jej aniołem stróżem, jedyną gwarancją bezpieczeństwa. To nie miało sensu. Dlaczego do tego stopnia zaangażował się w jej sprawę?

- John...

Zatrzymał się, westchnął i wreszcie spojrzał jej w twarz.

- Tak?

- Kim ty jesteś?

- Zwyczajnym człowiekiem. - Wzruszył ramionami, ale nuta zmieszania w jego głosie mówiła coś innego.

- Nie o to mi chodziło. Zapytam więc inaczej: Dlaczego ryzykujesz życie dla nieznajomej?

Milczał przez chwilę. Cokolwiek by powiedział, musiałby skłamać.

- Powiedzmy, że mam swoje powody - mruknął w końcu.

Jednak Alicia nie dała się zbyć. Pomyślała o bliznach na jego ciele, zastanawiała się, w jakich okolicznościach powstały.

- Jakie powody? - drażyła. - I co się stało, że twoje ciało tak wygląda?

- Życie trochę dało mi w kość - mruknął wymijająco. - A co do reszty...

W tej chwili Dieter jęknął przeciągle.

- Budzi się! - krzyknęła ze strachem Alicia.

- Nie martw się, nigdzie się stąd nie ruszy. - Wyciągnął z dzipa linę i błyskawicznie związał Dietera.

Ponieważ Alicia wciąż nie ruszała się z miejsca, zdecydowa-

nym ruchem wskazał jej drogę. - Wracaj do domu! Pośpiesz się, zaraz tam będę.

Zrobiła, jak kazał. John gdzieś zniknął, lecz nim doszła do domu, pojawił się w świeżym ubraniu i pobiegł do samochodu.

Gdy ciszę rozdarł dźwięk syreny policyjnej, Alicia szybko weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Powoli jej oddech się uspokoił, choć w głowie wciąż czuła zamęt. Co tak naprawdę widziała? Kim jest John Nightwalker? To człowiek czy anioł, który miał wybawić ją z kłopotów?

Syreny zawyły głośniejsze, a potem zamilkły. Podeszła do okna i zerknęła na zewnątrz. Na podjeździe stał radiowóz, a obok dostrzegła Dietera w kajdankach. Poczowała ulgę, gdy zatrzasnęły się za nim drzwi policyjnego auta.

John nadal rozmawiał z funkcjonariuszem, kiedy nadjechał samochód przysłany z warsztatu.

Widziała, jak odciąga dżipa, a wkrótce potem ktoś zabrał też samochód Dietera.

Po kilkunastu minutach wszyscy się rozjechali, został tylko John, który zadumany stał na środku ścieżki. Wreszcie obrócił się i popatrzył w stronę domu.

Zadrżała. Co się teraz wydarzy? Kiedy zdecydowanym krokiem ruszył przed siebie, wiedziała, że na odpowiedź nie będzie musiała długo czekać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

To, co zeznał John, zabrzmiało bardzo wiarygodnie. Nie zna Dietera Bahna, poza oczywistym motywem rabunkowym nie widzi innego powodu, dla którego Bahn miałby się włamać na jego posiadłość.

Zdumiało go, że Dieter, słysząc jego relację, niczemu nie zaprzeczył.

To wiele mówiło o tym, jak potężny był Richard Ponte. Jego pies gończy wolał siedzieć w więzieniu, niż zdradzić szefa.

Obawy Alicii o własne życie były jak najbardziej uzasadnione.

Przez chwilę patrzył na odholowywane auto, a następnie ruszył w kierunku domu. W drzwiach balkonowych dostrzegł Alicię i z niechęcią pomyślał, że za moment spadnie na niego grad pytań. Nie lubił kłamać, a wyznanie prawdy nie wchodziło w grę.

Był już blisko domu, kiedy usłyszał dobiegający z kieszeni sygnał komórki. Dopiero po chwili zorientował się, że dzwoni telefon Dietera. W pierwszej chwili chciał go zignorować, ale potem przeczytał na wyświetlaczu: „R. Ponte”. Nie mógł oprzeć się chęci konfron-

tacji z odwiecznym wrogiem. Gdyby jednak odebrał, wydałoby się, że Alicia żyje i ma się dobrze, a co gorsza, namierzono by miejsce jej pobytu. Telefon ciągle dzwonił. W końcu John nie wytrzymał.

- Słucham? - odezwał się.

Nie był to służalczy ton Dietera, do czego najwyraźniej przywykł Richard Ponte, ale nie przyszło mu do głowy, by ktoś inny mógł odebrać telefon, dlatego warknął:

- Po głosie wnoszę, że wreszcie masz dla mnie dobre wieści.

John poczuł, jakby w uszach zadzwoniło mu sto syren, jakby stał w samym sercu huraganu.

- No, odpowiadaj! - krzyczał Ponte. - Muszę to wiedzieć! Dorwałeś Alicię?

John ścisnął słuchawkę, twarz mu stężała. Ogarnęła go ta sama wściekłość, którą przeżywał wieki temu, widząc spaloną i spustoszoną wioskę oraz martwe ciała tych, których kochał.

- Tak, mam Alicię - odparł twardym głosem wojownika. - A twój człowiek właśnie jedzie do aresztu za usiłowanie morderstwa.

Richard zaświszczał w słuchawkę, jakby nie mógł złapać oddechu.

- Co... Co?! Masz Alicię? Ty... do diabła, kim jesteś? Porywacz! Chodzi ci o okup? Ile? Chcę mieć moją córkę!

- Nie słuchasz, co do ciebie mówię - syknął John. - Aresztowali Dietera za próbę morderstwa. Strzelał do mnie. Władze już się zainteresowały twoim biznesem. I ja również.

- Gdzie? Czego chcesz? He... - gorączkowo wykrzykiwał Ponte.

John przerwał mu szeptem, który świdrował w uszach:

- Chcesz wiedzieć? To zamknij się i słuchaj uważnie. Wiem, kim jesteś. I wiem, co zrobiłeś. Pięćset lat czekałem, żeby wyrównać rachunki.

W zaułkach pamięci Richarda coś się objawiło. Już gdzieś słyszał ten głos...

- Nie wiem, kim jesteś, człowieku, ale bez wątpienia postradałeś zmysły! Pięćset lat? Nie żyję tak długo, więc o co mnie posądzasz?

- Twoja dusza przez wieki zmienia wcielenia, a ja nieustannie tropię ją, by spłaciła dług. I teraz wreszcie nadszedł ten moment.

Zaciekłość, z jaką wypowiedane były te słowa, musiała przerazić Richarda. Każdego by przeraziła.

Każdy by też pomyślał, że ma do czynienia z szaleńcem, ale takim, którego trzeba śmiertelnie się bać.

- Spłacić? Niby jak? - próbował zapanować nad głosem. - Za kogo ty się masz? Może za samego diabła?

- Diabeł by cię nie chciał, po co mu bliźniaczy brat? - wyszeptał złowrogo John. - Ale ja tak. Strzeż się, bo niedługo się po ciebie zjawię, ty przekłety zabójco kobiet. Zamordowałeś moją żonę. Podciąłeś jej gardło, głuchy na jej błagania o litość! - Nie panował już nad sobą. Frustracja kumulowana przez wieki wreszcie znajdowała ujście. Wykrzykiwał przekleństwa w swoim języku, te same, które rzucał wieki temu. Przeklinał duszę swojego wroga, by nie zaznała spokoju, dopóki nie odkupi swoich win. Im dłużej Richard Ponte stał z telefonem przyklejonym do ucha, tym mniej z tego wszystkiego rozumiał. Głos opętanego furją szaleńca dudnił mu w uszach

bezlitośnie, oskarżając go o coś, czego nie pojmował, a czemu jednocześnie nie potrafił zaprzeczyć. Poczuł ucisk w gardle, a potem palący ból w klatce piersiowej. Próbował wypuścić z rąk telefon, ale zdało mu się, że stracił czucie w palcach. Zamroczony, na poły świadom tego, co się dzieje, martwo wpatrywał się w przestrzeń. Minęło sporo czasu, nim zdał sobie sprawę, że John już się rozłączył. Niemal podskoczył z fotela i podszedł do okna. Świat na zewnątrz wyglądał tak samo jak zawsze, niebo miało ten sam kolor, a ruch uliczny jak zawsze o tej porze był intensywny. Więc czemu czuł się obco we własnej skórze? Skąd to wszechogarniające uczucie desperacji?

Nie powinien przejmować się tak słowami jakiegoś szaleńca. Trzeba jednak nadać szybszy obrót sprawie zniknięcia Alicii. I nawet wiedział już, jak to osiągnąć. Jeśli do mediów dostanie się przeciek o załamaniu nerwowym jego córki oraz porwaniu jej w drodze do kliniki, wtedy wykroczenia Dietera będzie można łatwo uzasadnić. Strzelał do porywacza, by uwolnić córkę szefa. To brzmiało wiarygodnie.

Kiedy Alicia zobaczyła, że szeryf odjeżdża z zakutym w kajdanki Dieterem, wreszcie mogła odetchnąć z ulgą. Obserwowała, jak John idzie się w kierunku domu, potem nagle zatrzymuje się i wyjmując telefon z kieszeni. Na początku nic nie wzbudzało jej niepokoju, dopiero to, co zobaczyła po chwili, wprowadziło ją w osłupienie. Widziała Johna z pewnej odległości, ale był na tyle blisko, by mogła śledzić, jak jego dotąd spokojna twarz przybiera rozwścieczony wyraz. Nie słyszała, co mówi, ale było oczywiste, że krzyczy. Zaniepokojona podbiegła do drzwi. Kiedy była już na zewnątrz, usłyszała jego

głos. Brzmiał przeraźliwie. Nigdy wcześniej nie była świadkiem takiej furii. Ale dopiero gdy zaczął mówić w obcym jej języku, dostrzegła w nim coś, co ją samą przepełniło strachem. Patrzyła na niego, gdy nagle rzucił telefon na ziemię i rozłukł go na kawałki. Kiedy uniósł wzrok, aż drgnęła. A co, jeśli ona jest następna w kolejce? Miał zaciśnięte pięści i ściągnięte ramiona. Kiedy uniósł gniewnie głowę i krzyknął, zdrętwiała. A potem uciekła w kierunku plaży. John nie zdawał sobie sprawy, że Alicia była w pobliżu, do czasu aż zobaczył ją na tarasie. Musiała widzieć całe zajście. Na pewno zobaczyła wystarczająco dużo, by się nieźle wystraszyć. Niczego bardziej nie pragnął, jak tylko pozbyć się jej jak najszybciej, ale wiedział, że potrzebuje córki Richarda. Była przynętą, która miała zwabić złego człowieka, dlatego nie mógł pozwolić jej odejść. Rany wciąż bardzo bolały, ale musiał ją zatrzymać. Zaczął biec, dogonił ją na plaży. Serce Alicii dudniło tak mocno, że nie słyszała uderzających o brzeg fal. Nie zdawała sobie również sprawy, że John biegł za nią. Uświadomiła to sobie, dopiero gdy złapał ją za ramię, zatrzymał i przyciągnął do piersi. Wrzasnęła, próbując oswobodzić się z objęć, jednocześnie okładając go pięściami. John nie walczył z nią. Przyjmował ciosy, czekając, aż nagromadzone emocje znajdą upust i Alicia osłabnie z wysiłku. Odezwał się, dopiero gdy wyczerpana opadła w jego ramiona, szlochając przejmująco:
- Co się z tobą dzieje? Dlaczego uciekałaś przede mną? Po tym, jak udzieliłem ci pomocy! Niech to szlag! To ja dałem się postrzelić, żebyś nie trafiła w łapy

swojego ojca, a ty po prostu... Wyjaśnij mi to, bo mam ważniejsze sprawy na głowie, niż uganianie się za tobą.

W jego głosie słychać było gniew, ale też jakąś niepewność. Alicia wyrwała się z jego objęć i w tym samym momencie nogi ugięły się pod nią. Upadła na kolana. Poczowała zimny, mokry piasek i fale łagodnie obmywające jej ciało. Wyciągnęła ręce, nabrała wodę w dłonie i przemyła rozpaloną twarz. John obserwował ją nieprzeniknionym wzrokiem. Jakaś jego część współczuła Alicii, wiedział jednak, że powinna być dla niego tylko środkiem prowadzącym do celu. Spojrzał na nią i przez ułamek sekundy miał wrażenie, że strużki wody na jej twarzy to... łzy. Zacisnął zęby.

- Przepraszam - wyszeptwała. - Ale słyszałam... jak krzyczałeś... Nie rozumiałam tego. - Drgnęła. - Sama nie wiem, co myślałam. Po prostu mnie wystraszyłeś...

Ukucnął przed nią, obserwując grę światła na jej twarzy.

- To ja przepraszam - powiedział łagodnie. - Ale uwierz mi, cała ta sprawa jest nad wyraz skomplikowana...

Objęła ramionami kolana, patrzyła na niego w milczeniu. Nie potrafiła odgadnąć, co kryje się za tą spokojną twarzą. Spuściła wzrok. Sama była w piekielnych tarapatach. Musiała komuś zaufać, a John był jedyną osobą, na której mogła się oprzeć.

- Wybacz... Po prostu spanikowałam... John skinął głową ze współczuciem

- To zrozumiałe, po tym wszystkim, co przeszłaś... Ale chyba powinnaś coś wiedzieć... Ta rozmowa telefoniczna, którą widziałaś...

- Tak?

- To był twój ojciec. Wie, że Dieter został zatrzymany. Nie wie, kim jestem, ale wie, że jesteś ze mną.

- Wie? Skąd? - zdziwiła się.

- Wie, ponieważ sam mu to powiedziałem - wyznał spontanicznie.

Znowu zadrżała, ale tym razem był to czysty strach.

- Dlaczego? Jak mogłeś...? - spytała z wyrzutem. Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. To był impuls. Po prostu stało się. Chciała wstać. Wyciągnął do niej rękę, ale odrzuciła pomoc. Podniosła się i spojrzała mu w oczy.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie, John. Tylko szczerze, bo wyczuję najmniejszy fałsz.

- Co chcesz wiedzieć?

- Obserwowałam cię. Krzyczałeś do słuchawki, wrzeszczałeś, a potem zacząłeś mówić w obcym języku. To dziwne podczas rozmowy z nieznaną osobą. Więc wyjaśnij mi to. Dlaczego zachowałeś się tak wobec kogoś, kogo nigdy wcześniej nie widziałeś?

Przez chwilę kusilo go, żeby skłamać, jednak mógł jej powiedzieć część prawdy. Potrzebowali się nawzajem, potrzebowała go tak samo, jak on jej, a właściwych relacji nie zbuduje się na kłamstwie.

- Najpewniej twój ojciec pragnie twojej śmierci - zaczął zduszonym głosem. - Ale na pewno nie tak bardzo, jak ja pragnę jego śmierci. Wyrznął całą swoją rodzinę... Wszystkich. Tropię go od niepamiętnych czasów. I kiedy go znajdę, przyrzekam, pożałuje, że się kiedykolwiek narodził.

Słuchała tego w osłupieniu. To był jakiś koszmar. Po aferze z handlem bronią wydawało jej się, że nie może już dowiedzieć się niczego gorszego o swoim ojcu. I nagle to...

- Śledziłeś mnie? - spytała tak cicho, że z trudem wyłapywał słowa. - Wykorzystujesz mnie, żeby dorwać mojego ojca?

- Dotąd nawet nie wiedziałem o twoim istnieniu, nie przeczę jednak, że gdy los nas zetknął, uznałem to nie za przypadek, lecz za prawdziwy dar niebios - wyznał szczerze. - Przecież dzięki temu odnajdę wreszcie mojego prześladowcę.

Słyszała wszystko, co do niej mówił, ale z uporem powtarzała sobie, że na pewno źle go zrozumiała. A jednak...

- Mam uwierzyć, że szukałeś mojego ojca latami, aż gdy wreszcie przez przypadek pojawiłam się w twojej miejscowości, stałam się kluczową postacią w tym całym planie zemsty? - Zacisnęła pięści i uderzyła go w klatkę piersiową. - Do diabła z tym twoim planem! Słyszysz? - Z każdym kolejnym słowem jej głos stawał się coraz wyższy, aż wreszcie zamienił się w krzyk. - Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Obiecałeś, że mi pomożesz, ale tak naprawdę pomagasz tylko sobie. Jestem jedynie środkiem, który ma zaprowadzić cię do celu. A ja głupia ci zaufałam! - Odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała na niego gorzko. - Idź do diabła, Johnie Nightwalkerze. Niech cię piekło pochłonie! I zabierz z sobą tam mojego ojca. I wszystkich facetów!

John miał ściśnięty żołądek. Po raz pierwszy od stuleci poczuł się... winny. A nawet więcej. Odczuwał wstyd. Patrzył za nią, jak szła wzdłuż plaży. Kiedy zbliżała się do schodów, ruszył za nią. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz najważniejsze było, żeby jakoś się dogadali, bo inaczej jedno z nich zginie. I wiedział dobrze, że to nie będzie on. Musiał zapewnić Alicji bezpieczeństwo, żeby mogła opowiedzieć o swoim ojcu,

zanim zdarzy się coś, co jej w tym przeszkodzi. Nie mogli tu zostać ani chwili dłużej. Myślał przez moment, zanim zdecydował, co dalej. Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz był w swoim domu w Arizonie. Miejsce wydawało się odpowiednie na tę chwilę. Zapadła dziura na końcu świata i żadnych sąsiadów w pobliżu. Wyjął telefon, zadzwonił gdzieś i wydał kilka poleceń - załatwił sprzątanie, dostawę jedzenia i zadbał o inne niezbędne drobiazgi. Muszą jeszcze tylko pojechać do Waszyngtonu, żeby Alicia opowiedziała o swoim ojcu. A stamtąd wyruszą prosto do Sedony. Gdy dotarł do domu, zobaczył, że drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Westchnął. Mógł sobie jedynie wyobrazić, jak bardzo wściekła była Alicia. Całe zamieszanie to była jego wina. Miała rację. Myślał jedynie o realizacji swojego planu. Przyznał jednak, że jego chęć zemsty musi poczekać. Najpierw zdrajca Richard Ponte zostanie zdemaskowany.

- Alicia! - zawołał, lecz odpowiedziała mu cisza. - Cholera - mruknął i poszedł do sypialni. Alicia gorączkowo pakowała walizkę.

- Co, u diabła, robisz? - zapytał zirytowany.

- Nie traktuj mnie jak idiotkę i sam też się tak nie zachowuj - rzuciła ostro. - Dobrze wiesz, co robię. Dokąd wyjeżdżamy?

Spojrzał na nią z uznaniem. Ta kobieta miała łeb na karku.

- Znam jedno miejsce w Arizonie. Jak już zrobimy, co mamy do zrobienia w Waszyngtonie, wyruszymy do Sedony.

- Jak się tam dostaniemy?

- Helikopterem.

- Aha... No to pakuj swoje piżamki, panie Indianiec
- rzuciła z rozmyślną złośliwością. - Bo o ile znam swojego ojca, zjawi się tu, nim zapadnie zmrok.
John wzdrygnął się, ale pozostawił etniczne docinki bez komentarza. Przeszedł się do swojej sypialni, opróżnił sejf i spakował się.

Na koniec wyprowadził z garażu wielkiego czarnego harleya. Alicia czekała gotowa do drogi.

- Wskakuj. - Podał jej kask. - Mam tu lądowisko, ale śmigłowiec trzymam w hangarze na drugim końcu Justice. Jechałaś kiedyś na motocyklu?

- Zważywszy na to, że aż do dzisiejszego poranka nigdy wcześniej nie zrobiłam sobie sama śniadania, łatwo możesz się domyślić, że etapu kociaka harleyowca też jeszcze nie zaliczyłam - mówiła, wkładając kask i siadając na motorze.

- Obejmij mnie ramionami i nie puszczaj się mnie.

- Odpalił silnik i ruszyli.

Kiedy znaleźli się na autostradzie, John przyśpieszył, z satysfakcją rejestrując mocniejszy uścisk Alicii. Jedno musiał jej przyznać. Znosiła to całe zawirowanie bez słowa skargi. Poza tym, że czuła się przez niego zdradzona, wydawała się skoncentrowana przede wszystkim na tym, co przed nią.

- Wszystko w porządku? - zawołał.

- Nie odzywam się do ciebie. - Mocno oparła głowę o jego plecy.

John uśmiechnął się szeroko i ponownie dodał gazu, licząc na mocniejszy uścisk wokół pasa. I oczywiście nie przeliczył się.

Po kilkunastu minutach dotarli na miejsce. Alicia obserwowała, jak John wyprowadza z hangaru lśniąca maszynę. Śmigłowiec przypominał jej gigantyczną

ważkę. Podróżowała po wielu zakątkach świata, ale nigdy czymś takim. Czarny potwór zarówno budził podziw, jak i przyprawiał ją o klaustrofobię. Mimo to starała się zachować zimną krew. Po prostu musieli jak najszybciej stąd zniknąć.

Trzeba znaleźć kogoś, kto wysłucha jej zeznań i zajmie się całą sprawą.

Myślała o Johnie. Tak bardzo się na nim zawiodła... Trudno, skoro tak ma być. Oddałaby teraz życie za kilka tabletek przeciwko chorobie lokomocyjnej, ale uznała, że woli zwymiotować na jego buty, niż jeszcze raz prosić o jakąkolwiek przysługę.

Skrupulatnie sprawdzał wszystkie urządzenia przed startem. Kątem oka dostrzegł na sobie wzrok Alicii, ale oparł się pokusie i nie spojrzał na nią. Nie był w nastroju na kolejne potyczki słowne, a do tego doprowadziłyby każda rozmowa.

Kiedy skończył, zamachał do Alicii, która zaraz ruszyła w kierunku maszyny. Widział, jak przy każdym kroku walizki obijają się o jej kolana. Kiedy była już przy śmigłowcu, John wyciągnął ręce, żeby przejąć od niej bagaże, ale zignorowała ten gest. Przepchnęła się z walizkami obok niego i wciągnęła je do kabiny, po czym zaczęła nerwowo zapinać pasy. Nie pozostawiała mu zbyt wielu wątpliwości co do swojego samopoczucia.

Wniósł swoje bagaże i ustawił je z tyłu. Korciło go, by na nią spojrzeć, ale powstrzymał się.

- Masz chorobę lokomocyjną? - spytał niby od niechcienia.

- Nie - odparła zbyt szybko.

- Szkoda - wycedził złośliwie.

Po chwili unosili się już nad ziemią. Nim Justice stało

się mglistą plamką na zielonym tle, Alicia poczuła, że może się odprężyć. Znoszenie dwulicowej natury Johna Nightwalkera wydawało jej się mniejszym problemem niż wizja ścigającego ją ojca. Po kilkunastu minutach lotu odważyła się spojrzeć na Johna. Uchwycił jej spojrzenie i odwrócił się.

- Co? - zapytał bezceremonialnie. Nienawidziła samej siebie za to, że podziwia jego niezwykłą urodę, ale nie mogła udawać, że jej nie zauważa. Był wspaniały, tak wspaniały, że aż zapierało dech. Miał idealny profil, wysoko zarysowane kości policzkowe, silną brodę i dumnie wyrzeźbiony nos. I to małe srebrne piórko dyndające z jednego ucha...

Nie przywykł do tego, żeby ktoś tak baczenie mu się przyglądał. Do tego ta cisza zaczęła go krępować.

- Jeśli coś cię gryzie, po prostu wyrzuć to z siebie - powiedział zniecierpliwiony.

W jej wzroku było coś szelmowskiego.

- Daleko jeszcze? - zapytała, jakby nie słysząc jego słów.

Tak pytały zniecierpliwione podróża dzieci. Zaśmiał się, pokręcił głową i odwrócił wzrok. Alicia z satysfakcją odnotowała, że udało jej się zagrać mu na nerwach. Teraz mogła wygodnie rozciągnąć się w fotelu i skupić na tym, co czekało ją w Waszyngtonie. Czy uda jej się przekonać Corbina Woodliffa, że jej ojciec jest zdrajcą? Gdyby tylko miała na to jakiś dowód, coś więcej niż podsłuchana rozmowa...

Westchnęła ciężko, przymknęła oczy.

Podróż ciągnęła się w nieskończoność, a im dłużej lecieli, tym gorzej się czuła. Miała świadomość, że co jakiś czas John spogląda na nią, ale zachowała kamienną twarz.

W końcu usnęła. Nie wiedziała, jak długo spała, kiedy obudził ją gwałtowny skręt maszyny.

Wyprostowała się, spojrzała w dół i zobaczyła gigantyczną kraciastą chustę poprzecinaną pasmami ulic i domów, okoloną zielenią drzew. W oddali dostrzegła krętą rzekę, która wydawała się niebieską wstęgą przyozdabiającą ten malowniczy pejzaż.

John milczał, skupił się na lądowaniu. Zauważył, że Alicia już się obudziła. Po raz kolejny zaskoczyła go, bo tylko czekał, aż zasypie go pytaniami. Wiedział, że była na niego wściekła, zrozumiał jednak, że jest dość skryta i nie sili się na rozmowę, kiedy nie ma ochoty. Jak na ironię, była bardziej podobna do niego, niż miałby ochotę to przyznać.

Po wylądowaniu zdjął słuchawki i odwrócił się do Alicii.

- Pojedziemy taksówką do hotelu - poinformował.

- Kiedy będę mogła porozmawiać z Woodliffem? - zapytała rzeczowo.

- Jutro rano. Powiedziałem mu, że potrzebujemy ustronnego lokum. Zaoferował swój dom.

Odetchnęła głęboko.

- Chciałabym mieć to już za sobą - wyznała. - Mam tylko nadzieję, że Woodliff mi uwierzy.

Była zdenerwowana, ale kto by nie był? Czekąco ją trudne zadanie i nawet jeśli nie łączyła jej z ojcem serdeczna więź, zdemaskowanie jego nielegalnej działalności musiało być trudne. Rozumiał ją.

- To znany i wpływowy dziennikarz, ma wiele sukcesów na swoim koncie. Wie, jak sprawdzić informacje. Mam nadzieję, że to, co mu powiesz, wystarczy, by rozpoczął dochodzenie. I jeśli rzeczywiście jest ktoś w Waszyngtonie, komu mogłoby zależeć na zatajeniu tej

sprawy, to fakt, że sprawa została upubliczniona, powinien go powstrzymać.

Skinęła głową, po czym odpięła pasy i odwróciła się, by sięgnąć po walizki ułożone za siedzeniem.

- Pozwól, że ja to zrobię - powiedział John.

Tym razem się nie upierała. Przeszli przez lotnisko i znaleźli się w miejscu, skąd mogli wezwać taksówkę.

Kiedy wysiedli już z samochodu i zbliżali się do hotelu, powiedział:

- Zrobiłem rezerwację na moją firmę. W ten sposób trudniej będzie nas namierzyć.

- Dziękuję. Mam pieniądze. Zapłacę za siebie.

- Później się tym zajmijmy. Chodźmy najpierw do apartamentu.

- Zarezerwowałeś apartament? To znaczy z dwoma sypialniami? - chciała się upewnić.

Uniósł brwi, przez chwilę trzymając Alicję w niepewności.

- No chyba że jesteś gotowa przejść do kolejnego etapu naszego związku...

- Ty seksistowski dupku - wycedziła.

- Nie musisz mnie lubić, ale powinnaś mi ufać.

- Akurat! - zaperzyła się. - Nie muszę ci ufać. Ani przez minutę. Ale wykorzystam cię tak samo, jak ty mnie, i lepiej to ty mi zaufaj, bo jak znam mojego ojca, też znalazłeś się na jego celowniku.

Oczy Johna zwięzły się gniewnie, ale nie mógł zaprzeczyć, że jest w tym pewna logika. Wszystko to stawało się coraz bardziej skomplikowane, ale sam się o to prosił. I gotowy był znieść jeszcze więcej, byle tylko rozprawić się ze swoim prześladowcą i odzyskać spokój duszy. Nieważne, ile będzie go to kosztowało.

Wzruszył ramionami.

- Czy nam się to podoba, czy nie, jesteśmy na siebie skazani i nic tego nie zmieni. Poczekaj tu na mnie. Zaraz wracam.

W milczeniu obserwowała, jak podchodzi do recepcjonistki i załatwia formalności. Następnie podążyła za nim do windy, a potem do salonu apartamentu.

- Wybieraj, gdzie chcesz spać. - Wskazał dwie sypialnie usytuowane naprzeciwko siebie.

Było jej wszystko jedno. Wzięła swoje walizki i przeszła do sypialni z prawej strony. Kiedy była już w środku, trzasnęła za sobą drzwiami.

- Zamawiam kolację do pokoju - zawołał, lecz odpowiedziała mu cisza. - Ja biorę stek. Jeśli chcesz coś innego, to lepiej powiedz mi teraz - doradził podejrzanie spokojnym tonem.

Drzwi powoli się otworzyły.

- Średnio wypieczony, gotowane warzywa i sernik. Bez wina. Bez sałatki. Bez ziemniaków. I mrożona herbata. Wszystko jedno jaki sernik, ważne, żeby był duży kawałek. A teraz idę wziąć kąpiel. Z bąbelkami. Zapukaj, jak przyniosą jedzenie.

Zamknęła drzwi, zostawiając Johna z lekkim uśmiechem i drażniącą świadomością, że gdy on będzie zajmował się hotelową obsługą, ona będzie naga tuż obok.

Wtasczył swoje walizki do drugiej sypialni, położył je na łóżku, usiadł i zanurzył się w kojącej ciszy. Wreszcie coś, do czego przywykł.

I wtedy usłyszał szum płynącej wody.

Nie musiał lubić Alicii, żeby uzyskać to, na czym mu zależało. Nawet nie chciał jej lubić. Choć chwilami...

Nagle usłyszał dziwny dźwięk. Wstał i przeszedł przez salon dzielący ich sypialnie, a potem przystawił

ucho do jej drzwi. Alicia śpiewała. Uciekali przed jej ojcem, który chciał ją zabić, a ta kobieta, jakby nigdy nic, śpiewała sobie beztrosko. Pochylił się, żeby wychwycić słowa, a gdy rozpoznał hit obecnego sezonu, na jego twarzy pojawił się uśmiech. Stał jeszcze przez chwilę, wsłuchując się w pogodny świergot, a potem wyciągnął dłoń i przyłożył ją do drzwi. W myślach podjął ciche zobowiązanie. Każdy, kto po takim dniu potrafił beztrosko śpiewać, wart był wszelkiego wysiłku, by go chronić. Zatrączy się o bezpieczeństwo Alicii Ponte, choćby miało go to dużo kosztować.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Richard siedział w restauracji, bawił się kieliszkiem wina i patrzył na siedzącego naprzeciwko Jacoba Carruthersa, starego przyjaciela i współnika w interesach. Obserwował zmarszczki na jego twarzy i pomyślał, że Jacob wygląda coraz starzej. On sam na szczęście czuł się równie młody i niezniszczalny jak w dniu trzydziestych pierwszych urodzin, gdy zdobył swój pierwszy milion.

- Jeszcze wina? - zapytał Jacob.

Skinął głową, w duchu zbierając się do rozmowy. Po tym, co wydarzyło się ostatnio, uznał, że musi ostrzec Jacoba.

- Za interesy! - Uniósł kieliszek.

- Za interesy - powtórzył Jacob z uśmiechem.

- Musimy pogadać - powiedział Richard, odstawiając kieliszek.

- O czym?

- Jest mały problem - mruknął z krzywym uśmiechem, który miał przekonać Jacoba, że to nic poważnego. Nie potrzebował dodatkowych stresów, a wiedział, że przyjaciel ma skłonności do paniki.

- Pamięć-

tasz, w zeszłym tygodniu, gdy rozmawialiśmy w domu... Alicia nas podsłuchiwała.

Jacob pochylił się nad stolikiem, oparł drżące ręce na blacie.

- Mówisz o... - spytał niemal szeptem.

- Tak, właśnie o tym.

- Pieprzona Alicia! - syknął Jacob.

- To nasza wina. Nie powinniśmy byli rozmawiać poza biurem.

Jacob ze świstem wciągnął powietrze.

- Co teraz? Jak zareagowała? - Chwycił Richarda za ramię tak mocno, że aż zbiełały mu palce. -

Wszystko w porządku?

Richard zmarszczył czoło. Nie zaskoczyło go zachowanie Jacoba, tego właśnie się spodziewał.

- Do licha, jasne, że tak! - syknął. - Uspokój się.

- Mam być spokojny? Jesteśmy w stanie wojny z innym krajem, a to, co robimy... Cholera... To pieprzona zdrada! Wiesz, czym się za to płaci? - panikował.

- Chcę z nią porozmawiać. Niech spojrzy mi w twarz i powie, że nic się nie stało.

- Hm... Nie ma jej teraz w Miami.

Jacob westchnął ciężko. Nigdy wcześniej nie widział u Richarda takiego wyrazu twarzy. Na pewno coś ukrywał.

- Gdzie jest? - spytał ostro.

- Spanikowała, niech ją.... Ale panuję nad sytuacją.

- Spanikowała? Co to znaczy?!

- Powiedziałem już, że wszystko jest pod kontrolą

- zapewnił Richard. - Na dzisiejsze popołudnie zwołuję konferencję prasową. Będzie tam Harold.

Oczy Jacoba rozszerzyły się jeszcze bardziej.

- Masz na myśli Harolda Parsonsa, zastępcę dyrektora

FBI? - spytał podniesionym głosem. - Wmieszałeś w to FBI? Czy ty, kurwa, oszalałeś?!

- Zamknij się. Wiem, co robię. Wydam oświadczenie, że Alicja kilka dni temu przeszła załamanie nerwowe i została porwana w drodze do szpitala. Dzięki temu ten facet stanie się podejrzany.

- To jest z nią jakiś facet?! Kto? Policjant? - gorączkował się Jacob. - Nie mogę uwierzyć, że siedzimy tu sobie spokojnie, czekamy na obiad i popijamy wino, gdy nasz świat się wali! Wychodzę stąd! Richard rozejrzał się wokół. Ludzie zaczęli im się przyglądać.

- Siadaj i słuchaj, do cholery! Nie wiem, co to za facet i jak się zetknęli, ale jeśli ogłoszę, że Alicja przechodzi załamanie nerwowe, może opowiadać, co chce, a i tak nikt jej nie uwierzy.

- To jakiś koszmar - jęknął Jacob, pocierając twarz dłońmi. Sięgnął po wino i wypił je jednym haustem. - A gdzie jest Dieter? Dlaczego się tym nie zajął?

- Wykonuje moje zalecenia. - Richard nie zamierzał zdradzać współpracownikowi, że jego najlepszy człowiek od brudnej roboty siedzi w więzieniu pod zarzutem próby zabójstwa.

- Lepiej to załatw. Nie zamierzam pójść na dno tylko dlatego, że twoja córka postanowiła być uczciwa! - Jacob szybko dopił wino, wstał i wyszedł z restauracji.

Richard patrzył za nim, starając się ukryć niepokój. Niedobrze. Jacob wpadł w panikę, a w takich chwilach bywał nieobliczalny. Jeśli się dowie, że Dieter siedzi w więzieniu, a on nie ma pojęcia, gdzie jest Alicja, może zrobić coś głupiego.

Musi jak najszybciej odzyskać nad wszystkim kontrolę. Zerknął na zegarek. Nie było już sensu czekać na

posiłek. Zresztą i tak nie był w stanie niczego przełknąć. Odwołał zamówienie i opuścił lokal. Było parę szczegółów, które musiał ustalić przed konferencją. Nie mógł już sobie pozwolić na kolejne wpadki.

- Do biura, szybko - poleciał kierowcy, ledwie usiadł w fotelu. - Muszę zabrać papiery, a potem pojedziemy do sądu na konferencję prasową.

- Tak jest, panie Ponte. - Kierowca płynnie włączył się w ruch uliczny.

Richard z westchnieniem opadł na miękkie oparcie. Myślał gorączkowo. Nie mógł dopuścić, by panika Jacoba pokrzyżowała jego misterne plany. Choć Dieter na jakiś czas został wyłączony z gry, nie był przecież jego jedynym asem w rękawie. Wyjął telefon. Aparat był na kartę i zamierzał go wyrzucić po skończonej rozmowie.

Wybrał numer, który miał zapisany na skrawku papieru, i po chwili usłyszał opryskliwy głos:

- Czego chcesz?

Głos był nie tylko opryskliwy. Brzmiał ostro, brutalnie. Tylko specyficzni ludzie tak mówią...

Richard zawahał się na wspomnienie pięcioletniej córki, gdy biegła do niego z płaczem, by podniósł ją i pocałował w stłuczone kolano. Pamiętał ciepło małych ramion obejmujących jego szyję i mokre łzy na policzku. Czy mógł zrobić coś takiego...?

- Mów, do cholery, albo spieprzaj! - ponaglił go głos w słuchawce.

- Mam dla ciebie robotę - oznajmił Richard.

Alicia właśnie spłukiwała z siebie pianę, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

- Jest jedzenie! - zawołał John.

- Zaraz wychodzę! - Szybko się wytarła, osuszyła ręcznikiem mokre włosy, wciągnęła luźne spodnie i niebieski podkoszulek.

Gdy weszła do pokoju, zauważyła, że John też wziął prysznic, a także przebrał się w dżinsy i białą koszulkę polo, kontrastującą z miedzianą skórą.

Usiadła za stołem i uniosła pokrywę półmiska, rozkoszując się aromatem świetnie przyrządzonego steku. Popatrzyła łakomym wzorkiem na brokuły i marchewkę, ale w końcu zdjęła palcem nieco kremu z ciastka.

- Mmm...

John w milczeniu zajął się swoją porcją. Stwierdził, że im rzadziej będzie się odzywał do Alicii, tym lepiej dla nich obojga.

Ku jego zdumieniu, to ona rozpoczęła rozmowę:

- Pyszne. Dzięki, że się tym zająłeś. Pamiętaj, że mam pieniądze i chcę sama za siebie płacić.

- To nie jest konieczne. Wycelowała w niego widelcem.

- Nie mówiłam, że to konieczne, ale że będę za siebie płacić. Podaj sól, proszę.

- Stoi przed tobą, madame - rzucił ironicznie. Odkroił duży kęs, przeżuwał go wolno. Nie miał ochoty na sprzeczkę. Jeśli koniecznie chciała sama za siebie płacić, nie będzie z nią walczył. Sięgnął po pilota i przerzucał kanały, aż trafił na CNN.

Alicia skrzywiła się lekko, ale nie skomentowała tego. Widocznie nie miał ochoty z nią rozmawiać, nie będzie się więc narzucać. Jedli, słuchając wiadomości i z rzadka rzucając jakieś uwagi. Była w połowie deseru, gdy nagle usłyszała swoje nazwisko. Odłożyła sztućce i obróciła się w stronę telewizora.

- Głośniej! - zawołała, ale John i tak już chwycił za pilota.

- Jak widać, zastępca dyrektora FBI, Harold Parsons, jest już w budynku sądu w Miami. Zaraz zjawi się też znany na całym świecie producent broni i amunicji, Richard Ponte. Być może wyjaśni on, czy plotki, które słyszeliśmy o porwaniu jego dwudziestosiedmioletniej córki Alicii, są prawdziwe.

Podskoczyła na krześle.

- Drań! Boże, co za drań... - Westchnęła ciężko. - Jak mogłam myśleć, że zdołam od tego uciec?

Rozumiał jej strach, utwierdzał się też w przekonaniu, że Richard Ponte będzie trudnym przeciwnikiem. Właśnie zrobił z niego porywacza i poprosi wszystkich o pomoc w uwolnieniu córki. Punkt dla niego.

Różne myśli przelatywały przez jego głowę, ale nie potrafił skupić się na niczym, poza faktem, że zaraz zobaczy twarz swojego wroga. Wiedział, że nie będzie to ta sama twarz, ale nie miało to znaczenia. Rozpozna duszę Vargasa niezależnie od tego, w jakim ciele się ukryła.

- Właśnie nadjeżdża Richard Ponte - usłyszeli znowu głos spikera. - Jak państwo widzą, wchodzi już do budynku sądu. On i zastępca dyrektora, pan Parsons, są przyjaciółmi od czasu studiów, stąd ich serdeczne powitanie. Wygląda na to, że pan Ponte przemówi pierwszy. Przenosimy naszą relację do budynku sądu...

Richard czuł się cholernie niepewnie. Podszedł do lasu mikrofonów z miną, która, jak miał nadzieję, wyrażała powagę, a nie panikę. Jeszcze raz, pod okiem wielu kamer, uściskał się z Haroldem. Ten

gest przeznaczony był głównie dla Alicii. Lepiej niech się zastanowi, czy warto sprzeciwić się tak bardzo ustosunkowanemu ojcu. Nie tyle zresztą sprzeciwić się, co iść z nim na totalną wojnę. Potem wolno obrócił się w stronę kamer.

- Panie i panowie, dziękuję za przybycie - odezwał się z powagą. - Dziękuję mojemu przyjacielowi, zastępcy dyrektora FBI, Haroldowi Parsonsowi, że jest przy mnie w tak trudnej chwili. Miałem nadzieję, że nie będę musiał składać tego oświadczenia, ale nie mogę czekać dłużej. Stawka jest zbyt wysoka, a mianowicie bezpieczeństwo, a może nawet życie mojej córki Alicii, która została porwana kilka dni temu. Sprawa jest tym poważniejsza, że Alicia niedawno przeszła poważne załamanie nerwowe i wymaga stałej opieki psychiatrycznej. - Przerwał na chwilę, napawając się pełnymi współczucia szeptami i spojrzeniami dziennikarzy. Miał już pewność, że dobrze to rozgrywał. Ta świadomość przywróciła mu siły, i z werwą kontynuował: - Dotąd nie zgłoszono żądania okupu, co jest jeszcze bardziej przerażające. Wiemy tylko, że ostatnio była widziana w Georgii w towarzystwie człowieka o nazwisku John Nightwalker, rdzennego Amerykanina. Oferuję milion dolarów nagrody za wszelkie informacje, które pomogą sprowadzić moją córkę bezpiecznie do domu.

- Świetnie! Po prostu świetnie...

Zdruzgotana Alicia nawet nie zauważyła, że John wstał i miotany wściekłością, zacisnął pięści. Wreszcie zobaczył twarz śmiertelnego wroga. Wypełniał go gniew tak wielki, że nawet publiczne podanie jego nazwiska nie zrobiło na nim wrażenia. Potraktował

to jak rzucenie wyzwania, swoistą pointę do ich rozmowy telefonicznej.

- John... Przepraszam. - Splotła drżące dłonie. - Nie przypuszczałam, że posunie się aż tak daleko...

- Ja przypuszczałem. - Wzruszył ramionami. - Daj spokój.

- Chociaż wiesz, właściwie mnie to nie dziwi. Przecież spodziewałam się po nim wszystkiego najgorszego.

- Zmarszczyła brwi. - Widziano nas w recepcji. Zaraz ktoś doda dwa do dwóch. No i Corbin Woodliff nie będzie chciał z nami rozmawiać. Skoro ojciec zaangażował w to zastępcę dyrektora FBI, wszyscy uwierzą w jego wersję. Do diabła, zrobił ze mnie wariatkę! Już po nas!

Zanim zdążył powiedzieć cokolwiek, co by ją uspokoiło, usłyszeli pukanie do drzwi.

Oczy Alicii rozszerzyły się ze strachu. John gestem dał jej znać, by się cofnęła, stanęła więc za załomem.

John podszedł do drzwi i spojrzał przez wizjer.

- To tylko obsługa hotelowa - powiedział uspokajająco i otworzył drzwi.

- Witam państwa - usłyszała męski głos. - Przyszedłem, by zabrać wózek z jedzeniem.

- Hm, nie dzwoniłem po obsługę - zdziwił się John.

- Nawet nie skończyliśmy jeść.

- Ja skończyłam - wyrwało się Alicii, ale szybko zrozumiała, że to był błąd.

Mężczyzna odwrócił się w jej stronę i zanim zdążyła cokolwiek dodać, sięgnął za plecy i wyjął pistolet.

Krzyknęła i padła na podłogę, a John rzucił się na niego. Broń wypaliła, rozległ się suchy trzask.

Pistolet miał tłumik. Alicia krzyknęła raz jeszcze, widząc płą-

taninę ciała, po czym wczłgała się do swojego pokoju i zatrzasnęła drzwi. Przez chwilę miotła się po wnętrzu, usiłując znaleźć coś, co mogłaby wykorzystać do obrony.

Usłyszała głęboki jęk, kolejny strzał, a potem zapadła cisza. Zamarła z dłonią na ustach i wzrokiem wbitym w klamkę.

- To ja - usłyszała głos Johna. - Wpuść mnie. Odetchnęła z ogromną ulgą. Otworzyła i gdy zobaczyła go żywego, uściskała serdecznie.

- Dzięki Bogu, jesteś cały. - Zobaczyła krew na koszuli. - Och nie, czy ty...

- To nie moja krew - wyjaśnił szorstko, starając się nie zwracać uwagi na to, jak wpływa na niego bliskość jej ciała. - Weź ręczniki i postaraj się usunąć krew z podłogi. Ja zajmę się ciałem.

Mężczyzna leżał na brzuchu, nie ruszał się. Przez chwilę patrzyła na niego przerażona.

- Rozpoznał nas, prawda? - spytała drżącym głosem. - Pewnie chciał zdobyć nagrodę.

- Nagroda była za żywą Alicję Ponte, nie pamiętasz? Dlaczego więc celował w ciebie zamiast we mnie, domniemanego porwacza?

- Nie wiem, może...

- Nie ma żadnych może - przerwał jej ostro. - Ten człowiek nie był pracownikiem hotelu. Miał pistolet z tłumikiem. To był zawodowiec. Ktoś wyszedł, że tu jesteśmy. Ktoś, kto chce twojej śmierci - zakończył twardo.

Serce w niej zamarło.

- Mój Boże... przysłał go ojciec?

- Tak bym obstawiał...

- Łajdak! - krzyknęła wściekle, ciskając ręczniki.

Gniew był tym ostatnim, czego oczekiwał. Może panika, strach, ból, łzy... Ale gniew? W tej kobiecie było więcej wojownika, niż mógłby przypuszczać.

Z furją zaczęła usuwać krew ze ścian i podłogi, ale czerwone plamy tylko się rozmazywały.

- To nie zejdzie - orzekła po chwil. - Musimy to jakoś ukryć. Gdyby tylko... - Spojrzała na butelkę wina wychylającą się z kosza powitalnego. - Zabierz go stąd - powiedziała zimnym głosem, wskazując ciało. - Poradzę sobie z krwią.

Uniósł brwi z uznaniem. Może i nie potrafiła zrobić sobie śniadania, ale potrafiła wydawać rozkazy. Miała rację, musieli usunąć ciało. Wprawdzie tłumik sprawił, że strzały były niesłyszalne, ale, jak przypuszczał, gdzieś w hotelu leżało ciało zabitego pracownika pozbawionego uniformu. Kiedy ktoś to odkryje, zamkną hotel. Powinni wydostać się stąd wcześniej.

Zdjął wszystko z wózka na jedzenie, wcisnął tam ciało, a potem nakrył prześcieradłem jak obrusem. Gdzieś tu powinna być klatka ewakuacyjna. Jeśli nie wpadnie na żaden lepszy pomysł, po prostu porzuci zwłoki na półpiętrze.

- Zaraz wrócę - powiedział. - Rozpoznasz mnie po jednym puknięciu.

Uchylił drzwi, sprawdził, czy korytarz jest pusty, i wypchnął wózek. Wejście do klatki ewakuacyjnej znajdowało się na końcu długiego korytarza. John drżał na myśl, że w każdej chwili mogą otworzyć się któreś drzwi i ktoś go zobaczy.

Był w połowie drogi, gdy usłyszał dzwonek zatrzymującej się windy.

- Cholera! - zaklął cicho i szybko skręcił w boczny korytarz.

100

Usłyszał roześmiane głosy gości hotelowych. Za kilka sekund miną zakręt i zobaczą go. Szczęśliwie dostrzegł tabliczkę „Tylko dla personelu”. Nacisnął klamkę, ustąpiła bez oporu. Szybko wepchnął wózek do niewielkiego pomieszczenia zastawionego szczotkami, wiadrami z mopami, odkurzacami i środkami czystości. Na szczęście nikogo tu nie było.

Głosy na korytarzu powoli ucichły. Odetchnął z ulgą. Na razie miał szczęście. Ściągnął z siebie zakrwawioną koszulę. Nie zamierzał w niej paradować, ale wiedział też, że nie może jej tu zostawić. Chwycił szmatę i starannie wytarł uchwyt wózka, klamkę, nawet guziki na uniformie nieznajomego. Następnie uchylił lekko drzwi, odczekał, aż korytarz będzie pusty i ściskając w dłoniach zakrwawioną koszulę, przeszedł szybko do apartamentu.

Alicia otworzyła drzwi, gdy tylko usłyszała puknięcie.

Wsunął się do pokoju i zamarł.

- Coś ty, do cholery, zrobiła?

Wzruszyła ramionami. Z całych sił starała się nie patrzeć na jego nagi tors i niezliczone blizny pokrywające miedzianą skórę.

- Cóż... Mieliśmy małą pijacką imprezkę i bardzo przepraszamy za bałagan. Zostawiłam kartkę z przeprosinami i prośbą, żeby wszystkie koszty doliczyć do rachunku.

- Musieliśmy się nieźle bawić... - mruknął, patrząc na plamy czerwonego wina rozlanego wszędzie tam, gdzie wcześniej była krew. Niezły pomysł, przyznał w duchu. Raz jeszcze mu zaimponowała.

- Trochę mnie poniosło... Rozumiesz, nie potrafię utrzymać kieliszka w ręku... - próbowała błaznować.

Wciąż była bardzo roztrzęsiona, ale starała się zachować spokój.

Zapakował koszulę do plastikowej torby, wrzucił ją do walizki i dopiero wtedy spojrzał uważnie na Alicję. Była blada i drżąca, ale głowę trzymała wysoko. W jej jasnym spojrzeniu był ból, ale też odwaga i determinacja. Okazała się dobrym partnerem, potrafiła zachować spokój w obliczu niebezpieczeństwa, a to cenna umiejętność.

- Szkoda - mruknął. - W ten sposób straciłem szansę, by upić cię winem, maleńka...

Zerknęła na niego zaskoczona.

- Hm, więc jednak masz poczucie humoru. Uśmiechnął się lekko i wyjął z walizki świeżą koszulę.

- W każdym razie pewne przebłąski. Pakuj się. Musimy się stąd zwijać.

- Jestem już spakowana, choć nie wiem, czy jest takie miejsce na ziemi, gdzie moglibyśmy się schować przed moim ojcem.

- Nie martw się. Znalazł nas tutaj, bo to było proste. Pewnie zdobył dostęp do raportu kontroli lotów i dzięki temu wysledził mój śmigłowiec. Nie mam wprawdzie pojęcia, jak zdołał tak szybko namierzyć hotel, ale pieniądze bardzo ułatwiają takie poszukiwania.

- Dokąd więc pójdziemy?

- Daj mi kilka minut. - Włożył czystą koszulkę, sięgnął po telefon i szybko wybrał numer. Przez chwilę zastanawiał się, czy Corbin odbierze, kiedy zobaczy jego nazwisko na wyświetlaczu, ale na szczęście usłyszał:

- To ty, John?

- Corbin, dzięki, że odebrałeś. Nie byłem pewien, czy będziesz chciał ze mną rozmawiać.

102

- Co się dzieje?
 - Widziałeś konferencję prasową?
 - Tak. Słuchaj, jeśli masz kłopoty, to może...
 - To były kłamstwa - uciął stanowczo. - Jak usłyszysz, co ma do powiedzenia Alicia Ponte, zrozumiesz działania jej ojca.
 - Ona naprawdę jest z tobą?
 - Tak, ale z własnego wyboru. Spotkaliśmy się przez przypadek, ale teraz już jej nie zostawię. Słuchała go w pełnym napięcia milczeniu. Corbin Woodliff był jej jedyną szansą. Wiedziała, że przy okazji John chce osiągnąć jakieś własne cele, ale nie miało to już znaczenia. Przed chwilą uratował jej życie, powinna mu wreszcie zaufać... choć może nie aż tak bezwarunkowo.
 - Jak ona się czuje? - ostrożnie zapytał Corbin.
 - Rozumiem, że chodzi ci o stan jej umysłu. - John zaśmiał się z goryczą. - Załamanie nerwowe to bzdura. Tak jej daleko do psychiatryka jak tobie czy mnie. Choć przyznaję, jest wściekła, ale każdy by był. - Z powodu tej konferencji?
 - Nie tylko. Niedawno mieliśmy gościa w pokoju hotelowym. Zawodowiec. Tłumik i te sprawy. Wygląda na to, że ojciec wcale nie chce jej z powrotem żywej. Zamierzają powstrzymać za wszelką cenę, zanim doniesie władzom o jego poczynaniach.
 - Co się stało z tym... gościem?
 - Wolałbyś nie wiedzieć.
- Milczenie, jakie zapadło w słuchawce, zaniepokoiło Johna, ale po chwili Corbin wrócił do zadawania pytań:
- Co więc chcielibyście mi powiedzieć?
 - To historia Alicii i ona musi ci ją przedstawić, jednak biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, nie może-

my czekać do jutra. Zapewniam, że to duża sprawa, ale musimy być ostrożni. Widziałeś konferencję i wiesz, kto stał za ojcem Alicii. Zastępca dyrektora FBI to jego kolega ze szkoły. Zresztą Richard Ponte ma wszędzie swoich ludzi. Alicia boi się, że nikt nie uwierzy w jej zeznania, a ojciec i jego ludzie wszystko zatuszują. Nie wie, komu może zaufać. Dlatego poleciłem cię.

- Zgodnie z teorią, że dziennikarz zawsze będzie zainteresowany nowym tematem, a im bardziej sensacyjny, tym lepiej - mruknął Corbin cynicznie.

- Świetnie to ująłeś.

- Dobrze. Jeśli zdołacie dostać się tu niepostrzeżenie, porozmawiam z nią. Musicie się jakoś zamaskować, bo jej twarz ciągle pokazują na wszystkich kanałach telewizyjnych.

- Jasne. Będziemy u ciebie w ciągu godziny. Aha, Corbin...

- Tak?

- Dziękuję.

- Nie dziękuj. Jeśli to będzie naprawdę duża historia, to ja podziękuję tobie. Trzymajcie się. John rozłączył się, schował telefon i szybko dokończył pakowanie.

- Powinnaś się przebrać - powiedział. - Corbin mówi, że wszędzie pokazują twoje zdjęcia.

- Mam nadzieję, że jakieś dobre - mruknęła i otworzyła walizkę.

Przez chwilę z namysłem patrzyła na jej zawartość, po czym jednym ruchem ściągnęła koszulkę.

Zastanawiał się, czy nie powinien wyjść, ale jego obecność chyba jej nie przeszkadzała. Zresztą prosta bielizna i tak niewiele ukazywała.

Alicia włożyła spodnie dresowe i koszulkę na ramiącz-

ka, a do tego, ku jego zdumieniu, wybrała buty na wysokich obcasach. Ściągnęła mocno dół koszulki i zawiązała w węzeł pod biustem, odsłaniając płaski brzuch. Potem pochyliła głowę do dołu, ujęła włosy w dłonie i długo je tapirowała. Spojrzała w lustro i z zadowoleniem oceniła wielki kłęb włosów beładnie okalający jej twarz. Usztywniła fryzurę lakierem, a potem sięgnęła po kosmetyczkę. Z zaciekawieniem obserwował jej przemianę w ulicznego kociaka. Widział, jak rysuje mocne, czarne kreski na delikatnych brwiach. Na rzęsy nałożyła grubą warstwę tuszu, a następnie wydatnie podkreśliła usta jask-rawoczerwoną szminką.

- Jak wyglądam? - Zerknęła na Johna.

- To ja powinienem spytać, ile bierzesz - skomentował z uśmiechem.

- Zależy za co, pełna obsługa czy takie tam pięć minut. - Wrzuciła kosmetyczkę do walizki. Podwinęła jeszcze nieco nogawki i zameldowała: - Jestem gotowa.

- W porządku. - Sięgnął po bagaże. - Do windy idziemy razem, ale nie patrz na mnie i nie mów do mnie. Nie znamy się. Potem wysiądź pierwsza, będę zaraz za tobą. Jak wyjdziemy na ulicę, złapię taksówkę. Gdy zobaczysz, że pakuję walizki, idź do najbliższego rogu ulicy. Tam cię złapię. Starajmy się nie zwracać na siebie uwagi.

Gdy ruszyli do windy, rozległy się za nimi męskie głosy.

- Nie oglądaj się i nie zatrzymuj - szepnął John. Szła zdętwiała, a gdy wreszcie dotarli do windy, miała wrażenie, że jej policzki są równie czerwone jak usta.

Ku jej uldze mężczyźni minęli ich i skręcili za rogiem.

Kiedy wreszcie drzwi kabiny zasunęły się cicho, odgradzając ich od świata, nerwy jej puściły i zaczęła drżeć.

Położył jej rękę na ramieniu i szepnął uspokajająco:

- Trzymaj się, mała. Radzisz sobie jak zawodowiec. Jeszcze nim przebrzmiały te słowa, miał ochotę je cofnąć. Nie chciał zbliżyć się do niej. Chciał tylko zrealizować swój cel. Nie mógł jednak nic poradzić na to, że im dłużej ją obserwował, tym bardziej ją lubił.

Alicia czuła szum w uszach. Modliła się, by nie zemdleć i jakoś dotrzeć do domu Corbina Woodliffa. Ledwie rozumiała, co John do niej mówi, myślała tylko o tym, żeby udało jej się przejść przez recepcję. Winda powoli się zatrzymała i drzwi otworzyły się z cichym szumem.

- Idziemy - powiedział miękko.

Spięta do ostatnich granic wyszła z kabiny i ruszyła ku drzwiom wyjściowym. Kiedy je mijala, portier spojrzal na nią znacząco i gwizdnął z uznaniem.

Wysoka, długonoga blondynka uśmiechnęła się pogardliwie na jej widok, ale pewne rozluźnienie przyniosła jej dopiero wyraźna dezaprobata w oczach starszej kobiety. Kosmetyki i odpowiedni strój potrafią zdziałać cuda, pomyślała, idąc coraz bardziej rozkołysanym krokiem i przyoblekając wyzywającą, idealnie pasującą do wizerunku, minę.

Po chwili i John dotarł spokojnie do drzwi.

- Potrzebuje pan taksówki? - spytał portier. Skinął głową i na chwilę odstawił walizki. Mężczyzna stanął na chodniku i dmuchnął w gwizdek, a chwilę potem przed wejściem zatrzymała się żółta taksówka. John wrzucił walizki do bagażnika i zajął miejsce

w środku. Kątem oka widział, że Alicia posłusznie podążyła do najbliższego rogu.

- Proszę skrócić w prawo - odezwał się, ledwie ruszyli. - Widzi pan tę kobietę na rogu, w niebieskiej bluzce...?

- Pewnie. - Taksówkarz roześmiał się. - Nie da się jej nie zauważyć!

- Proszę się zatrzymać, jak będziemy ją mijać. Kierowca zerknął w tylne lusterko ze znaczącym uśmiechem.

- Jasna sprawa!

John nie podtrzymał męskiej rozmowy. Chciał jak najszybciej mieć znów Alicię pod swoimi skrzydłami. Ta myśl go uderzyła, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać.

Po chwili samochód zatrzymał się i John otworzył drzwi. Nie musiał nic mówić, w ciągu sekundy Alicia siedziała obok niego. Odetchnęła głęboko, objęła dłońmi drżące kolana i położyła na nich czoło.

Delikatnie pogładził ją po plecach. Czuł szybkie uderzenia jej serca. Przesunął dłoń nieco wyżej, ujął delikatnie za ramię i przyciągnął ją do siebie. Bez oporu wtuliła twarz w jego pierś.

Całą drogę do domu Corbina przebyli bez słowa.

Kiedy dojechali, Alicia z całych sił starała się wziąć w garść, a John próbował zapomnieć, jak się czuł, trzymając ją tak blisko serca.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W porównaniu z napięciem, które odczuwali podczas ucieczki z hotelu, dotarcie do domu Corbina wydało im się aż za proste. Zapadał zmierzch. Okna mijanych domów błyskały ciepłymi światłami. Alicia wyobrażała sobie spokojne, pozbawione dramatów życie, które toczyło się za tymi murami, i myślała o tym, jak cudownie byłoby należeć do jednej z tych rodzin. Niestety, jej ojcem był Richard Ponte.

- Jakiego numeru pan szuka? - spytał szofer, kiedy wjechali w uroczą uliczkę zabudowaną domami z poprzedniej epoki.

- Trzydzieści jeden - odparł, celowo podając inny numer domu.

- To już tu. - Kierowca zatrzymał się przed wysokim budynkiem otoczonym krzewami kwitnących azalii.

- Jesteśmy na miejscu - odezwał się John, gdy kierowca wysiadł, aby wypakować walizki.

Nagle całe napięcie wróciło ze zdwojoną siłą. Alicia zaczęła nerwowo przyglądać włosy, ale kiedy natrafiła na sztywną od lakieru fryzurę, przypomniała sobie, jak wygląda. Ciekawe, jak zareaguje na nią Corbin Woodliff? Czy jej uwierzy?

- Z takim wyglądem nikt nie potraktuje mnie poważnie - mruknęła zdesperowana.

John oczywiście widział, jak bardzo targają nią nerwy, ale obawiał się, że współczucie mogłoby jeszcze bardziej ją rozdrażnić. Wiedział, że gniew i irytacja często pomagają opanować emocje.

Obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem i wreszcie powiedział:

- Moim zdaniem wyglądasz świetnie. Jestem pewien, że Corbin będzie zachwycony. Z tego, co pamiętam, lubił ostre panienki...

- Dziękuję za komplement - syknęła.

- Po prostu stwierdzam fakt.

Fuknęła na niego ze złością. I już nie była tak rozdygotana.

- Jak myślisz, nie śledzą nas? - spytała, rozglądając się czujnie.

- Nie - stwierdził stanowczo.

- Skąd ta pewność?

- Jestem Czirokezem. Nasze plemię od wieków słynie z doskonałych tropicieli. Bacznie się rozglądałem. Jestem pewien, że nikt za nami nie jechał.

Skoro już poruszył ten temat, pomyślała, że winna mu jest wyjaśnienie.

- Przepraszam, że nazwałam cię Indiańcem... - kajała się. - Wcale tak nie myślałam.

- A ja nazwałem cię ostrą panienką. I też tak nie myślałem. Jesteśmy kwita.

W tym momencie usłyszeli pukanie w szybę i zobaczyli, że walizki są już wypakowane. Wysiedli więc, a gdy kierowca podawał Alicji torbę, patrzył na nią z wyraźnym uznaniem. Sięgnął po pieniądze, które mu podawała, i mrugnął do niej znacząco.

- Jeśli później trzeba cię będzie odebrać, zadzwoń. - Podał jej wizytówkę. Jej nozdrza drgnęły z gniewu, ale John odciągnął ją, zanim wybuchła.

- Ja chciałem zapłacić - powiedział, kiedy taksówkarz już odjechał.

- Mówiłam ci, że sama płacę za siebie - sarknęła, patrząc na znikający za zakrętem samochód. - Słyszałeś, co do mnie powiedział?! Za kogo on mnie ma?

- Raczej nie za niewinną panienkę - skomentował ze śmiechem. - Daj mu spokój. Sama tak się wystroiłaś, więc co się dziwisz. Też bym tak zareagował.

- Łatwo ci mówić! Rodzony ojciec zrobił ze mnie wariatkę i chce mnie zabić. Wyglądam jak dziwka i tylko to zapewnia mi względne bezpieczeństwo, a ty mnie nie znosisz. Wszystko razem bardzo poprawia mi humor!

- Nieprawda, że cię nie znoszę - mruknął.

- Akurat! Nie wiem, co chcesz załatwić przy mojej pomocy, ale wiem, że nie jesteś ze mną szczery. Sięgnął po walizki i przez chwilę szli w milczeniu. Nie bardzo wiedział, co powinien jej powiedzieć. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak Alicia może się czuć ze świadomością, że własny ojciec chce ją uciszyć za wszelką cenę.

- Słuchaj, Alicia... - odezwał się z trudem. - To nie tak, ja...

- To chyba tutaj? - przerwała mu, naciskając energicznie dzwonek. Zanim zdążył potwierdzić, drzwi się otworzyły i stanął w nich Corbin Woodliff. Gdy spojrział na Johna, po prostu doznał szoku. Minęło piętnaście lat, odkąd widzieli się ostatnio, choć stale utrzymywali z sobą kontakt. Corbin był teraz piętnaście kilo cięższy, linia

włosów cofnęła mu się wyraźnie, więc dla wyrównania bilansu zapuścił brodę. Miał na sobie luźne spodnie i ciasno opinającą brzuch koszulę.

John odstawił walizki i uściśnił dłoń gospodarza.

- Kopę lat, Corbin.

- Faktycznie, przyjacielu. Choć po tobie wcale tego nie widać - dodał ze zdumieniem. - Kawał czasu od tego zamachu stanu w Wenezueli...

Uściskali się serdecznie, po czym Corbin spojrzał z nieskrywanym zainteresowaniem na kobietę stojącą za Johnem. Miała nagi brzuch i ostry makijaż, ale w oczach błyszczała podobna determinacja jak w spojrzeniu Johna.

- Zakładam, że to panna Ponte - powiedział z lekkim uśmiechem. - Proszę wejść.

- To tylko przebranie - szybko wyjaśniła Alicia, gdy drzwi się za nimi zamknęły.

- Robi wrażenie - mruknął Corbin z uznaniem. Alicia westchnęła ciężko.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, dziękuję, że zechciał pan się ze mną spotkać.

Corbin spojrzał przeciągle na Johna.

- Jestem mu winien przysługę, i to niejedną. Wchodźcie. - Zaprosił ich gestem w głąb domu. -

Usiądziemy w bibliotece, tam będzie najwygodniej. Mam nadzieję, że nikt was nie śledził?

- Wszystko w porządku - zapewnił John.

- On jest Czirokezem - dorzuciła Alicia.

Corbin skrył uśmiech i wprowadził ich do zacisznego pomieszczenia na końcu korytarza. W pokoju unosił się lekki aromat dobrych cygar zmieszany ze specyficznym zapachem starych książek, jednak Alicia nie zwróciła na to uwagi. Zmęczona zapadła się w głęboki, skórzany

fotel. Przez chwilę obserwowała Johna i Corbina, którzy rozmawiali w kącie pomieszczenia. Nie słyszała ani słowa, ale domyślała się, o czym mówią.

- Macie ochotę na coś do picia? - spytał Corbin, gdy wreszcie wszyscy usiedli.

- Ja dziękuję - powiedział John. Alicia tylko pokręciła głową.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Corbin przypatrywał się im uważnie.

- Rozumiem, że słyszał pan te bzdury, które wygadywał o mnie ojciec - odezwała się Alicia.

John poprawił się na krześle i zerknął na nią. Widział, że powoli wraca jej determinacja, znów stała się wściekła i twarda. To dobrze, nie chciał, żeby się rozpląkała. Przez wieki nie zdołał się uodpornić na widok płaczących kobiet.

- Oglądałem konferencję - przytaknął Corbin.

- I muszę przyznać, że brzmiał szczerze. Oczy Alicii błysnęły z gniewu.

- Nie wątpię! - prychnęła. - To stek kłamstw! Ojcu bardzo zależy, żebym do niego wróciła, ale najlepiej w trumnie!

Corbin coś mruknął, spojrzał z namysłem na Johna, a potem na Alicię.

- Przepraszam, panno Ponte, ale...

- Proszę mi mówić po imieniu - przerwała mu.

- Jestem Alicia.

- Dobrze, Alicio - zgodził się. - Musisz jednak zrozumieć, że trudno uwierzyć, aby ktokolwiek zamierzał zabić własną córkę. Jesteście pewni, że ta rzekoma próba zamachu na twoje życie to nie była próba zdobycia nagrody, którą wyznaczył twój ojciec?

- Nie! - odparł za nią John ostrym tonem. - To był

zamach! Celował w nią, miał pistolet z tłumikiem, a pieniądze oferowano za pomoc w odnalezieniu jej żywej. Na co ci to wygląda?

Corbin milczał przez chwilę, po czym znów zwrócił się do Alicii:

- Co takiego wiesz, że ojciec gotów jest cię zabić, byle tylko się to nie wydało?

- Podśluchałam jego rozmowę ze współnikiem, Ja-cobem Carruthersem...

- O czym mówili? Westchnęła ciężko.

- Dowiedziałam się, że sprzedają broń Al-Kaidzie... - wyjaśniła martwym głosem.

- Boże Świąty! - Corbin aż poderwał się z fotela i chwycił z biurka niewielki dyktafon. - Jesteś pewna, że dobrze ich rozumiałaś? - Włączył urządzenie.

- Tak - potwierdziła ze smutkiem. - Mówili, że Osama bin Laden i Al-Kaida potrzebują amunicji w Fa-ludży.

Corbin zamilkł zszokowany. Wiedziała, co czuje. Niedowierzenie, a zarazem wiarę w jej słowa, czyli kompletny chaos. Przez kilka minut siedział, patrząc w podłogę. W końcu uniósł wzrok.

- Jeśli to prawda... nie rozumiem mnie źle... nie mówię, że kłamiesz, lecz jeśli to prawda, wówczas ogrom konsekwencji... nie chodzi o zwykłe przestępstwo, sprawa jest wagi państwowej... Jeśli to prawda, wówczas twój ojciec, który należy do ścisłej elity finansowej i gospodarczej Ameryki... Richard Ponte, największy producent broni, człowiek cieszący się zaufaniem najwyższych władz USA, człowieka, którego opinie wpływają na decyzje polityków, jest zdrajcą własnej ojczyzny!

Dostarcza broń naszym wrogom, z którymi toczy

wojnę... - Odetchnął głęboko, przetarł twarz dłońmi. - Dobry Boże!

Alicia z trudem panowała nad drżącym ciałem. Wiedziała, co oznaczają jej słowa. Wydała wyrok na własnego ojca... Do tej pory nie docierało to do niej w całej rozciągłości. Po prostu zareagowała spontanicznie na zło. Teraz jednak pojęła, gdzie się znalazła: w samym środku antycznej tragedii. Nie miała dobrego wyboru, los skazał ją na cierpienie. Nie wydając ojca, zdradziłaby własny kraj. Postępując zgodnie z patriotycznym nakazem, a taką drogę spontanicznie wybrała, zdradzała własnego ojca. Ten wybór był dla niej oczywisty, lecz jakże bolesny.

I nagle coś stwardniało w jej duszy. Nie, to nie jest antyczna tragedia, tylko współczesny dramat. U starożytnych Greków człowiek był igraszką losu, ot, choćby nieszczęsna Antygona. Lecz Alicia tak się nie czuła. *Faber est suae quisque fortunae*, mawiali mądrzy Rzymianie. Każdy jest kowalem swego losu. Nie bezradny lot w wichrze fortuny, lecz świadome wybory i ich konsekwencje. Ojciec wybrał, i ona wybrała. Koniec, kropka.

- Możesz to udowodnić? - spytał Corbin po chwili.

- Nie. Mówię tylko, co słyszałam.

- On wie, że chcesz donieść o tym władzom?

- Niestety tak. - Skrzywiła się. - Wiem, zachowałam się głupio, ale emocje mnie poniosły i wykrzyczałam mu, co o tym myślę.

- Skoro tak, usunie wszystkie ślady... - myślał głośno Corbin. - A po tym, jak ogłosił, że masz problemy psychiczne, nikt ci nie uwierzy... Żadne władze nie będą chciały się narażać i pewnie nawet nie zaczną dochodzenia...

- Wiem - przyznała z bólem. - Zmarnowałam trzy dni na ucieczkę, zamiast od razu nadać bieg sprawie, ale mój ojciec ma bardzo rozległe kontakty. Dostarczał sprzęt bojowy dla naszej armii przez całe lata. Nie miałam pojęcia, do kogo się z tym zwrócić. Tak naprawdę nikomu nie mogę zaufać.

- Rozumiem cię. Pamiętasz może coś jeszcze? Wspominali jakieś nazwiska, daty, przelewy?

- Tylko tyle, że dostawa przypada na trzynastego, przez co będą jakieś problemy ze względu na święto religijne. Ale nie mam pojęcia, o jakim miesiącu mówili. Padło też jedno nazwisko, ale nie wiem, czy pośrednika, czy odbiorcy.

- Pamiętasz je?

- Wszystko pamiętam... Od tamtego czasu nie jestem w stanie myśleć o niczym innym. Odkąd uświadomiłam sobie, co robi mój ojciec i wuj Jacob, czas się dla mnie zatrzymał. Wspominali coś o Afganistanie, Kurdach, a potem wymienili nazwisko Mohammed Al-Kazir.

Oczy Corbina rozszerzyły się gwałtownie.

- Jesteś pewna? - dopytywał poruszony.

- Tak. Czemu pytasz?

- Według ostatnich danych naszego wywiadu, to aktualny przywódca Al-Kaidy. Podejrzewają, że chroni się w górach Afganistanu, choć czasami słyhać też plotki o Turcji. Nie widziano go od miesięcy.

Alicia znów zadrżała. Owszem, podjęła twardą decyzję, że przeciwstawi się ojcu, ale to, co się działo, było zbyt straszne, żeby mogło być prawdziwe! Z nerwów i nieustannego napięcia kotłowało jej się w żołądku.

- Łazienka! - zawołała, przytykając dłonie do ust. - Muszę do łazienki!

John zerwał się z fotela i poprowadził ją do holu.

Szybko otworzył drzwi, które wskazał Corbin, i wpuścił ją do środka.

Zatrzasnęła za sobą drzwi, pochyliła się nad muszlą klozetową i zwymiotowała. Potem obmyła twarz zimną wodą i oparła rozpalone czoło o zimne kafelki.

John stał na zewnątrz i nasłuchiwał, gotów do pomocy. Bał się, że Alicia zemdleje. Rozumiał jej stan i podziwiał, że zdobyła się na tę nierówną walkę.

On miał czas przygotować się na spotkanie z Var-gasem. Chęć zemsty narastała w nim od stuleci i wypełniała każdy por jego skóry. Nie mógł od tego uciec nawet we śnie, bo często śnił o Białej Sarence i swych współbraciach tonących we krwi. Miał tylko nadzieję, że kiedyś nadejdzie czas zemsty.

Natomiast Alicia została kompletnie zaskoczona przez bieg zdarzeń. Jej dotychczasowe życie nagle legło w gruzach, z dnia na dzień ojciec stał się jej największym wrogiem, a ona wyruszyła na samotną walkę, nie wiedząc nawet, komu może zaufać.

- Wszystko z nią w porządku? - spytał Corbin, który wyszedł na korytarz.

- Zaraz dojdzie do siebie.

- Cholernie przykra sprawa, dowiedzieć się czegoś takiego o swoim ojcu...

- A więc jej wierzysz? - ucieszył się John.

- Ty jej wierzysz, a ja wierzę tobie. - Corbin wzruszył ramionami. - Choć czuję przez skórę, że coś przede mną ukrywasz...

John spojrzał na przyjaciela uważnie. Całe jego życie było jedną wielką tajemnicą, ale miał nadzieję, że pytanie Corbina nie sięga aż tak głęboko.

- Co masz na myśli? - spytał.

Corbin przesunął spojrzeniem po doskonale wyrzeź-

bionej, brązowej twarzy, przez szerokie ramiona i płaski brzuch.

- Myślę, że odkryłeś sekret wiecznej młodości, przyjacielu - odparł z uśmiechem. - Doskonale wyglądasz.

- To geny prawdziwych Amerykanów, białasie - odparował kpiąco.

- Rany, to w następnym wcieleniu chcę być Indiań-cem - zripostował w tym samym tonie.

- Uważaj, o co prosisz - już bez uśmiechu mruknął John.

Po chwili z łazienki wyszła Alicia. Wyprostowana, broda uniesiona, tylko ta bladość na twarzy...

- Przepraszam. Chyba coś połknęłam... własną dumę... Dziękuję - dodała smutno po chwili.

Cholera, płakała, domyślił się John. Ale z wyrazu jej twarzy wywnioskował, że nie chce o tym mówić.

Pomyślał, że powinien zrobić coś, żeby się zezłościła, to pomoże jej zapanować nad emocjami.

- Potraktuj to jako rozważne wygodnictwo. Wolałbym nie sprzątać po tobie.

Corbin drgnął zaskoczony. Nie podejrzewał go o taką opryskliwość w stosunku do kobiet. Spojrzał uważnie na tych dwoje i pomyślał, że napięcie między nimi ma swoje źródło nie tylko w gniewie. No tak, jasne... Uśmiechnął się do siebie.

Alicia zerknęła ostro na Johna, ale zrezygnowała ze starcia. Zamiast tego znowu zwróciła się do Corbina:

- O czymś jeszcze powinnam wspomnieć - stwierdziła konkretnym tonem.

- Tak?

- Wujek Jacob, to znaczy Jacob Carruthers... - Zawahała się, jakby jeszcze raz rozważając jakiś pomysł.

- Co z nim? - spytał zaintrygowany.

- Ojciec wydaje się monolitem, skała nie do przebicia. Ale nie działa przecież sam, więc siłą rzeczy jest częścią łańcucha...

- A każdy łańcuch... - wpadł jej w słowo.

- No właśnie. Ojciec prowadzi z Jacobem Carruther-sem rozległe interesy. Lubi go, choć uważa za mięczaka, dlatego dawno by się go pozbył, ale nie może z uwagi na powiązania finansowe. Ojciec wystartował w biznesie dzięki pieniądzom mojej mamy i Jacobowi... Ale to teraz nieważne. Chodzi o coś innego. Każdy biznes to skomplikowany łańcuch wzajemnych powiązań, a każdy łańcuch składa się z ogniw. Są ogniwa ważne i mniej ważne. Kiedy pęknie ważne ogniwo...

- Dość tych metafor, Alicio - popędził ją z uśmiechem Corbin. - Czuję, że dochodzimy do sedna.

- Masz rację. - Też uśmiechnęła się lekko. - Z naszego punktu widzenia tchórzostwo i skłonność do hysterii Jacoba Carruthersa mogą okazać się prawdziwym darem niebios. Po prostu wystarczy go postraszyć, by zaczął mówić. Postraszyć, a także pokazać marchewkę. Zagrozić szubienicą, bo tak karze się zdrajców - mruknęła gorzko - i obiecać życie w zamian za zeznania. Jak go znam, załamie się i wpadnie w panikę, gdy tylko dowie się o mojej ucieczce. To dobry punkt wyjścia, by go przycisnąć.

- To jest myśl - skomentował Corbin. - Mam kilku przyjaciół w FBI. - Dostrzegł zaniepokojone spojrzenie Alicii, dodał więc szybko: - Wiem, wiem, sam widziałem, jak twój ojciec ścisnął zastępcę dyrektora, i wiem, że byli szkolnymi kolegami. Ale nie tylko Richard Ponte ma przyjaciół. Przyglądam się sprawom w Waszyngtonie od dwudziestu pięciu lat i mam swoje kontakty. Jeśli pojawię się z przyjaciółmi na progu domu Jacoba

Carruthersa, być może zdobędziemy prawdziwe dowody, bo na razie mamy tylko podsłuchaną rozmowę.

- Byłoby wspaniale! - zawołała.

- Jeśli Carruthers zacznie mówić, FBI rozpocznie śledztwo. To będzie największa sensacja od pojmania Saddama Husajna! - emocjonował się Corbin. W Alicii natomiast ulga mieszała się z goryczą. Wiedziała, że musi coś zrobić, żeby zatrzymać dostawy broni dla wroga. Wymagały tego uczciwość, honor, elementarna lojalność wobec ojczyzny. Owszem, postępowała słusznie, podjęła twardą decyzję, nie miała żadnych wątpliwości. Była jednak córką człowieka, na którego podpisała wyrok. A to bolało...- Mam nadzieję, że się uda - odezwała się dzielnie. John widział, jak drży jej broda. Czuł jej ból i był zły, że zaczynały go obchodzić uczucia Alicii. Ale wiedział, że niezależnie od tego, czy jej się to spodoba, czy nie, on też musiał zrobić to, co uważał za słuszne. Wolałby tylko, aby nie zabolęło jej to zbyt mocno...

- Będziemy się zbierać. - Ujął Alicię pod ramię.

- Przed nami jeszcze długa droga.

- Podwiozę was - zaproponował Corbin.

- Dzięki.

- Jeszcze raz ci dziękuję za to, że mi uwierzyłeś

- powiedziała Alicia.

- Cóż... John wierzy tobie, a ja wierzę jemu.

- Chciałabym móc powiedzieć to samo - odparła z goryczą.

Corbin spojrzał na nich z zainteresowaniem, ale nie wyglądało na to, żeby mieli ochotę rozwijać temat. - W takim razie idę po kluczyki - oznajmił.

Gdy zniknął w głębi domu, John odwrócił się plecami do Alicii i wsadził ręce głęboko do kieszeni.

Błagał ją

w duchu, aby nic nie mówiła. Musiał utrzymać dystans między nimi, nie chciał jej lubić, przywiązywać się do niej, przejmować jej uczuciami. Chciał tylko osiągnąć swój cel.

- John?

- Tak? - odezwał się niechętnie.

- Ile jestem ci winna za hotel? Uśmiechnął się w duchu.

- Nawet tam nie spaliśmy.

- I tak będziesz musiał zapłacić - upierała się. - Jak myślisz, ile doliczą za tę demolkę? Od razu dam ci połowę, potem w razie czego dopłacę.

Pokręcił głową.

- Jesteś najbardziej irytującą kobietą, jaką znam.

- Sto pięćdziesiąt dolarów załatwi sprawę? I pięćset za demolkę? - spytała, ignorując jego uwagę.

- Całkowicie.

Sięgnęła do torebki i wyjęła zwitek banknotów tak gruby, że ledwie mogła utrzymać go w dłoniach. Kiedy podawała mu pieniądze, widziała, jak ze zdenerwowania drgają mu mięśnie twarzy i ciemnieją oczy.

Wiedział, po co to zrobiła. Tylko po to, by mu udowodnić, że może sama za siebie płacić. Wyjął swój zwitek banknotów - równie duży, ale o większym nominale, dołożył pieniądze, które dostał od niej, i schował do kieszeni.

Oczy Alicii rozszerzyły się ze zdumienia, a potem westchnęła lekko. Cóż, w tej rozgrywce on był górą.

- Wygrałeś - przyznała. - Twój był większy.

- Nie zapominaj o tym.

Wprawdzie wciąż na siebie nie patrzyli, ale złość gdzieś uszła. John starał się opanować emocje. Nie musiał przecież jej nienawidzić, żeby osiągnąć swój cel.

Problem polegał tylko na tym, że była pierwszą od wieków kobietą, która intrygowała go na tyle, by chciał od niej czegoś więcej niż tylko przypadkowego, krótkotrwałego związku. Mógłby ją nawet polubić. Musiał tylko pamiętać, by się w niej nie zakochać.

Śmigłowiec leciał na zachód po nocnym niebie. Powietrze było przejrzyste i bezchmurne, gwiazdy świeciły jasno, John nie musiał więc używać wskaźników. Przez całe wieki, kiedy poruszał się najpierw pieszo, potem konno, wreszcie różnymi pojazdami, zawsze używał nieba jako mapy. Gdy zdobył licencję pilota, noc była jego ulubioną porą do latania.

Lampki kontrolne świeciły jaskrawo i odbijały się od aksamitnej ciemności na zewnątrz. Tutaj, w górze, miał złudne poczucie spokoju i bezpieczeństwa, jakby byli poza zasięgiem zła. Zerknął na śpiącą Alicję, żeby sprawdzić, jak się ma. Niechętnie musiał przyznać przed samym sobą, że ta kobieta mogłaby być dla niego ważna w bardzo osobisty sposób.

Wiedział, że mu nie ufa. I nie mógł się temu dziwić po tym, jak odkryła, że jedynym powodem, dla którego jej pomaga, jest chęć konfrontacji z ojcem. Czy byłaby w stanie uwierzyć, że jego uczucia się zmieniły?

Był już znużony tym polowaniem. Tyle lat, tyle czasu i wszystkie te dni spędzone na poszukiwaniu okazji do zemsty. Zastanawiał się, czy los będzie na tyle okrutny, że pozwoli mu dopaść i zgładzić Vargasa, a potem ześle na niego śmierć, właśnie teraz, kiedy jego serce zaczyna się budzić po tylu latach snu i samotności? Miał pięćset lat na znalezienie miłości i zużył je na ściganie ducha. Nie wiedział, co się stanie po tym, jak wreszcie zabije Yargasa, ale cokolwiek to będzie, nie mógł protestować.

Alicia poruszyła się lekko. Przyjrzał się jej uważnie. Zaraz po starcie zmyła wyzywający makijaż i wygładziła fryzurę, ale związana koszulka nadal odsłaniała płaski brzuch.

Była bardzo wychudzona, ze zdenerwowania ledwie co jadła. Gdy dotrą do Sedony, porządnie ją nakarmi. Potem mogą odpoczywać, jak długo będą chcieli. Nieruchomość była zarejestrowana na jedną z firm Johna, a jego nazwisko nie pojawiało się w żadnych dokumentach. Ktoś musiałby przekopać mnóstwo papierów, żeby zorientować się, że firma należała do niego.

Zerknął na wskaźniki, potem na horyzont i poruszył głową, żeby rozluźnić spięte mięśnie. Za jakąś godzinę powinni być na miejscu. Marzył o tym, by puścić drążki sterowe i wyciągnąć się w wygodnym łóżku.

- Już dolatujemy? - spytała zaspanym głosem.

- Prawie, została niecała godzina lotu.

- To dobrze. - Z trudem przeciągnęła się w ciasnym wnętrzu kabiny. - Jest jeszcze woda?

- Proszę. - Podał jej butelkę.

Widział, jak objęła ustami korek i spróbował skupić uwagę na czymś innym. Zerknął na wskaźniki i zniżył pułap o trzysta metrów.

Alicia poczuła, jak jej żołądek znowu wywija salto, ale na szczęście widok ziemi pomógł jej zapanować nad organizmem.

- Twój dom znajduje się poza miastem? - spytała, zdumiona brakiem świateł.

- Tak, jakieś pół godziny lotu od Sedony.

- Czyli na pustyni?

- Dokładnie.

Wychyliła się głębiej z fotela, żeby zobaczyć krajobraz

pod nimi i poczuła szum w głowie. To przypomniało jej, że od dawna nie jadła.

- Mam nadzieję, że trzymasz w domu puszkę zupy albo paczkę sucharów. Muszę coś zjeść.

- Nie martw się, lodówka jest dobrze zaopatrzona. Zaraz tam będziemy.

Skinęła głową, podciągnęła kolana pod brodę i oparła na nich głowę.

Zerknął na nią z troską. Miał nadzieję, że kiedy wreszcie stanie na ziemi i zje coś konkretnego, szybko odzyska formę.

Po kilku minutach zniżył lot o kolejnych trzysta metrów. Z tej odległości mógł już włączyć wszystkie światła zewnętrzne w posiadłości za pomocą pilota. Sięgnął po niego i po chwili otoczenie domu i pas do lądowania zabłyśły dziesiątkami świateł.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił, ostrożnie sprowadzając maszynę w dół, a gdy wylądowali, powiedział z ulgą: - Witaj w domu!

- Uff, nie czuję nóg - mruknęła, gdy pomógł jej wysiąść z kabiny.

- Oprzyj się o mnie. - Podał jej ramię.

Chwyliła go mocno i pozwoliła się prowadzić. Zmęczonym wzrokiem obserwowała, jak otwiera drzwi i blokuje system alarmowy. Zaczynało do niej docierać, że John Nightwalker był równie tajemniczy, jak jej ojciec. Wydawał się nieprzyzwoicie bogaty i mieszkał samotnie w miejscach o rozbudowanych systemach bezpieczeństwa. Raz jeszcze postanowiła sobie, że zapyta go, co konkretnie eksportuje i importuje jego firma oraz, co ważniejsze, co jej ojciec zrobił jego rodzinie. Wiedziała tylko, że nie żyją, a John obwinia go o ich śmierć. Przypuszczała, że mogło to się zdarzyć podczas wybu-

chu amunicji w jednej z fabryk. Żadne inne sensowne rozwiązanie nie przychodziło jej do głowy.

- Jak się czujesz? - spytał, troskliwie prowadząc ją do kuchni.

- Dziwnie. Chciałabym chyba coś zjeść, ale mój żołądek jeszcze się nie uspokoił.

Wyciągnął rękę i przejechał lekko dłonią po jej włosach. To był łagodny gest, który miał ją pocieszyć, ale kiedy przechyliła głowę ku jego dłoni, wyczuł jej uległość. Nie miał pojęcia, czy zdawała sobie sprawę z tego, jak wiele znaczył ten moment w ich relacjach. To był znak zaufania, którego wcześniej nie ujawniała.

Szybkim krokiem ruszył do lodówki, notując sobie w myślach, by zadzwonić do swojego człowieka w miasteczku i podziękować mu za opiekę nad domem i zaopatrzenie. Było wszystko, czego potrzebował, nawet w nadmiarze.

Nalał szklanek mleka, pokroił trochę wiejskiego sera, dodał kilka krakersów i postawił wszystko przed Alicią na stole.

- Zjedz to - polecił. - Ja pójdę po bagaże. Właśnie kończyła pierwszego krakersa, gdy był już z powrotem. Włączył alarm, rzucił jej szybkie spojrzenie i zniknął gdzieś z walizkami. Po chwili wrócił i usiadł naprzeciwko niej.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Trochę lepiej. W każdym razie nie burczy mi już w żołądku.

- To dobrze. Potrzebujesz spokoju, a gwarantuję, że tego jest tu pod dostatkiem.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem i wstała z krzesła.

- Pokażę ci twój pokój. - Uniósł się razem z nią.

- Musisz porządnie wypocząć, a zmartwienia zostaw mnie.

Spojrzała na drzwi wejściowe.

- Jesteśmy tu bezpieczni, prawda? - upewniła się. Wciąż się bała. Powinna się odprężyć, uspokoić myśli, ale nie wiedział, jak jej w tym pomóc. Popatrzył na nią. Zabójcza mieszanina kocicy i księżniczki. Czasem nie mógł ich odróżnić.

- Kobieto...

Obróciła się gwałtownie i spojrzała na niego zdumiona. Była zaskoczona niezwykle poważnym tonem jego głosu.

- Tak?

- Przysięgam ci na moje życie, że nie pozwolę cię skrzywdzić. - Patrzył jej prosto w oczy. Był uroczy, w przedziwny sposób łączył w sobie i świetlistość, i posepność. - Przysięgam też, że nie użyję cię, by dopaść twojego ojca.

Jej broda zadrżała niebezpiecznie, wzrok się zamglił. Tego nie oczekiwała. Jeśli nie będzie potrafiła dalej go nienawidzić, jakim sposobem uda jej się zachować chłód w ich relacjach? Tajona wrogość była jedynym sposobem, żeby trzymać się od niego na dystans. W każdym sensie.

Zobaczył, że oczy jej zaczynają błyszczeć, powiedział więc szybko:

- Nie płacz... Proszę, nawet nie wiesz, jak się czuję, kiedy płaczesz.

- Nie płaczę - wymruczała, ocierając łzy wierzchem dłoni. - To pewnie przez ten ser. Miał za dużo przypraw.

- Jasne. - Kpiąco zmrużył oczy i podał jej rolkę papierowego ręcznika. - Chodź ze mną.

125

Poprowadził ją korytarzem do przytulnie urządzonego pokoju.

- To twoja sypialnia, ma własną łazienkę. Mój pokój jest po drugiej stronie holu. Gdybyś mnie potrzebowała, nie wahaj się.

- Dobrze. Dziękuję - powiedziała, nie patrząc na niego, i weszła do środka.

Westchnął ciężko.

- Jesteś pewna, że czujesz się lepiej?

Powoli obróciła się ku niemu i długo patrzyła mu w oczy. Dostrzegła w nich siłę i łagodność. Potem przeniosła wzrok na piórko w jego uchu i wreszcie spojrzała na usta - pełne i zmysłowe. Zastanawiała się, jak smakują. Czy były miękkie i ciepłe, czy kusiłyby ją do tego, co gotowa już była mu dać? Przez chwilę zastanawiała się nad tym, choć wiedziała, że nigdy nie pozna odpowiedzi.

W końcu odwróciła wzrok i wzruszyła ramionami.

- John, już niczego nie jestem pewna.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

John bardzo lubił tę posiadłość. Odprężał się tutaj jak nigdzie indziej. Tu był bliżej niewidzialnego świata. W tym domu trzymał większość zabytków indiańskiej sztuki sakralnej, które zdołał zgromadzić przez lata.

Choć był zmęczony podróżą, przeszedł przez dom, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Zajrzał cicho do pokoju Alicii, ale usłyszał tylko jej powolny, równomierny oddech i ucieszył się, że wreszcie porządnie odpocznie.

Wreszcie dotarł do swojego pokoju, rozebrał się po ciemku i wsunął do łóżka. Nagi i wyczerpany, nakrył się kołdrą i szybko zasnął.

Pełne piersi Białej Sarenki wypełniały dłonie Nocnego Wędrowca, gdy leżał za nią, wtulony w jej ciało. Na zewnątrz padał ulewny deszcz. Krople wody głośno uderzały o dach wigwamu. Wciąż był rozespany, ale jego podświadomość doskonale rozpoznawała cudowne krzywizny kształtów Białej Sarenki. Czuł, że jego ciało znowu napelnia się tęsknotą i pragnieniem.

Biała Sarenka obudziła się i uśmiechnęła do siebie, gdy poczuła jego rosnące pożądanie. Ułożyła się tak, by łatwiej jej było odpowiadać na jego pragnienia.

Nocny Wędrowiec przebudził się na dobre i stwierdził, że to nie sen. Naprawdę był wewnątrz swojej kobiety i szybko zatracił się w jej ciasnym, mokrym cieple. Jego pożądanie było coraz silniejsze.

Zaspokajał je rytmicznie, pchnięcie za pchnięciem, aż do potężnego wybuchu.

John przebudził się nagle i usiadł na łóżku. Jego ciało było tutaj, ale serce zostało z Białą Sarenką. Czuł napięcie we wszystkich mięśniach.

Zerknął za okno. Słońce było już wysoko, wstał więc z łóżka i ruszył do łazienki.

Chciał trochę pobiegać, to powinno rozluźnić mięśnie- Zanim wyszedł z domu, postanowił zajrzeć jeszcze do Alicii i zobaczyć, jak się miewa.

Klamka ustąpiła bezgłośnie i zerknął przez szparę w drzwiach. Ledwie to zrobił, wiedział, że popełnił błąd. Alicia leżała rozciągnięta na łóżku, z jednym ramieniem uniesionym nad głowę, a drugim wzdłuż ciała. Zsunięta kołdra skrawkiem materiału okrywała tylko jedno biodro. Poza tym była całkiem naga.

Długo wpatrywał się w ten cudowny obrazek, ale w końcu zamknął drzwi. Przez chwilę stał na korytarzu z opuszczoną głową i zaciśniętymi pięściami, z trudem próbując odzyskać kontrolę nad sobą.

Teraz będzie musiał żyć ze świadomością, jak cudownie długie są jej nogi, jak kuszące krzywizny bioder i pełne piersi podkreślające płaski brzuch i szczupłą talię.

Dość tego, powiedział sobie. Rozprostował zaciśnięte

palce, potarł je o uda i przeszedł do kuchni. Nastawił ekspres do kawy, zostawił Alicji wiadomość, gdzie jest, i wyłączył system alarmowy, by mogła swobodnie poruszać się po domu.

Ciekaw był, czy uda mu się wyrzucić z siebie zarówno podniecenie, z którym się obudził, jak i nagłe pożądanie do kobiety śpiącej w sąsiednim pokoju.

Wyszedł na zewnątrz i czujnie rozejrzał się wokół. W zasięgu jego wzroku nic się nie działo, jedynie myszołów kołował na bezchmurnym niebie. Wrócił do domu, wyjął pilota z szuflady, wyszedł na taras i nacisnął guzik. W jednej chwili wokół lądowiska uniosła się lekka konstrukcja i ukryła śmigłowiec za piaskową tkaniną. Ktoś lecący nad nimi nie dostrzegłby nic podejrzanego, wokół domu rozciągał się tylko piasek.

Czuł na twarzy promienie słońca, a krew pulsowała mu rytmicznie w całym ciele. To prawda, bieganie rozgrzeje go jeszcze bardziej, ale miał nadzieję, że pomoże jakoś uspokoić rozdygotane nerwy.

Szybko złapał właściwy rytm. Stopy miarowo dotykały ziemi i płoszyły małe jaszczurki pośpiesznie kryjące się w norach. Ciało ociekało potem, ale za to umysł stał się jasny. John nie uciekał już od pożądanego, biegł teraz dla przyjemności. Po kilku minutach dotarł do dwóch samotnych skał i zatrzymał się, by odpocząć.

Choć był oddalony od domu o jakieś trzy kilometry, ukształtowanie terenu sprawiało, że nadal widział zarys budynku. Tam była niewinna kobieta, którą miał się opiekować. Powinien zrobić wszystko, aby nie zawieść jej zaufania.

Był jakieś pół kilometra od domu, gdy zobaczył

czerwony błysk na tarasie. Przypominał sobie, że widział taką koszulkę w pokoju Alicii. Czyli już wstała.

Wiedział, że nie powinien przywiązywać się do jej obecności. Los niespodziewanie splótł ich ścieżki i pewnie równie niespodziewanie je rozplącze. Dawno jednak nie miał nikogo, dla kogo chciałby wracać do domu. Instynktownie wydłużył krok.

Alicia zasnęła, ledwie przyłożyła głowę do poduszki. Nie potrafiłaby nawet powiedzieć, jak znalazła się w łóżku.

Miała dziwny sen.

Uciekała szaleńczo przed siebie, wykrzykując imię Johna. Do nosa i oczu wdzierał się gryzący dym. Wiedziała, że jej dom płonie, a wszędzie wokół są obcy ludzie. Słyszała głuchy odgłos ich kroków i urywane oddechy. Skóra na twarzy ją piekła, jakby była zbyt blisko ognia, a ubranie miała wilgotne od krwi.

Nagle ktoś chwycił ją za włosy i szarpnął do tyłu. Wyrzuciła ramiona w górę i krzyknęła rozpaczliwie, gdy napastnik rzucił ją na ziemię. Jednym ruchem przewrócił ją na plecy i usiadł na niej, silnym uściskiem unieruchamiając ramiona. Błagała o życie.

Gwałtowny podmuch wiatru rozwiął dym i zobaczyła jego twarz. Rysy nie były ważne, jej przerażone spojrzenie skupiło się na jego oczach - zielonych, lekko wypukłych, z krótkimi, grubymi rzęsami.

Nic nie mogło jej uchronić przed rozpoznaniem napastnika, który właśnie zaciskał ręce na jej szyi.

To był ojciec.

Człowiek, który dał jej życie, teraz zamierzał je

odebrać. Richard Ponte zachowywał się jak szaleniec. Dusił ją, okładał pięściami, a w końcu chwycił nóż. Ostatni raz zawołała Johna.

Potem wszystko działo się w dziwnie zwolnionym tempie. Nie słyszała już nic poza biciem własnego serca i pulsowaniem krwi. Ostrze dotknęło jej krtani i przecięło ją jednym ruchem. Ciało wygięło się, jakby przeszła je błyskawica. To był ostatni zryw jej sił. Nie chciała umierać.

Nagle duży mężczyzna z długimi czarnymi włosami ściągnął z niej napastnika i cisnął nim jak wiązką chrustu.

Znała go. To był Nightwalker. Człowiek, który obiecał ją chronić.

Padł na kolana, głaskał jej włosy i patrzył oczyma przepęnlionymi cierpieniem. Błagał, by nie umierała. Słyszała, jak ją przeproszał, mówił, że mu przykro. Jego czuły głos brzmiał jej w uszach, a potem wszystko się zatrzymało.

W następnej sekundzie oglądała już tę scenę z pewnej odległości. John Nightwalker tulił jej bezładne ciało, wykrzykiwał coś z rozpaczą. Zrozumiała, że umarła.

Obudziła się gwałtownie z sercem wypełnionym strachem. Całe ciało miała zlane potem, dotknęła gardła, by upewnić się, że jest całe. Ten sen był tak realny... Niemal czuła zapach krwi i ból, kiedy ostrze noża przejechało po jej krtani.

- Boże... - wyszeptała rozdygotana.

Odgarnęła włosy z twarzy i rozejrzała się po pokoju, z trudem przypominając sobie, gdzie jest i jak się tu znalazła.

Sedona.

Przylecieli tu z Johnem w nocy.

Nie miała pojęcia, jak długo spała i która jest godzina. Słońce przebijało się przez szczeliny żaluzji, podeszła więc do okna i pociągnęła za sznurek, wpuszczając do środka łagodne światło.

Ucisk w żołądku przypomniawszy jej, że od wczoraj prawie nic nie jadła, jednak myśl o tym, że w kuchni może spotkać się z Johnem, wywołała w niej dziwne napięcie. Najpierw poszła więc pod prysznic, a dopiero kiedy poczuła się odświeżona, mogła się zastanowić, co robić dalej.

Włożyła czerwoną koszulkę i jasne szorty, wilgotne włosy swobodnie rozsypywały się na plecach. Boso przeszła do kuchni, gdzie znalazła kartkę od Johna i świeżo zaparzoną kawę. Kofeina ukoiliła nieco jej stargane nerwy. Kiedy wypila pół kubka, poczuła się lepiej.

Przeszukała lodówkę i z pojemnikiem jogurtu wyszła na taras. Dopiero teraz mogła zobaczyć dom z zewnątrz. Rozległa hacjenda o doskonałych proporcjach została zbudowana na przestrzeni równej co najmniej czterem miejskim posesjom. Ściany były z suszonej cegły, dach pokrywały hiszpańskie dachówki koloru ochry. Od zgaszonej czerwieni ścian odbijały się brązowe, otwarte teraz okiennice. Usiadła na rozłożystym fotelu, kubek z kawą postawiła na stoliku. Nogi ułożyła wygodnie na sąsiednim krześle i zabrała się do jogurtu. Właśnie kończyła, gdy dostrzegła jakiś ruch w oddali. To musiał być John.

Podeszła do barierki i patrzyła, jak się zbliża, zachwycona długim, równym krokiem. Pomyślała, że jego ciało, mimo licznych blizn, było cudowne, emanowało z niego wielka siła.

Kiedy był już niedaleko, uniósł rękę i pomachał do niej na powitanie. Odmachała, oparła dłonie na biodrach i czekała, aż dobiegnie. Nie zwolnił aż do tarasu, a i wtedy się nie zatrzymał. Przeszedł do truchtu w miejscu, a potem pochodził wokół krokiem spacerowym, żeby łagodnie odprężyć napięte mięśnie.

- Lubisz się męczyć, prawda? - stwierdziła z szerokim uśmiechem.

- Dobrze się potem czuję. Nie lubisz czuć się dobrze? Mrugnęła, niepewny uśmiech zastygł na jej wargach.

Nie miała pojęcia, jak rozumieć to pytanie.

- Lubie - odparła po chwili. - O ile leżę przy tym na plecach i nie męczę się.

- Celna uwaga - skomentował ze śmiechem, wszedł na taras i opadł na fotel. - Jadłaś już?

Wskazała pusty pojemnik po jogurcie.

- Dzięki za kawę. Nie umiem bez niej zacząć dnia.

- Cieszę się, że już wstałaś. Wezmę prysznic, a kiedy wrócę, szykuj się na śniadanie.

- Jadłam już. Skrzywił się lekko.

- To nie było prawdziwe śniadanie. Musisz się porządnie odżywiać.

- A może już nie jestem głodna? - rzuciła prowokująco.

Spojrzał na bezkresną pustynię.

- Przebiegnij się trochę. To wzmaga apetyt.

- Nie chcę biegać, ale zawrzyjmy układ.

- Jaki?

Popatrzyła na jego blizny.

- Powiesz mi, jakim cudem nadal żyjesz, a ja będę jadła.

133

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, zastanawiając się, jaka byłaby jej reakcja, gdyby powiedział prawdę. W końcu jednak pokręcił głową.

- Nie uwierzyłybyś. Idę wziąć prysznic. A gdybyś usłyszała nadlatujący samolot, schowaj się w domu.

Uniosła się z krzesła i weszła za Johnem do środka.

- Po tej uwadze i po moim dzisiejszym śnie nie mam ochoty zostawać sama.

- Miałaś zły sen?

- Okropny, choć biorąc pod uwagę wszystko, co się wydarzyło, nie powinnam się dziwić.

- Opowiedz mi.

- Sen jak sen. - Wzruszyła ramionami. - Chwilami sensowny, a chwilami jak film sprzed wieków.

Uciekałam przez dym i krwawiłam. Gonili mnie jacyś ludzie, szukałam cię, ale nie znalazłam. Nagle ktoś chwycił mnie za włosy i przewrócił. Leżałam na plecach, a on siedział na mnie i nie pozwalał uciec. Początkowo nie widziałam jego twarzy, ale potem uświadomiłam sobie, że to mój ojciec chce mnie udusić gołymi rękoma.

Obserwował ją uważnie. Starła się mówić spokojnie, nawet obojętnie, ale drżenie głosu i napięcie ciała zdradzały, że wciąż to przeżywa. Wiedział, jak to jest, gdy człowieka gnębią złe sny. Wiedział też, że im bardziej Alicia będzie dławić to w sobie, tym gorzej.

- Wtedy się przebudziłaś?

- Nie... Potem było tylko gorzej. Uderzył mnie, a kiedy się ocknęłam, zobaczyłam, że wyciąga nóż...

Podciął mi gardło... Krzyczałam twoje imię, ale wiedziałam już, że umieram... - Dotknęła krtani drżącymi palcami. - W każdym razie we śnie umarłam. Stałam potem jakby

z boku, patrząc na wszystko z dystansu, a wtedy nadbiegłeś. Zrzuciłeś ze mnie ojca i uklęknąłeś przy mnie, ale było już za późno... Potem tuliłeś mnie długo i przepraszałeś. - Uśmiechnęła się z trudem. - Tyle na temat snu. Mroczny i wstrząsający.

Przez chwilę nie mógł wydobyć głosu. Nie wiedział wprawdzie, co oznacza ten sen, ale wierzył, że ma swoje znaczenie. Zbyt jednak był roztrzęsiony, by się nad tym zastanawiać.

Wykonał jakiś nieokreślony gest dłonią i poszedł do łazienki.

Chłodna woda spływała po jego ciele, studziła rozgrzaną skórę. Nogi mu drżały, ale wiedział, że to nie przez bieg. To prawda, opowieść Alicii różniła się w szczegółach, ale rozpoznał w niej opis śmierci Białej Sarenki.

Stał pod strumieniem wody tak długo, aż minęły najgorsze wspomnienia. Dopiero potem sięgnął po mydło i umył się.

Po kilku minutach przeszedł do kuchni i zaczął przygotowywać śniadanie. Słyszał kroki Alicii rozlegające się w różnych częściach domu. Pewnie rozglądała się po otoczeniu.

Nie miało to znaczenia, nie mogła zobaczyć nic szczególnego. Było tu równie niewiele tropów, co w jego domu w Georgii. Nadal jednak czuł się dziwnie ze świadomością, że mieszka pod jednym dachem z kobietą, nawet jeśli jedyne, co ich łączyło, to wspólne posiłki.

Corbin Woodliff był w swoim żywiole. Od razu po spotkaniu z Johnem i Alicią uruchomił misterną sieć kontaktów, zadzwonił w kilkanaście miejsc, a im bar-

dziej zapełniała się teczka z napisem „Richard Ponte”, tym bardziej był przekonany, że córka miliardera mówiła prawdę.

Ponte miał domy w kilkunastu krajach, kontakty w rządach na całym świecie, i choć trudno było ocenić jego majątek, musiał być niewyobrażalnie bogaty. Po co więc taki człowiek miałby ryzykować wszystko dla zdobycia kolejnych milionów? I tak miał ich więcej, niż potrzebował. Ale z takimi ludźmi jak Richard Ponte często tak się działo. Nie chodziło im o pieniądze, ale o władzę.

Po zdobyciu i uporządkowaniu wstępnych informacji Corbin wyruszył do Bostonu. Towarzyszyli mu dwaj agenci federalni.

Zerknął na nich w lusterku. Jeden z nich spał, drugi czytał coś z uwagą. Spojrzał na tytuł. Nic nie powiedział, choć zdziwił się, że tak rzeczowy człowiek jak Morris Joshua zgłębia tajniki ludzkiej psychiki.

Po kilku godzinach zatrzymali się przed bramą posiadłości Carruthersa. Corbin uchylił szybę i nacisnął guzik domofonu.

- Tak? - rozległ się bezbarwny głos.
- Corbin Woodliff do pana Carruthersa.
- Był pan umówiony?
- Nie, ale...
- Przykro mi, ale dziś pan Carruthers nie przyjmuje wizyt.

Corbin przewrócił oczami i jeszcze mocniej nacisnął przycisk.

- Federalne Biuro Śledcze życzy sobie, aby pan Carruthers poświęcił nam trochę czasu.

Nastąpiła długa cisza, a potem pytanie:

- FBI?

- Tak, FBI - potwierdził Corbin. Brama otworzyła się cicho.
- Wiedziałem, że po coś was zabieram na tę wycieczkę - mruknął do swoich pasażerów, wjeżdżając na teren rozległego parku.
- Mam tylko nadzieję, że nie jest to pogoń za cieniem - mruknął Joshua. - To był mój wolny dzień.
- Wiem, ale jeśli mam rację, zapewniam, że będziecie zadowoleni z wyprawy.

Wkrótce weszli do holu olśniewającej rezydencji Carruthersa. Gdy usłyszeli ciężkie kroki na schodach, wszyscy trzej obrócili się jak na komendę.

Jacob Carruthers schodził z taką miną, jakby właśnie szedł witać się ze śmiercią.

Gdy kamerdyner oznajmił mu, że przy bramie jest FBI, w pierwszym odruchu miał ochotę zwymiotować. Potem próbował skontaktować się z Richardem, ale ten miał wyłączoną komórkę. Nie wiedział, dlaczego tu przyjechali, ale nie mogło to być nic dobrego.

Zadzwoił jeszcze do biura, sekretarka Richarda powiedziała jednak, że szefa nie ma i nie wie, gdzie może być, ale spodziewa się go lada chwila. To było dziwne. Bardzo dziwne. Do tej pory sekretarka zawsze знаła miejsce pobytu prezesa.

Wtedy naprawdę spanikował. Pierwszą myślą, która pojawiła się w jego głowie, było, że Richard jednak nie zdołał uciszyć Alicii, więc uciekł, zostawiając go samego na polu walki. Nadal jednak wierzył, że nie zdołają mu niczego udowodnić. Musi tylko zachować spokój i wszystkiemu zaprzeczać.

Przybrał uprzejmy uśmiech i wyciągnął dłoń w geście powitania.

- Pan Corbin Woodliff, jak sądzę? A powiedziano mi, że to FBI, co za głupota! - Starał się, żeby jego głos wyrażał raczej rozbawienie niż ulgę przeplataną z paniką.

Corbin uśmiechnął się nieznacznie.

- Tak, panie Carruthers, to ja. - Odsunął się nieco, wskazał ręką swych towarzyszy i dokonał prezentacji:

- Agent specjalny Joshua, agent specjalny Morrow z FBI.

Jacob czuł, jak ściska mu się żołądek. Cholera. A więc jednak federalsi.

- Czym mogę panom służyć?

- Chcielibyśmy porozmawiać - odezwał się Corbin.

- Może zaproponuje pan jakieś zaciszne miejsce? Miał wrażenie, że zaraz zemdleje ze strachu.

- Może w bibliotece?

Gdy Corbin skinął głową, wszyscy trzej ruszyli za Carruthersem.

Przez całą drogę do biblioteki Jacob nie mógł pozbyć się myśli, że przebywa ją po raz ostatni. Serce biło mu mocno. Zaczął się nawet zastanawiać, czy zawał uchroniłby go od więzienia.

Ledwie weszli do biblioteki i usiedli w przepastnych, skórzanych fotelach, Jacob zapytał:

- Cóż... przepraszam, ale jestem trochę zaskoczony. To rozmowa czy przesłuchanie?

Joshua wyjął notes i sięgnął do kieszeni po długopis.

- To zależy od pańskich odpowiedzi na pytania pana Woodliffa.

- Nie bardzo rozumiem...

- Powodem, dla którego tu jestem - włączył się Corbin - a pan jest wciąż na wolności, jest fakt, że pewne informacje zostały przekazane najpierw mnie, a nie

władzom - zaczął niskim głosem, którego używał podczas wywiadów. - Z tego względu FBI pozwoliło mi na dalsze działania.

- Jakie informacje...? Od kogo? - spytał nerwowo Jacob.

- Takie mianowicie - dobitnie zaczął Corbin - że Alicia Ponte poinformowała nas o zdradzie, której dopuścił się Richard Ponte wraz z panem. Wiemy już, że sprzedajecie broń wrogom naszego kraju. Nasi informatorzy odkryli wasze powiązania z Osamą bin Lade-nem i Mohammedem Al-Kazirem wraz z datami dostaw. - Zamilkł, uważnie wpatrując się w Jacoba.

On zaś nie wiedział, że jego twarz przybrała odcień purpury, wiedział za to doskonale, że nie byłby w stanie ustać na własnych nogach. Przed oczami przeleciało mu całe życie, które właśnie dobiegało końca.

- Nie wiem, o czym mówicie! - zaatakował gwałtownie. - Opieracie swoje przypuszczenia na słowach chorej psychicznie kobiety. Nie wierzę w ani jedno wasze słowo. Wiem, że Alicia Ponte została porwana, jakim cudem więc mogliście z nią rozmawiać? - Dostrzegł światelko w tunelu, co dodało mu nowych sił. Zerwał się z fotela i wyciągnął kościsty palec w kierunku Corbina. - Chyba że to pan jest porywaczem! W takiej sytuacji wszystko by się zgadzało! Widzę, że wiele jest pan w stanie zrobić dla zdobycia sensacyjnego tematu. Panowie - zwrócił się gniewnie do agentów - proponuję, żebyście zajęli się raczej panem Woodliffem i wzięli pod lupę jego działania, a nie moje!

- Proszę siadać, panie Carruthers - odezwał się agent Joshua takim tonem, że Jacob posłusznie opadł na fotel.

Corbin przesunął się do krawędzi siedzenia i pochylił lekko do przodu.

- Zapewniam pana, że Alicia Ponte nie została porwana, a gdy z nią rozmawiałem, była w pełni władz umysłowych. Jedyne, co zakłócało jej spokój, to świadomość, że własny ojciec chce ją zabić. Zapewniam także, że jeśli dalej będzie pan kręcił i udawał niewinnego, a Alicii Ponte cokolwiek się stanie, to do zarzutu zdrady dojdzie jeszcze usiłowanie morderstwa.

- Nic nie wiem - powtórzył uparcie Jacob. - Widziałem tylko konferencję prasową Richarda, podczas której powiadomił opinię publiczną o porwaniu córki.

- Więc nie rozmawiał pan z nim od czasu konferencji? - spytał Corbin.

- Nie.

- A próbował pan?

Serce Jacoba podskoczyło. Wymruczał pod nosem ciężkie przekleństwo, wstał, nalał sobie drinka i wypił jednym haustem. Potem spojrzał na gości, nalał i szybko wypił drugi koniak.

- Dość tego - rzucił ostro agent Morrow. Corbin gestem wskazał opuszczony fotel.

- Proszę siadać. Chcemy z panem porozmawiać.

- O czym? - zapytał słabo.

- Co zrobić w tej parszywej sytuacji. Mam zapewnienie najwyższych władz, że jeśli będzie pan z nami współpracował i pomoże doprowadzić do tego, że Richard Ponte zostanie postawiony przed sądem, pański wyrok śmierci będzie zawieszony. Biorąc pod uwagę okoliczności, zapewniam, że to dobra oferta. W przeciwnym razie obaj zostaniecie straceni jako zdrajcy. Więc jak? Pomoże nam pan w unieszkodliwieniu zdrajcy i tym samym odzyska pan własną godność?

Chciał walczyć, protestować. Pomyślał, że jeśli

zignoruje ich pytania, to w końcu sobie pójdą. Długą chwilę patrzył tępo w podłogę. Rozważał ściągnięcie prawnika, ale co by to zmieniło? Już dostał jedyną ofertę, na jaką mógł liczyć. Nie wydostanie się z tego bagna, ale przynajmniej ocali życie. Jednak Richard Ponte nigdy nie został jeszcze zdradzony, nikt przy zdrowych zmysłach nie zdecydowałby się bowiem na taki krok.

Jacob poczuł, że wypity przed chwilą koniak podchodzi mu do gardła.

- Słabo mi - wychrypiał. - Muszę wyjść.

- Pójdę z panem. - Joshua podniósł się. Corbin spojrzął na drugiego agenta.

- Co myślisz?

- Jeśli zostały mu jeszcze jakieś wnętrzności, to zaraz je wyrzyga, a ty pewnie zdobędziesz kolejnego Puli-tzera.

- Może tak być, ale nie mogę przestać myśleć o tym, ilu naszych żołnierzy zginie dzisiaj przez chciwość tych dwóch sukinsynów.

Morrow już się nie uśmiechał.

- Nie chciałbym być w ich skórze, gdy wpadną w łapy współwięźniów. Nawet w więzieniu obowiązują pewne zasady. Będzie cudem, jeśli Ponte doczeka do procesu, a Carruthers do końca roku. Corbin pokiwał głową, wyjął dyktafon z kieszeni i położył na stoliku.

- Idą - powiedział, zerkając na korytarz. - A po minie Carruthersa sądzę, że za chwilę usłyszymy ciekawą historię.

Richard Ponte podniósł kilka pism, które sekretarka położyła na jego biurku, i zaczął je przeglądać. Chciał skończyć papierkową robotę, zanim wyjdzie na spot-

kanie. Chwilę wcześniej włączył telewizor, by obejrzeć notowania giełdowe. Nagle usłyszał sygnał wiadomości. Zobaczył na ekranie fronton znanego hotelu w Waszyngtonie i pogłośnił.

- W tym hotelu znaleziono właśnie zwłoki mężczyzny - donosił zaaferowanym głosem spiker. - Został zidentyfikowany jako Peter Wayne Joiner, znany również jako Rekin Joiner. Prawdopodobnie był płatnym zabójcą. Na razie władze nie wiedzą, co oznacza ta śmierć. Więcej danych w wieczornych wiadomościach, a teraz wracamy do studia.

Nie miał pojęcia, jak długo siedział wpatrzony w ekran. A więc jego kolejny plan zawiódł. Kim, do cholery, był facet towarzyszący Alicii?

Załatwił Dietera, a teraz skutecznie unieszkodliwił Rekina, dwóch najlepszych w branży. Jego prawnicy pracowali nad uwolnieniem Dietera, ale po oskarżeniu o usiłowanie zabójstwa nie było to łatwe.

Gdy uniósł dłoń z pilotem, zauważył, że drży. To go rozzłościło. Nie lubił słabości. Cisnął pilotem o blat biurka i nakazał sobie spokój.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i weszła sekretarka.

- Chciałby pan dziś wysłać te listy? - Wskazała podpisane dokumenty.

- Taak... Prawie skończyłem. - Podpisał dwa ostatnie i podał jej. Dopiero wtedy na podłogę upadła żółta kartka, na której zapisywała mu wiadomości.

- Coś pan upuścił. - Schyliła się, by podnieść kartkę. - Wiadomość od pana Carruthersa.

Jego puls przyśpieszył.

- Jaka wiadomość? Nie miałem pojęcia, że dzwonił. Kiedy to było?

- Rano, zanim pan przyszedł - wyjaśniła. - Wiem, że szukał też pana na komórkę. Położyłam tę wiadomość na samym wierzchu.

Richard zaklął. Kiedy dotarł do biura, przerzucił leżący na biurku stos z dokumentami do podpisania i nie czytał wiadomości od sekretarki.

- Dziękuję, to wszystko - odprawił ją.

Sięgnął po komórkę, gdy uświadomił sobie, że nie wie, gdzie ona jest. Coraz bardziej zdenerwowany przeszukiwał kieszenie, ale przypomniał sobie, że w domu odłączył telefon od ładowarki, gdy służąca zameldowała o jakimś problemie z elektroniką. Zanim rozwiązał sprawę, zrobiło się późno, więc wyjechał do biura, zapominając o telefonie.

- Wyrwę mu serce i wbiję na pal, jeśli coś spieprzył - mruczał do siebie, sięgając po słuchawkę. Służąca odebrała już po dwóch sygnałach.

- Tu Richard. Proszę natychmiast z Jacobem.

- Przykro mi, panie Ponte, ale pana Carruthersa nie ma w domu.

- A gdzie jest?

- Nie wiem. Wyjechał mniej więcej godzinę temu z jakimś dziennikarzem i dwoma agentami federalnymi. Nie powiedział, kiedy wróci. Czy chce pan...

Richard bez słowa odłożył słuchawkę. Co się, do cholery, dzieje?

Najwyraźniej Alicia rozmawiała z kimś. Ale dlaczego zaczęli od oskarżenia Jacoba, a nie jego? Nagle uderzyła go pewna myśl. Nie mieli żadnych dowodów poza słowami Alicii. Przeklął pod nosem. Nie docenił własnej córki. Uderzyła w najsłabszy punkt jego imperium, czyli w Jacoba, którego tyle razy, również przy niej, nazywał słabeuszem, marudą i mięczakiem.

Zerknął na fotografię stojącą na biurku. - Pierwsza runda twoja, kochana córeczko... - mruknął ponuro.

Spojrzał po raz ostatni na luksusowo wyposażone biuro. Wiedział, że ma niewielkie szanse na wydostanie się ze Stanów. Mogło już być za późno. Gdzieś w tyle głowy zawsze się bał, że to się może kiedyś stać, ale nawet w najczarniejszych snach nie przypuszczał, że za głównego przeciwnika będzie miał własną córkę. Przysiągł sobie, że kiedyś odpłaci za to Alicii, nawet gdyby to była ostatnia rzecz, którą zrobi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Richard opróżnił z pieniędzy sejf, zabrał też paszport. Wrzucił jeszcze do torby telefon na kartę i wyszedł z biura. Serce dudniło mu w piersi, gdy windą towarową zjeżdżał na parter. Dopiero dwie przecznice dalej złapał taksówkę i kazał zawieźć się na przystań. Po drodze telefonicznie przelał pieniądze z dwóch kont do Genewy.

Jeśli Jacob był w areszcie, on będzie następny. Choć miał prywatny samolot, wiedział, że nie może z niego skorzystać, bo lotniska z całą pewnością bacznie monitorowano.

Wciąż był na wolności i tylko na tym starał się skupić.

Jadąc do przystani, zadzwonił w dziesiątki miejsc. Wydawał dyspozycje co do dalszych działań jego firm, dzwonił też do swojej rezydencji w Niemczech i polecił, żeby wszystko było gotowe na jego przybycie.

Zadbał o mnóstwo drobiazgów, byle tylko ucieczka odbyła się bez zbędnych niespodzianek. Pierwszy etap wiódł do Karoliny Południowej. Stary przyjaciel, znany aktor Paolo Gianni, miał tam swoją posiadłość i winien był mu pewną przysługę.

Wybrał jego numer i uśmiechnął się z zadowoleniem, słysząc znajomy głos.

- Paolo, tu Richard Ponte. Jak się masz?

- Richard, przyjacielu! Świetnie, jak zawsze. Cieszę się, że dzwonisz. Słyszałem o porwaniu Alicii. To straszne. Wiesz już coś? Jeśli mogę jakoś pomóc...

Richard uśmiechnął się lekko. Właśnie o taką pomoc mu chodziło. Paolo zrobi wszystko, by pomóc zrozpaczonemu ojcu w odzyskaniu dziecka...

- Nie mogę nic powiedzieć, by nie narażać jej życia, ale potrzebuję pomocy. Muszę dyskretnie dostać się do Włoch. W Karolinie wciąż stoi twój odrzutowiec?

- Wywieźli ją z kraju...? Oczywiście możesz skorzystać z samolotu. Zadzwoń do pilota, żeby cię zawiózł, gdziekolwiek zechcesz.

Richard westchnął z ulgą. Kolejny kawałek układanki znalazł się na swoim miejscu.

- Nie wiem, jak ci dziękować...

- Daj spokój, przecież chodzi o Alicję. Sercem jestem z tobą. Gdy zobaczysz swoją piękną córkę, pozdrów ją ode mnie.

- Na pewno to zrobię. Dzięki, przyjacielu.

Taksówka dotarła do nabrzeża z łodziami do wynajęcia. Richard rzucił garść banknotów na przednie siedzenie i wysiadł. Szybko znalazł łódź, której kapitan gotów był natychmiast wypłynąć, choć zażyczył sobie mocno wygórowanej ceny. Richard zapłacił bez targów i wszedł na pokład. Po chwili usłyszał kojący szum silników, jednak odprężył się dopiero wtedy, gdy wypłynęli na otwarte wody.

Raz jeszcze spróbował zadzwonić do Jacoba, tym razem na komórkę.

Jacob siedział na twardym krześle w pokoju przesłuchań i martwym wzrokiem patrzył przed siebie. Słuchał, jak jego prawnik i agenci uzgadniają warunki, na których zgodzi się zeznawać. Podał już nazwiska, daty i punkty przerzutu broni z ostatnich pięciu lat. Wiedział, w których bankach Richard trzymał pieniądze, choć nie znał numerów kont.

Wiedział, że jego życie właściwie się skończyło. Dzieci na szczęście były już dorosłe, choć cała ta historia niewątpliwie odbije się i na nich. Jedyne, co go pocieszało, to fakt, że Delia tego nie doczekała. Nie potrafiłby spojrzeć jej w oczy.

Patrzył przez okno na parę gołębi, gdy zadzwonił jego telefon. Wyjął go i zobaczył na wyświetlaczu nieznaną numer. Domyślił się, że to Richard.

- To chyba do was - mruknął zgaszonym tonem. Corbin Woodliff z zaskoczeniem spojrzął na agentów.

- To on nie jest w areszcie?

Agent Joshua nie odpowiedział. Dał znak drugiemu agentowi, który szybko wyszedł i skupił swoją uwagę na Jacobie.

- Odbierz, ale nie mów, gdzie jesteś - polecił.

- Nigdy go nie oszukiwałem. Natychmiast rozpozna kłamstwo.

- Nasi ludzie już powinni go aresztować. Coś poszło nie tak. Zapytaj, gdzie jest.

Jacob odkaszlnął, a potem odebrał.

- Richard... A gdzie ty się podziewasz? Całe rano do ciebie dzwoniłem!

- Odpowiadaj tylko na pytania - usłyszał ostry głos. - Jesteś sam?

- Oczywiście, że nie.

- Jesteś z agentami federalnymi?

- Tak, przez cały ranek. Zostawiłem ci kilka wiadomości na komórce. Dlaczego nie odbierałeś? Richard westchnął ciężko. Raz jeden zapomniał telefonu i oto skutki.

- Wydałeś mnie? Tylko nie kłam, wiesz, że nie dam się nabrać!

- Ja... cóż... no, tak... - przyznał w końcu.

- Zrobiłeś to?! - syknął Richard. - Niech cię szlag... Agent Joshua nerwowo gestykulował, żeby zapytał

jeszcze o coś, ale Jacob nie miał już siły na dalszą rozmowę.

- Sami go zapytajcie - powiedział ze znużeniem, podając im telefon.

Zanim Joshua uniósł słuchawkę do ucha, połączenie było już zerwane. Otworzył szeroko drzwi i krzyknął do kolegów:

- Macie go?

- Nie, za szybko się rozłączył.

- Cholera!

- Co mówił? - spytał Corbin Jacoba.

- Wie, że jestem w areszcie. Nie powiedział mi nic poza tym, co i tak sam wiedziałem.

- Czyli?

- Żebym poszedł do diabła.

- Starczy już - przerwał prawnik Jacoba. - Więcej nic nie usłyszycie, dopóki prokurator nie podpisze gwarancji. - Wskazał palcem Corbina i dodał: - A pan nie może wydrukować ani słowa.

- Przykro mi - mruknął Corbin. - Może pan zawierać ugody z rządem, ale nie z prasą. Mam swoją historię i zamierzam ją opowiedzieć. Im szybciej społeczeństwo Ameryki dowie się, że ich synowie i córki są zabijani z amerykańskiej broni, tym lepiej.

Jacob położył głowę na blacie stołu i zaszlochał. Prawnik spojrzał na niego, a potem na Corbina.

- Proszę pomyśleć o jego rodzinie, dzieciach, wnukach...

- Tak? - przerwał mu Corbin. - A on myślał o rodzicach odprowadzających na cmentarz swoje dzieci, o sierotach, które nigdy nie zobaczą swoich ojców, bo pewni amerykańscy biznesmeni uzbroili po zęby Al-Kaidę?

Jacob uniósł głowę. W oczach wciąż miał łzy. Przez te dwie godziny przybyło mu z dziesięć lat.

- Niech tak będzie - powiedział do prawnika. - Niech tylko podpiszą papiery. Chcę to mieć już za sobą. Ledwie skończył mówić, do pokoju wszedł agent Morrow i kilka innych osób, wśród których Corbin rozpoznał prokuratora generalnego.

Corbina wyproszono z pokoju, ale to już nie miało znaczenia. Zrobił swoją część, a dalsze szczegóły na pewno do niego dotrą. Na razie wiedział, że Jacob Carruthers i Richard Ponte uznani zostali za zdrajców ojczyzny i wydano na nich nakazy aresztowania. To mu wystarczało.

Wyciągnął telefon i zadzwonił do swojego wydawcy. Mogą posłać publikację do druku. Napisał artykuł już wcześniej, w redakcji czekali tylko na jego sygnał.

Zadumana Alicia snuła się po kuchni, gdy usłyszała okrzyk Johna:

- Chodź tu szybko!

Wbiegła do salonu, gdy John podkręcił fonie.

- Musisz to zobaczyć! - zawołał podekscytowany. W napięciu patrzyła na Jacoba Carruthersa zakutego

w kajdanki. Podniesiony głos spikera podawał najnowsze informacje. Potem na ekranie pojawiła się fotografia jej ojca i wiadomość o tym, że jest zdrajcą kraju.

Choć wiedziała, że takie będą konsekwencje jej działań, i tak serce w niej zamarło.

- Tato... - wyszeptała. - Co ja zrobiłam?

John widział jej ból, ale nie starał się go ukoić. Alicia musiała sama przez to przejść. Wiele mógłby jej opowiedzieć o duszy tego człowieka. Na przykład to, że zawsze, w każdym wcieleniu wybiera zło.

Przypuszczał, że jego obecny upadek niewiele ma wspólnego z działaniami Alicii, a znacznie więcej z czynami sprzed setek lat.

Wiedział jednak, że przynajmniej na razie nie była w stanie przyjąć tych rewelacji.

- To on popełnił zbrodnię, nie ty - przypomniał jej. - Chciał cię zamordować, żebyś go tylko nie zdemaskowała. Jaki ojciec tak robi?

Obróciła się gwałtownie i stanęła z nim niemal oko w oko.

- Mój. - W jej oczach widać było cierpienie. - Ale chodzi też o to, że... Jeśli on jest potworem, to kim ja jestem?

- Ofiarą - stwierdził stanowczo. - Nikim innym, tylko ofiarą.

- Łatwo ci mówić! - krzyknęła rozgoryczona, ale wyraz jego twarzy sprawił, że zapragnęła cofnąć te słowa. Wspomniała tragedię jego rodziny... - Przepraszam, John. To była głupia, bezmyślna uwaga.

Nie pomyślałam o tym, czego doświadczyłeś. Wybacz...

- Daj spokój. To nie ty powinnaś przeproszać. Nie ty ich zabiłaś, tylko on - zakończył z gniewem.

- Jak to się stało? Byli w strefie działań wojennych? Wybuchła bomba? Pomóż mi to zrozumieć...

Umknął wzrokiem, długo milczał.

- Zginęli przez jego chciwość - powiedział w końcu. Zanim zdążyła zadać następne pytanie, usłyszeli słowa spikera:

- Jacob Carruthers znalazł się już w areszcie, jednak Richard Ponte nadal jest poszukiwany. Choć wszystkie lotniska są pod obserwacją, policja obawia się, że przy swoich międzynarodowych kontaktach mógł już uciec z kraju.

- A więc uciekł... - szepnęła Alicia drżącym głosem. - Czyli to jeszcze nie koniec...

Johnowi pociemniało w oczach. Vargas jeszcze raz zdołał się wyślizgnąć.

- Dokąd mógł pojechać?

Alicia bała się, że upadnie, usiadła więc i ukryła twarz w dłoniach.

- Wszędzie... Dokądkolwiek chciał...

- Ale miał może jakieś ulubione...

Zerwała się z kanapy i stanęła przed nim poruszona. Cała aż kipiała od paniki i frustracji.

- Ulubione!? Nic nie rozumiesz! On uciekł, a wiadomo, że ma dość pieniędzy, by ukryć się w każdej dziurze na tym pieprzonym świecie! Jeśli uciekł im ze Stanów, na pewno nigdy go nie złapią, a ja już nigdy nie będę bezpieczna! - Wybiegła z pokoju, z trudem powstrzymując łzy.

John zaklął pod nosem. Nie tak to się miało potoczyć. Bezradnie potrząsnął głową. Nie chciał się z nią kłócić. Był wściekły na siebie, że pozwolił, aby Vargas znowu mu się wymknął.

Alicia wybiegła na taras i starała się uspokoić. Zało-

wała, że tak naskoczyła na Johna, nie był przecież niczemu winien. Przez kilka minut stała w ciszy, uspokajała rozdygotane nerwy i zbierała się do przeprosin.

John przeszedł do pokoju, w którym zgromadził większość dzieł sztuki indiańskiej. Było tam niemal wszystko, co pozostało po jego szczepie. Kilka ocalałych amuletów, groty strzał, fragmenty odzieży... Niewiele tego, ale zwykle kontakt z tymi przedmiotami pomagał mu się uspokoić. Czuł tu obecność duchów swych najbliższych.

Powoli obrócił się w kierunku obrazu wiszącego samotnie na wschodniej ścianie. Zamówił go ponad sto lat temu. Siedział obok malarza przez wiele godzin i korygował wszystkie szczegóły portretu. Ciemny brąz skóry, delikatna linia nosa, doskonale brwi, oczy tak brązowe, że mogły niemal uchodzić za czarne, pełne, uśmiechnięte usta i czarne, proste włosy z niebieskim piórkiem wetkniętym z tyłu głowy.

Biała Sarenka.

Wyciągnął dłoń w jej kierunku, po czym opuścił ją bezradnie.

- Nadal tu jestem... - szepnął z bólem. - Bez ciebie.

Alicia stała w progu i patrzyła na tę scenę, nie słyszała jednak, co John mówił. Gdy tylko zobaczyła portret, nie potrafiła oderwać spojrzenia od tych oczu. Było w nich tyle życia... Nie zdziwiłaby się, gdyby nagle te piękne usta się rozchyliły i przemówiły.

Choć John stał tyłem do niej, niemal odczuwała jego rozpacz i samotność. Wycofała się cicho, nie chciała być intruzem w tak intymnej chwili.

Przeszła do kuchni i próbowała opanować wrywający się z jej piersi szloch. Słyszała już o jego tragedii i potrafiła sobie wyobrazić, jak to jest stracić kogoś

ukochanego. Jednak widok tej kobiety na portrecie i świadomość, że zginęła przez jej ojca, były nie do zniesienia. To niewiarygodne, że John w ogóle chciał ją znać po tym, co ojciec zrobił jego rodzinie. A fakt, że jej pomagał, zakrawał niemal na cud. Czuła wstyd i bezmiar winy, choć wiedziała, że to nie ona skrzywdziła tych ludzi.

Płakała tak długo, że ledwie widziała przez zapuchnięte powieki. Podeszła do zlewu i obmyła twarz zimną wodą. Wtedy usłyszała kroki Johna. Nie chciała, aby oglądał ją w takim stanie, więc szybko wymknęła się na taras.

Bała się, że ją znajdzie, dlatego poszła na tył domu. Potrzebowała trochę czasu, żeby uspokoić rozedrgane emocje.

Gorący piasek parzył bosc stopy, ale nie zwracała na to uwagi. Nagle usłyszała:

- Alicia, zaczekaj!

Niedobrze, John szedł w jej kierunku.

- Wszystko w porządku - zapewniła pośpiesznie. - Chciałam tylko przez chwilę pobyć sama.

- Ale nie boso, do licha! - irytował się. - Płakałaś... Znow zaczęła szlochać.

- No i co z tego? To nie jest karalne! A tak w ogóle to daj mi spokój! Będę płakać, kiedy będę miała ochotę! I lepiej nie przychodź do mnie z tą swoją zatroskaną miną i złotą radą, że nie powinnam płakać! - Rozkleiła się na dobre.

Westchnął ciężko.

- Nie mówiłem, że nie możesz płakać. Po prostu zauważyłem, że beczysz - tłumaczył łagodnie.

Zduśiła w sobie szloch, otarła łzy.

- Doprowadzasz mnie do szału! - Ze złości z całej

siły kopnęła w ziemię, palce zanurzyły się w piasek... i poczuła ostry ból. - Au! - Chwyła się za stopę.

Zeskoczył z tarasu, złapał ją, zanim upadła, i serce w nim zamarło. Rozdeptał czarnego skorpiona i pognął do domu z Alicią w ramionach.

- Piecze... - wyszeptała i oblizwała wyschnięte nagle usta.

- Jesteś na coś uczulona? - dopytywał nerwowo.

- Tak... - powiedziała tylko, ale nie zdążyła dokończyć myśli.

Wbiegł do domu, wpadł do sypialni. Każdy oddech Alicii brzmiał jak świst, co znaczyło, że mięśnie gardła powoli się zaciskają. Do tego błyskawicznie traciła przytomność.

- Nie! - krzyknął zrozpaczony. - Nie rób mi tego! Nie waż się umierać! - Nerwowo przetrząsał apteczkę. Nie wiedział, co może jej podać, żeby nie pogorszyć i tak złej sytuacji. - Boże, pomóż! - błagał rozpaczliwie.

Gdy już myślał, że wszystko stracone, nagle usłyszał dzwonek do drzwi. Zamarł zaskoczony. Przez wszystkie lata, kiedy tu mieszkał, nigdy nie miał gościa, a teraz dzwonek brzmiał tak natarczywie, jakby ktoś położył na nim palec i nie zdejmował.

Wiedział, że każda sekunda jest na wagę złota. Alicia oddychała coraz słabiej, nie było szans, by zdążył do Sedony, nawet helikopterem.

Nie wiedział, co robić, ale gość na zewnątrz nie dawał za wygraną.

Pobiegł do drzwi, otworzył je i ujrzał starego Indianina z małą czarną torbą w jednej ręce i kapeluszem w drugiej. Miał na sobie szorty i koszulkę, a w długie siwe włosy wplótł małe koraliki.

- Gdzie ona jest? - spytał tajemniczy gość bez zbędnych wstępów.
John zerknął na podjazd. Był pusty. Żadnego samochodu, konia czy motocykla.
- Kim jesteś? Jak tu przybyłeś?
- Ja zapytałem pierwszy. - Starzec ruszył w stronę sypialni Alicii, jakby często tu bywał.
Zanim John zdążył zatrzasnąć drzwi i pobiec za nim, tajemniczy przybysz już dawał jej zastrzyk.
- Epinefryna - wyjaśnił, odkładając strzykawkę. - Lekarstwo białego człowieka. - Następnie wyjął z torby suszoną szalwię i podpalił ją. Po kilku sekundach zdmuchnął płomień, zostawiając tłące się iskierki. - A to lekarstwo Indian. - Machał ziołami nad bezwładnym ciałem. - Tak dla pewności. - Okadzał Alicię, śpiewając przy tym pieśń w języku jego ludu, którego John nie słyszał od wieków.
- Kim jesteś? - spytał cicho.
- Odpowiedzią na twoje modły. - Starzec wskazał mu krzesło. - Siadaj, zakłócasz moją energię.
Cofnął się i usiadł posłusznie, nie odrywając wzroku od tego, co robił jego gość. Pamiętał takie rytuały z czasów, kiedy jego świat jeszcze istniał.
Wreszcie starzec przerwał swoje śpiewy i skinął na Johna.
Oddech Alicii był stabilny, ale nie odzyskała przytomności.
- Wy dobrzeje? - spytał z napięciem.
- Dostała wszystkie niezbędne leki.
- Czemu więc nie wstaje?
- Jeszcze nie zdecydowała, czy chce żyć.
John poczuł się, jakby ktoś wbił mu nóż w brzuch.
- Co to znaczy?

- Ja wyleczyłem chorobę ciała - tłumaczył starzec. - Leczyć jej ktoś złamał serce, a na to nic nie mogę poradzić. Sama musi zdecydować, czy warto żyć. - Spakował torbę, ruszył do wyjścia.

John zerknął na Alicię. Nie chciał zostawiać jej samej, ale musiał usłyszeć odpowiedzi na swoje pytania. Pobiegnął za starcem.

- Dokąd idziesz?

- Tam, skąd przyszedłem. Wiem, kim jesteś i wiem, dlaczego tu jesteś. Nie potrzebujesz mnie, ale potrzebujesz jej. Ona jest częścią twojej drogi. Zrobiłem to, co konieczne, reszta należy do niej.

- Ale...

- Nie ma żadnych ale. Skończyłem swoją robotę. Odchodzę.

Gdy tylko John usłyszał jego śpiew, wiedział, że jest jednym ze Starszych. Nie rozumiał, dlaczego Starsi postanowili zaingerować w jego sprawy. Przez te wszystkie wieki było wiele sytuacji, w których mogliby mu pomóc, lecz nie zrobili tego. Potem przypomniał sobie jego słowa. Alicja była częścią jego drogi, a to znaczyło tyle, że odgrywała ważną rolę w wypełnieniu przeznaczenia.

Starzec wyszedł za drzwi, a gdy stanął na piasku, zniknął.

John przez chwilę patrzył zdumiony na pustkę w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą widział tajemniczego gościa, a potem wrócił do pokoju Alicii.

Nadal się nie poruszyła. Tyle dobrego, że oddychała spokojnie.

Stał nad nią przez chwilę, a potem poszedł do łazienki i wrócił z mokrymi ręcznikami. Usiadł obok niej i ujął ją za bezwładną dłoń.

161

- Walcz, Alicio - błagał. - Musisz przeżyć! Nie mogę stracić kolejnej kobiety, na której mi zależy. Zanim zastanowił się nad tym, co robi, uniósł jej dłoń i pocałował. Jej skóra była miękka i ciepła, a pod ustami wyczuł puls. Delikatnie wytarł twarz Alicii, potem zdjął ubranie i zaczął ją myć. Była przeraźliwie blada, tylko pod oczami wciąż miała ciemne plamy, dowód na to, jak mocno zaatakowały toksyny skorpiona. Dotknął szyi i z ulgą poczuł mocne, spokojne uderzenia tętna. Ale wciąż się nie budziła. Świadomość tego, że może wybrać spokój po tamtej stronie, zamiast wracać do ziemskich problemów, była trudna do zniesienia. Siedział przy niej godzinami i opowiadał jej o tym, o czym nigdy nie mówił głośno. O Hiszpanach wpływających do zatoki i masakrze wioski, o tym, jak żyło mu się w Europie, o podróży pociągiem przez Indie, o bitwie pod Little Big Horn i o wojnie amerykańsko-hiszpańskiej w Meksyku. Przeżył wielkie pożary, epidemie, trzęsienia ziemi i powodzie, a wojen więcej, niż zdołałby zliczyć. Ta opowieść nad nieprzytomną Alicią była jak długo odkładane katharsis, uwalniające wyznanie prawdy, w którą nikt nie potrafiłby uwierzyć. Opowiadał o tym, jak bolesna była jego samotność, jak strasznie odczuwał fakt, że został jedynym ze swojego szczepu. W końcu, gdy całkiem zaschło mu w gardle od mówienia, zamilkł. Nagła cisza była niemal przerażająca. Wstał i miał odejść, ale jeszcze raz pochylił się nad Alicią. Chciał zyskać pewność, że oddycha. Tak, oddychała... i zanim zdołał pomyśleć, co robi, przechwycił wydychane przez nią powietrze. Wciągnął je do płuc, jakby chciał zatrzymać jakąś jej część na zawsze.

Rozchylił usta i lekko, łagodnie pocałował ją, błagając, by się obudziła. Potem przeszedł do kuchni, podgrzał trochę zupy, wlał ją do miski, wziął słomkę i wrócił do sypialni.

Usiadł przy łóżku.

- To ja, Alicio, John. Wiem, że tam jesteś, ale schroniłaś się w miejscu, gdzie nie mogę ci pomóc. Nie wiem, gdzie to jest, ja jestem tutaj. Będę czekał na ciebie, choćby to miało trwać wieczność. Kiedy wrócisz, wciąż tu będę... Jeszcze tego nie wiesz, ale jestem naprawdę dobry w czekaniu. Masz czas. Teraz, kiedy leczysz swoją duszę, ja nakarmię twoje ciało. Włożę ci słomkę do ust, a ty masz tylko lekko pociągnąć. - W napięciu czekał na jakiś sygnał od niej, że go słyszy, ale nic takiego nie nastąpiło.

Po namyśle wziął słomkę, pociągnął łyk, a potem szybko przytknął do jej ust i wypuścił. Zupa rozlała się po jej brodzie. Wytarł ją i spróbował jeszcze raz. Tym razem musi się udać.

- Alicio, łykaj zupę! - zawołał i powtórzył manewr ze słomką.

Zadziałało! Zobaczył lekki ruch krtani. Zrozumiał, że jakaś część świadomości Alicii słyszy go i jest posłuszna.

- O tym właśnie mówiłem. - Karmił ją tak długo, aż miska była prawie pusta.

Zadowolony z sukcesu okrył Alicię kocem, a potem zamknął starannie drzwi i wyszedł.

Musiał pogadać z Corbinem, dowiedzieć się, co poszło nie tak i jakie plany ma FBI.

Alicia Ponte zrezygnowała z życia. Ciągle jeszcze oddychała, ale był to raczej odruch niż wynik jej woli.

Zapadała się głęboko w podświadomość, poza miejsce, gdzie rodzą się sny, aż do tych tajnych zaułków, gdzie przechowywane są wspomnienia z setek wcieleń przeżytych w krainie zwanej Ziemią. I tam została, zawieszona między teraźniejszością a przeszłością.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Richard poleciał do Włoch, ale nie zamierzał zatrzymywać się tu dłużej. Najpierw udał się do Neapolu, a stamtąd wynajętym autem ruszył na południe, na Sycylię, skąd zamierzał dotrzeć do Niemiec.

Było oczywiście wiele prostszych dróg, ale Richard unikał tych najbardziej oczywistych. Zmieniał dokumenty i wygląd jak kameleon. Elegancki garnitur zastąpił strój zwykłego robotnika - wytarte spodnie i sprana niebieska koszula bez kołnierzyka. Na ogolonej głowie nosił wypłowiałą od słońca czapkę, a na brodzie wyhodował dwudniowy zarost. Nawet rodzona matka nie poznałaby go w tym przebraniu. Plan ucieczki miał opracowany od lat, choć nigdy nie przypuszczał, że będzie zmuszony z niego skorzystać.

Wciąż czuł paskudne zagrożenie, a nie przywykł do takiego dyskomfortu. Chciał jak najszybciej odzyskać kontrolę nad swoim życiem i swoimi pieniędzmi. Opracowywany przez lata plan był doskonały i jeśli doprowadzi go do końca, dla wszystkich będzie wyglądało to tak, jakby zniknął z powierzchni ziemi. A potem skupi się na zemście. Ale do tego potrzebował pomocnika

w Stanach, a jedyny, któremu ufał, nadal tkwił w małym więzieniu w Georgii.

Siedział na nabrzeżu i czekał, aż przyplynie wynajęta łódka rybacka. Dyskretnie rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy nie jest obserwowany. Kiedy upewnił się, że nikt go nie śledzi, wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer.

- Biuro prawnicze Borden i Wheaton - usłyszał uprzejmy głos recepcjonistki.

- Proszę mnie połączyć z Paulem Bordenem.

- Mogę zapytać, kto mówi? - spytała.

- Nie możesz. Po prostu połącz! Recepcjonistka słyszała ten głos zbyt wiele razy, by go nie rozpoznać, a ponieważ chodziło o bez wątpienia największego klienta firmy, postanowiła się do tego nie mieszać.

- Chwileczkę.

Gdy w słuchawce rozległa się muzyka poważna, Richard zaklął paskudnie. To była rozmowa międzykon-tyentalna, a oni trzymają go na linii i puszczają jakieś smętne kawałki.

Kiedy recepcjonistka weszła do gabinetu Paula Bordena i przerwała mu spotkanie z ważnym klientem, rzucił jej spojrzenie, po którym w innych okolicznościach od razu zaczęłaby sprzątać swoje biurko. Ale kiedy położyła przed nim kartkę z informacją, natychmiast zrozumiał.

- Przepraszam - rzucił do klienta. - Ważne sprawy rodzinne. Muszę odebrać telefon. - Wyszedł z pokoju, starannie zamykając drzwi, i wskazał akurat pusty gabinet swojego partnera. - Przełącz tam i nikomu ani słowa.

Recepcjonistka skinęła głową i wcisnęła przycisk na konsoli.

- Dziękuję za cierpliwość, łączę z panem Bordenem
 - odezwała się do Richarda i odłożyła słuchawkę.
 - Sukinsynu! - syknął adwokat zamiast powitania.
 - Chyba nie liczysz na to, że będziemy cię reprezentować! Skończyliśmy z tobą. Rozumiesz?!
- Oczywiście takiej reakcji Richard się spodziewał. Za to Paul Borden nie spodziewał się oferty, którą usłyszał.
- Rozumiem, że jest pewne konto na Kajmanach, na którym czeka milion dolarów. Konto jest bezimienne, trzeba znać kod. Dostaniesz go, jeśli wyciągniesz z więzienia Dietera Bahna.
- Borden aż drżał z gniewu.
- Podważyłeś wiarygodność naszej firmy. Nie wiem, czy kiedykolwiek odzyskamy dobre imię! FBI już tu było i zabrało wszystkie akta związane z tobą. Od rana straciłem trzech ważnych klientów, bo nie chcą być kojarzeni z kancelarią, która obsługiwała zdrajcę. A to pewnie jeszcze nie koniec.
 - W takim razie tym bardziej potrzebujesz tego miliona.
 - Dlaczego, Richard? Czemu to zrobiłeś? Miałeś przecież dość pieniędzy. To była jakaś gra? A może naprawdę nie masz honoru i sumienia?
 - Nie twoja sprawa... Uwolnisz Dietera?
- Paul milczał przez chwilę. Cholera, milion dolarów... Ponte pewnie wiedział, że jest zadłużony po uszy.
- Wyjaśnij mi coś...
 - Tak?
 - Czy śmierć syna Wheatona, który zginął w zeszłym roku w Iraku, ma jakiś związek z tobą?
 - Owszem... Przecież posłałem kwiaty na pogrzeb.
 - A niech...

Tak bezczelna odpowiedź sprawiła, że Paulowi słowa uwięzły w gardle.

- Odpowiadaj! - ponaglił Richard. - Nie mam czasu na pogawędkę. Jest wielu innych, którzy chętnie przyjmą tę ofertę.

- Niech cię diabli, Ponte! - wyszeptał Borden. - To ostatnia rzecz, którą dla ciebie robię. Jaki jest ten kod?

- Dostaniesz go, dopiero wtedy gdy Dieter będzie na wolności.

- Nie ma mowy, draniu. Nie ufam ci. Robimy to po mojemu albo radź sobie sam.

Richard zaklął. Mógł wprawdzie znaleźć kogoś innego, ale to wymagało czasu, a on go nie miał.

- Dobra, ale jeśli mnie wystawisz, to pamiętaj, że wiem, do której szkoły chodzą twoje dzieci i gdzie się czesze twoja żona!

Borden poczuł mdłości na myśl, że robi interesy z taką szują i zrobiło mu się słabo jeszcze bardziej, kiedy pomyślał, że właśnie sprzedał duszę diabłu za milion dolarów.

Ale nawet jeśli sprzedawał własną duszę, nie zamierzał dać się zastraszyć. Jego głos był niemal jak szept, ale sens był jasny:

- Nie strasz mnie. Nigdy. Wiem o tobie zbyt wiele, nawet o miejscach, w których mógłbyś się ukryć. Rozumiemy się?

Richard zmrużył oczy. Nie spodziewał się takiej reakcji.

- Zgoda... Zrozumiałem. Bierz pióro i pisz.

- Mów.

Richard podyktował dane banku i konta.

- I jeszcze jedno - rzucił na koniec. - Podaj Dietero-

wi ten telefon. - Wyrecytował długi numer. -1 nie próbuj kontaktować się z władzami. Pamiętaj...
dowiem się.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale Borden odłożył słuchawkę.

Richard przeklął gniewnie. Musi jak najszybciej dostać informację, czy prawnik spełnił jego polecenie. Wrzucił telefon do kieszeni i usłyszał wołanie. Chwilę trwało, zanim rozpoznał w tym okrzyku swoje obecne nazwisko. Pomachał ręką, zarzucił torbę na ramię i ruszył ku łodzi, która właśnie cumowała.

Wskoczył na pokład. Po półgodzinie w porcie nie było po nim śladu.

Kilka dni później Paul Borden pojechał na wybrzeże Georgii. Po kilku zabiegach uzyskał audiencję u miejscowego sędziego i przedstawił swoją sprawę. Gdzieś zniknął wybitny prawnik reprezentujący możnych tego świata, w jego miejsce pojawił się skromny adwokat, który żarliwie przekonywał, że Dieter Bahn szczerze wierzył w porwanie Alicii. Kiedy więc odnalazł ją w rezydencji Nightwalkera, wcale nie dybał na jej życie, tylko był pewien, że ją ratuje. Borden wspiał się na szczyty swego profesjonalizmu i jakimś cudem zdołał przekonać sędziego.

Paul czuł się fatalnie na myśl o tym, co robi, ale powtarzał sobie, że to jego ostatnie zlecenie od Richarda. Stał na zewnątrz więzienia, gdy uwolniony Dieter podszedł szybkim krokiem, żeby uścisnąć mu dłoń.

Zamiast powitania Borden wcisnął mu do ręki skrawek papieru.

- Naucz się tego, a potem zniszcz tę kartkę - powiedział. - Wiedz też, że od tej chwili wszystkie kontakty między naszym biurem a firmą twojego szefa są zerwane.

Dieter skrzywił się, patrząc na rząd numerków na kartce.

- Co to jest?

- Niejaki Richard Ponte jest pod tym numerem, ale na twoim miejscu wyrzuciłbym to i ratował swój tyłek.

- Borden ruszył do samochodu.

- Ej, zaczekaj - krzyknął za nim Dieter. - A co ze mną?!

Paul obejrzał się.

- Jesteś dużym chłopcem. - Wzruszył ramionami.

- Wymyśl coś.

Zatrzasnął drzwi auta i z piskiem opon pognął w kierunku Miami.

Dieter zaklął i ruszył w stronę parkingu z zarekwirowanymi samochodami. Przelotnie spojrzął na numer telefonu, który dostał przed chwilą, i wsunął kartkę do kieszeni. Najpierw musiał się wydostać z tej zapadłej dziury, dopiero potem zdecyduje, czy chce nadal współpracować z szefem, czy też, zgodnie z radą Bordena, zniknie.

Znając jednak swojego szefa, wiedział, że ucieczka przed nim jest niemożliwa.

Jacob Carruthers czekał w więzieniu okręgowym, aż przewiozą go do innego aresztu. Przez swojego prawnika próbował skontaktować się z dziećmi, ale odmówiły rozmowy. Tego zresztą się spodziewał. Od siedmiu godzin przebywał w celi, słysząc jedynie przekleństwa i wrzaski innych więźniów, którzy nader barwnie opisywali, co go czeka.

Siedział na pryczy, wpatrywał się w kraty i wiedział, że nie będzie miał dość siły, żeby to przetrwać.

Więcej

- nie będzie nawet się starał.

164

- Hej, pieprzony zdrajco! Mój kuzyn w Iraku dostał w plecy z twojej broni! Zapłacisz za to, flaki ci wy-pruję!

Na dźwięk ostrego głosu i brutalnej obietnicy Jacob poczuł mdłości. Ledwie zdążył dobiec do toalety. Odgłosy torsji słychać było w całym areszcie, co tylko wzmogło okrzyki. Chwiejnym krokiem wrócił na pryczę. Gdy zwałił się na nią, zaczepił spodniami o metalową ramę. Skrzywił się na trzask rozdieranego materiału, zaraz jednak przypomniał sobie, że nie nosi już markowych ubrań.

Przewrócił się na plecy i przymknął oczy, a wtedy pojawiła się pewna myśl. Jeśli krawędź pryczy była dość ostra, by rozerwać materiał, ze skórą też powinna sobie poradzić... Usiadł i z uwagą obejrzał nierówny kawałek ramy. W tym miejscu była przerdzewiała i lekko powyginana.

Nie dając sobie czasu do namysłu, opadł na kolana i z całych sił przeciągnął nadgarstkiem po ostrej krawędzi. Ból był straszny, ale Jacob ze stoickim spokojem kontynuował samobójcze dzieło. Choć raz musi być silny. On i tylko on zadecyduje o swoim losie.

Pordzewiały metal rozszarpał skórę i poprzecinał żyły. Krew chlusnęła z ran w rytm uderzeń serca. Przesunął się lekko i to samo zrobił z drugim przegubem. Patrzył, jak krew spływa z rąk... i ogarnęło go poczucie euforii. Nie słyszał krzyków innych więźniów, nie martwił się już. Wiedział, że za chwilę będzie wolny.

Plama na podłodze stawała się coraz większa. Pomyślał, że jeśli wypłynie za kraty, ktoś to zauważy i mogą go uratować. Położył się więc na materacu, który wchłaniał krew jak gąbka. Czuł się coraz słabszy. Zamknął oczy i wyszeptał:

171

- Boże, wybacz mi...

Ostatnie, co usłyszał, to przekleństwa więźniów.

Corbin Woodliff był w redakcji i szlifował następny artykuł, gdy zadzwonił telefon.

- Woodliff.

- Carruthers nie żyje - z miejsca poinformował agent Joshua.

Palce Corbina zamarły na klawiaturze, wers wypełnił się bezładnym ciągiem znaków.

- Co się stało? - spytał po sekundzie, mocno przyciskając słuchawkę i przetrząsając biurko w poszukiwaniu pióra i notesu.

- Popęłił samobójstwo w areszcie, zanim zdążyli go przetransportować. Podciął sobie żyły o krawędź pryczy i wykrwawił się. Znalaziono go godzinę temu.

- Co teraz? Straciliśmy najważniejszego świadka! Czy dotychczasowe zeznania wystarczą? I jaką mają wagę, skoro on nie żyje?

- Zawsze możemy je wykorzystać, ale nie są nam niezbędne. W skonfiskowanych dokumentach było o wiele więcej, niż zdradził Carruthers. Starczy na kilka wyroków.

- Nie mów, że Ponte był aż tak głupi i przechowywał notatki dotyczące tych transakcji!

- Tak. Wiem, że to dziwne, ale często się zdarza. Zresztą może i nie aż tak dziwne. Szychom z biznesu i polityki często się wydaje, że są nietykalni.

- To się staje coraz bardziej niesamowite. - Corbin pokręcił głową. - Czy cokolwiek z tego, co powiedziałaś, jest z poufnych źródeł?

- Gdyby tak było, nie dzwoniłbym - prychnął agent Joshua.

166

- Możesz przekazać mi coś jeszcze?
 - Nie. Masz pierwszeństwo, to jasne, ale żadnych dziwnych przecieków. Przecież mnie znasz, do diabła.
 - Do diabła, znam. - Corbin roześmiał się. - Dzięki. Po chwili stał przed biurkiem redaktora naczelnego.
 - Szefie... - zaczął wyraźnie podekscytowany.
 - Cholera, od dawna marzyłem, by to powiedzieć!
 - mruknął niby do siebie. Sam Frost uniósł wzrok.
 - Co takiego?
 - Wstrzymaj jutrzejsze wydanie gazety! Sam skrzywił się.
 - Po pierwsze wcale nie wiesz, czy już poszła do druku. A po drugie, już kiedyś wygłosiłeś tę kwestię.
 - Ale za każdym razem daje mi to taką samą radochę. To jak, zrobisz to?
- Skrzywienie Frosta przerodziło się w pewne zainteresowanie.
- A co masz do powiedzenia?
 - Jacob Carruthers nie żyje. Popełnił samobójstwo w więziennej celi.
 - To pewne?
 - Absolutnie.

Frost chwycił za słuchawkę, zadzwonił do drukarni i krzyknął:

- Wstrzymać druk! Będzie nowa strona tytułowa. Dostaniecie ją za... - spojrzał pytająco na Corbina.
- Godzinę - podpowiedział, już myśląc o materiałach, które musi zgromadzić, żeby napisać artykuł o żalonym końcu jednego z najpotężniejszych ludzi tego świata.
- Trzy kwadranse - twardo oznajmił Frost. Corbin przewrócił oczami i pognął do swojego biurka.

John był w kuchni i właśnie robił sobie omlet. Skupiony na przygotowywaniu posiłku jednym uchem słuchał telewizora, gdy nagle jego uwagę przyciągnął dźwięk poprzedzający najnowsze wiadomości. Zestawił patelnię z palnika i patrzył na ekran.

- Najświeższe wiadomości! - zapowiedział dziennikarz. - Jacob Carruthers, jeden ze współników oskarżony o zdradę, został znaleziony martwy w swojej celi. Pierwsze raporty donoszą, że podciął sobie żyły o krawędź łóżka i wykrwawił się na śmierć. Jego współnik, Richard Ponte, który wymknął się FBI...

Zgasił palnik i sięgnął po telefon. I tak chciał zadzwonić do Woodliffa wieczorem, ale teraz nie mógł już czekać.

Corbin odebrał dopiero po kilku dzwonekach.

- Żeby to było coś ważnego - warknął do słuchawki - bo nie mam...

- Cześć, tu John. Co się dzieje?

- Chyba możesz sobie wyobrazić.

- To jakiś idiotyzm. Ponte się wywinął, a teraz Carruthers w jakimś sensie też. Tylko nie mów, że bez niego nie da się potwierdzić zarzutów.

- Na szczęście mają już wszystko, czego potrzebują. A tak przy okazji, gdzie jesteś? Co z Alicią?

- Słyszałem we wcześniejszych wiadomościach, że okantował Paola Gianniego i dzięki temu wydostał się z kraju - mówił John.

Corbin westchnął. Najwyraźniej nie usłyszy odpowiedzi na swoje pytanie, co zresztą rozumiał.

- Ponte musiał okantować jeszcze kogoś, bo jak słyszałem, Dieter Bahn został zwolniony z więzienia.

- Co?! A od kiedy to oskarżeni o próbę morderstwa są zwalniani tak szybko i bez procesu?

- Jak zrozumiałem, sędzia dał się przekonać, że Bahn wierzył w porwanie Alicii i atakował ciebie, bo chciał ją uwolnić.
- Gówno prawda! Wiedział, że Alicia ucieka, wiedział, dlaczego!
- Jakiś prawnik z górnej półki z Miami tak zakręcił, że sędzia kupił tę historyjkę.
- Cholera... - Obawy Johna jeszcze się wzmogły.
- Nie przypuszczam, żebyś chciał mi opowiedzieć, co u ciebie? - spróbował znowu Corbin.
- Masz rację, nie chcę.
- No, dalej. Jesteś mi winien zakończenie tej sensacyjnej opowieści.
- Jeszcze się nie skończyła. I może nigdy nie mieć zakończenia, z którym Alicia chciałaby żyć...
- Jak ona się ma?
- Nie wchodząc w szczegóły, pamiętaj o niej w modlitwie.

Corbin czuł, jak skoczyło mu tętno.

- Jest aż tak źle? Co się stało? - pytał nerwowo.
 - Według słów pewnego starego człowieka, który ją leczył... jeszcze nie zdecydowała, czy chce żyć.
- Corbin poczuł wstyd za swoją natarczywość.
- Mój Boże... Przepraszam. Mogę jakoś pomóc?
 - Naciskaj ich, żeby Richard Ponte się nie wywinął. Dopóki nie znajdzie się w pudle, to nawet jeśli ona przeżyje, jej życie nie będzie wiele warte.

Dwadzieścia cztery godziny później Richard Ponte dotarł do ostatecznego celu podróży. Niewielki drewniany domek wyglądał jak powiększona wersja zegara z kukułką. Kupił tę uroczą posiadłość w Niemczech kilka lat temu jako Anton Schloss. Choć był tu dwa razy,

małżeństwo opiekujące się posesją nigdy dotąd go nie widziało, tym bardziej więc starali się dobrze wypaść.

- Pan Schloss, witamy! - zawołała Helga, kiedy tylko wysiadł z samochodu.

- Witam. Dobrze tu wrócić.

- Mam nadzieję, że zostanie pan na dłużej...

- Tym razem tak.

Helga powiedziała do zbiegającego po schodach męża:

- Gustav, zanieś torbę pana Schlossa do sypialni.

- Nie, nie - powstrzymał go Richard. - Poradzę sobie, są tam papiery, które chcę schować do sejfu. Ale za to chętnie bym coś zjadł.

Uśmiech Helgi rozpląnął się szeroko po nieładnej twarzy.

- Oczywiście! Przygotowałam struclę jabłkową i pieczone kielbaski. Proszę tylko dać znać, kiedy będzie pan chciał zjeść.

- Umyję się, zmienię ubranie i zaraz schodzę. Helga kazała mężowi wracać do siebie i pobiegła do kuchni.

Richard wszedł do pokoju, otworzył sejf, upewnił się, że nikt tu nie zaglądał i dopiero wtedy opuściło go napięcie. Kolejny zestaw fałszywych dokumentów leżał na swoim miejscu, razem z niteczką, która dowodziła, że nikt ich nie ruszał. Wrzucił do środka dokumenty i pieniądze, zamknął sejf i spojrzał na pokój.

Jak zapamiętał, miejsce było całkiem miłe, a po tym, jak zarządził kilka unowocześnień, tylko zyskało na wygodzie.

Niedługo potem zszedł do jadalni, popijał ulubione niemieckie piwo i przegryzał paskami białego sera

z kminkiem. Po chwili Helga podała pieczone kielbaski i pyszny żytni chleb.

Po posiłku Richard poszedł do sypialni i starał się zasnąć, kiedy zadzwonił telefon. Czuł, jak puls mu podskoczył. To mógł być tylko Paul Borden z informacją, że zawiódł, lub Dieter z wiadomością, że jest wolny.

- Halo? - W napięciu czekał, czyj głos usłyszy.

- Szefie, to ja!

Richard uśmiechnął się szeroko.

- Dieter, wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz. Skąd dzwonicz?

- Automat telefoniczny na przystanku autobusowym.

- Wiesz, gdzie jest Alicia?

- Nie, ale mam inne wieści.

- Jakie?

- Jacob Carruthers nie żyje.

Odczuł tak wielki wstrząs, że nie mógł sklecić prostego zdania. Dobrze, że Dieter mówił dalej:

- Popełnił samobójstwo w celi.

Richard po raz pierwszy poczuł coś na kształt wstydu. Zostawił Jacoba i dlatego tak to się skończyło.

Wszystko przepadło, a winna była Alicia. Dał jej tak wiele, i tak mu się odpłaciła!

Biedny Jacob.

Richard odetchnął głęboko. To tylko utwierdziło go w pewnych decyzjach. Choćby miał na to poświęcić resztę życia, odnajdzie Alicję. Chciał usłyszeć jej błagania. Chciał, by uznała, że nie miała racji. A potem wymierzy sprawiedliwość.

- Bierz długopis i kartkę - rozkazał.

- Już, szefie, minutkę, tylko wyjmę z kieszeni.

Richard czekał ze słuchawką przy uchu, układając plan.

Przypomniął sobie, gdzie się tego nauczył. Dorastał na farmie tuczników w Iowa i nieraz obserwował, jak ojciec przeglądał mioty, selekcionując chore i kalekie osobniki. Zawsze mówił, że przeżyć mogą tylko najlepsi. I nieważne, jak bardzo było to obrzydliwe, zmuszał Richarda, żeby pomagał mu w tej robocie. Ze względu na najlepszych, powtarzał sobie, ze względu na najlepszych...

A teraz okazało się, że on sam, Richard Ponte, wychował niedoskonałą córkę, która nie rozumie tak prostych rzeczy, jak lojalność rodzinna. Córkę wadliwą i niedoskonałą. Nie mógł jej odpuścić po tym, jak zrujnowała jego życie. Ale naprawi to, przy pomocy Dietera jak zawsze odniesie sukces.

- Szefie, jestem gotów.

- Doskonale - odrzekł spokojnie. - Pisz. Oto co masz zrobić w pierwszej kolejności.

Dieter słuchał uważnie i pilnie notował.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Choć minęło już wiele godzin, Alicia nadal nie dawała znaku życia. Ciało wciąż leżało tam, gdzie położył je John, ale dusza skryła się głęboko. Nie reagowała na żadne bodźce, na światło czy głód. Nie zdawała sobie sprawy z upływu czasu, nic nie było dla niej ważne, przeszłość i teraźniejszość nie istniały. Odwróciła się od życia, a jedyną osobą na ziemi, która się o nią troszczyła, był najgorszy wróg jej ojca.

Wieloryb wystrzelił wysoki strumień, co wywołało piski i śmiechy dzieci.

Biała Sarenka obserwowała te zabawy, siedząc przy ognisku. Pilnowała, aby świeżo wędzona ryba nie była zbyt blisko ognia. Ciagle bolało ją serce na myśl, że nie może dać Nocnemu Wędrowcowi syna.

Iskra z ogniska spadła na jej mokasyn, strząsnęła więc ją szybko i wróciła do wędzenia. Nie miała pojęcia, że mąż patrzy na nią z drugiego końca polany.

Znal swoją kobietę jak samego siebie. Kochał ją bardziej niż życie i żał mu było patrzeć, jak smuci się z powodu braku dzieci. Nie zamieniłby nocy w jej

ramionach na tuzin synów. Dla niej oddychał, była radością jego serca.

Odwrócił wzrok i przygotowywał się do polowania, gdy nagle kątem oka zobaczył, jak odrzuciła głowę i zaśmiała się.

Rozejrzał się, żeby zobaczyć, co ją tak rozbawiło, i dostrzegł szczeniaczka, ulubieńca wioskowych dzieci. Sprytny maluch ukradł wielką kość śpiącym psom i próbował z nią uciekać. Był to jednak ciężar ponad jego siły, kość stale wypadła mu z pyska, ale nie poddawał się.

Uśmiechnął się do siebie. Zabawny był ten zwierzak, ale to uśmiech Białej Sarenki rozgrzał mu serce. Odwrócił się i już miał odejść, gdy nagły powiew wiatru przyniósł zapach dymu. Czekał, aż dym się rozrzedzi, ale tylko gęstniał. Ciemna chmura wypełniła całą przestrzeń. Nie widział już ani wioski, ani Białej Sarenki, słyszał tylko jej głos.

Nie śmiała się. Krzyczała, wzywała go rozpaczliwie. Zaczął biec, choć nie wiedział, skąd go wzywa.

Im szybciej biegł, tym bardziej gęstniał dym wokół niego. Nagle powiew wiatru rozwiął dym i jego oczom ukazał się widok, przez który jakaś część jego duszy umarła na zawsze.

Biała Sarenka zniknęła. Nie było dzieci ani szczeniaka z wielką kością.

Nocny Wędrowiec był sam. Oblał go strach, chodził w kółko i modlił się, by to był sen. Krzyczał rozdzierająco i wołał Białą Sarenkę tak długo, aż z jego gardła zaczął wydobywać się tylko głuchy jęk...

Głośny jęk, który wydobył się z jego ust, obudził go. Zorientował się, że wybiegł z sypialni. Był nagi, bose stopy same rwały się do dalszego biegu, gdy uświadomił

sobie, że może tak pędzić całą wieczność, a i tak jej nie znajdzie. To on jest teraz zagubiony. Oparł się o ścianę, by nie upaść, i nagle usłyszał za sobą jakiś dźwięk. Obrócił się i spojrzał zdumiony. Stała kilka kroków dalej. Jej naga, ciemna sylwetka delikatnie rysowała się na tle holu. Serce biło mu tak mocno, że niemal stracił oddech.

- John, co się stało? - spytała.

Westchnął cicho, powoli. A więc choć jedna z nich wróciła do świata żywych.

Ruszył w jej stronę. Chciał jej dotknąć, sprawdzić, czy to nie kolejny sen.

Niepewnie wyciągnął rękę do jej włosów i opuścił ją, gładząc jedwabiste pasma. Odgarniał ciemne kosmyki z twarzy i odkładał je na kark.

- Więc... więc postanowiłaś wrócić? - pytał miękko. Sam dotyk jego dłoni na jej nagim ciele wystarczał,

aby wytrącić ją z równowagi, ale najbardziej przejmujący był ton jego głosu.

- Co masz na myśli? - zdziwiła się. - Nigdzie nie wyjeżdżałam...

Nie miał siły jej tego tłumaczyć. Chciał przede wszystkim poczuć, że naprawdę żyje, nie odeszła.

Chwycił ją więc w ramiona i na kilka chwil pozwolił sobie na luksus cieszenia się ciepłem jej ciała, wdychania zapachu włosów i bicia jej serca.

- Byłaś bardzo daleko, Alicio. Traciłem już nadzieję, że wrócisz. Myślałem, że umrzesz - wyszeptał.

Nie miała pojęcia, o czym mówił, ale wiedziała, że powinna jak najszybciej uwolnić się z jego objęć, bo nagły atak pożądania, który ją ogarnął, był dla niej coraz bardziej kłopotliwy. Wysuwała się delikatnie z jego objęć, gdy nagle zapiekł ją palec u stopy.

- Skorpion! - przypomniała sobie.

Przytacknął, gładząc jej twarz i szyję, żeby sprawdzić, czy nie ma gorączki. Na szczęście nie miała.

- Jestem uczulona, nawet pszczełki jad jest dla mnie groźny... Jak sobie poradziłeś?

- Nie pytaj. I tak byś nie uwierzyła. Ale śmiertelnie mnie przeraziłaś. Jak się czujesz?

- W porządku. Czuję się trochę dziwnie, ale wszystko jest w porządku.

Wziął ją za ramię i zaprowadził do sypialni.

- Powinnaś się położyć. Wciąż jesteś roztrzęsiona, nawet jeśli wydaje ci się, że jest inaczej.

Pozwoliła ułożyć się w łóżku, a potem obserwowała uważnie, jak kręcił się po pokoju i otulał ją, nastawiał klimatyzację, dolewał wody do szklanki... Doprowadzał ją do szaleństwa.

- Nie masz na sobie ubrania - zauważyła w pewnym momencie.

Stał właśnie w nogach jej łóżka i patrzył na nią uważnie.

- Ty też.

Uznała, że lepiej zmienić temat.

- Dlaczego krzyczałeś?

- Miałem zły sen - odparł po chwili. - To wszystko. Westchnęła głęboko.

- Rozumiem. Ja też śniłam. O czym był twój?

Nie próbował jej nawet tego wytłumaczyć, i tak by nie zrozumiała, ale cieszył się, że słyszy jej głos, a przede wszystkim że mimo poważnych problemów nie poddała się.

- Wiesz, jak dziwne potrafią być sny... - powiedziała. - Póki w nich tkwisz, wszystko wydaje się realne, logiczne i zrozumiałe, lecz po przebudzeniu tracą sens.

- Ułożyła ręce pod głową i wyciągnęła się wygodnie.
- Mój wydawał się całkiem realny, choć teraz trudno mi w to uwierzyć. - Uśmiechnęła się. - Siedziałam przy ognisku i przyrządzałam rybę... Rozumiesz, ja, rybę!
- podkreśliła kpiąco. - Po moim popisie przy tamtym śniadaniu trudno w to uwierzyć, ale we śnie naprawdę tak było...
- John był zbyt zszokowany, by cokolwiek powiedzieć. Wpatrywał się w nią w milczeniu i wmawiał sobie, że to nic nie znaczy.
- Był tam też mały szczeniak, który bawił się wielką kością, a ja się z tego śmiałam - ciągnęła. - Nagle usłyszałam, że mnie wołasz i odkrzyknęłam coś. Ale ty nadal wołałeś, jakbyś mnie nie widział i nie słyszał. Chciałam więc wstać od ogniska, ale nie mogłam, jakby nogi odmówiły mi posłuszeństwa... Wzdrygnął się. Chciał, żeby przestała już mówić. Nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. Dlaczego wkroczyła w jego sny? Były wszystkim, co mu zostało.
- Wreszcie zdołałam jakoś wstać od ogniska i wtedy okazało się, że się obudziłam i wstaję z łóżka. Usłyszałam twoje kroki na korytarzu, domyśliłam się więc, że biegniesz i wykrzykujesz moje imię. Wyszedłam z pokoju, żeby zobaczyć, co się dzieje.
- Słyszałaś, jak wołałem... twoje imię? - wychrypiał z trudem.
- Tak.
- Twoje imię? - upewnił się.
- Zamyśliła się na chwilę, a potem usiadła na łóżku i odparła:
- Hm, właściwie to nie. To dziwne, wołałeś coś innego, ale byłam pewna, że to moje imię. Musiałam być jeszcze zaspana... Zmyliło mnie to, że w taki sam sposób

zwracałeś się do mnie we śnie... - Uśmiechnęła się niepewnie. - Mówiłam, że sny są dziwne.

Chciał wyjść z pokoju, ale nie mógł zostawić jej samej, póki się nie dowie.

- Jakie to było imię? - pytał natarczywie.

- Indiańskie... - mruknęła zmieszana. - To pewnie ze względu na ciebie i tę indiańską kolekcję...

Indiańskie imię... Starczy, mówił sobie, daj już spokój, nie naciskaj. To przecież nic nie znaczy. To przypadek... Po prostu... śniła mój sen.

Wiedział, jak absurdalnie to brzmi, ale musiał się dowiedzieć.

- Powiedz, jak cię nazywałem - naciskał, a gdy spojrzała na niego zmieszana, dodał zdecydowanie:

- Cieszę się, że oprzytomniałaś, ale zaraz oszaleję, jeśli natychmiast nie odpowiesz na moje pytanie.

- Biała Sarenka - odparła zrezygnowanym tonem.

- Nazywałeś mnie we śnie Białą Sarenką. Teraz możesz śmiać się ze mnie do woli. Wiem, że to brzmi nieznośnie banalnie, ale tego nie wymyśliłam. Naprawdę we śnie miałam tak na imię.

Poczuł się, jakby ktoś walnął go w brzuch. Odwrócił się powoli i ruszył w kierunku drzwi.

- Idź spać - rzucił jeszcze od progu.

Położyła się z powrotem, naciągnęła na siebie kołdrę, i rzuciła kąśliwie:

- Dzięki. Ale jeśli chcesz, żebym spała spokojnie, to najpierw zrób coś z sobą. Biegasz nago po całym domu i wykrzykujesz dziwne imiona.

Nie odpowiedział. Nie był w stanie nawet na nią spojrzeć. Gdy był już za drzwiami, Alicia zawołała:

- Ej, zaczekaj! Dlaczego wykrzykiwałeś to imię?

- Już mówiłem... Też miałem zły sen. Idź spać.

Zmarszczyła brwi.

- Śniłeś o kobiecie, która nazywała się Biała Sarenka? O tej samej, co ja?

- Tak - przyznał z ciężkim westchnieniem.

- To dziwne, nie uważasz?

- Nie dla mnie.

- Dlaczego?

- Na litość boską, kobieto... Daj spokój!

- Kim jest Biała Sarenka? - drażyla.

Odwrócił wzrok. Nie chciał odpowiadać, ale wiedział, że Alicia nie ustąpi.

- To ta kobieta z obrazu... Biała Sarenka to kobieta z obrazu.

- Zaraz... myślałam, że to twoja... Zanim skończyła, zniknęła za drzwiami. Zezłościła się... i nagle uderzyła ją pewna myśl.

Widziała wcześniej obraz, ale przecież nie wiedziała, jak nazywa się tamta kobieta. Skąd więc we śnie przyszło jej to imię do głowy?

Zamknęła oczy. Doszukiwanie się w snach jakiegokolwiek sensu było głupie. Poza tym pewnie słyszała już to imię od Johna i zapamiętała je. Na pewno tak było, uznała, i w ciągu kilku minut zapadła w sen.

John nawet nie próbował wracać do łóżka. Wiedział, że i tak nie zaśnie.

Wrócił do swojej sypialni, włożył dzinsy i przeszedł do kuchni. Dochodziła czwarta rano, więc czas na kawę. Nastawił ekspres.

Podszedł do okna i patrzył na budzący się świt. Na wschodzie ciemność powoli stawała się coraz mniej intensywna. Nie chciał nawet myśleć, ile tysięcy razy oglądał już ten widok. Nadal nie rozumiał, jak to się

stało, że Alicia śniła ten sam sen co on. Kompletnie go to wytrąciło z równowagi. Nagle obrócił się na pięcie i ruszył przez pogrążony w ciemnościach dom do pokoju pamięci. Musiał po prostu upewnić się, że tych kobiet nic nie łączyło. Zapalił niewielką lampkę nad portretem i długo wpatrywał się w twarz Białej Sarenki. Przyglądał się jej oczom, ustom, linii brwi, szukając jakiegokolwiek podobieństwa do Alicii. Nie znalazł żadnego. Odetchnął z ulgą. A więc ten sen to czysty przypadek. Miała ciężkie przeżycia, być może swoje odegrała też wizyta Starszego i indiańska kolekcja, którą miał w domu. Zrobił sprawę z niczego. Wychodził już z pokoju, gdy nagle coś sobie uświadomił. Richard Ponte też w niczym nie przypominał Vargasa, a przecież wiedział, że w obu tych ciałach żyła jedna i ta sama dusza. A skoro był zdolny wyczuć i rozpoznać duszę swojego wroga, to tym bardziej powinien rozpoznać duszę ukochanej kobiety. Poczul się zupełnie skołowany. Wrócił do kuchni, nalał sobie kawy i wyszedł na taras, by powitać kolejny dzień. Już od ponad doby Richard czekał na telefon od Dietera. Skontaktował go z człowiekiem, który potrafił wyśledzić dowolną osobę na świecie, o ile tylko oddychała. Miał nadzieję, że raz jeszcze spotka się z Alicią... ostatni raz. Przede wszystkim zaś musiał się pozbyć telefonu komórkowego, ale nie mógł wyrzucić karty, póki nie poda Dieterowi nowego numeru.

Dobrze chociaż, że ostatni dzień był owocny pod innym względem. Wkroczył znów do świata wielkiego biznesu, tym razem jako Anton Schloss, producent opon samochodowych. Brodę miał dłuższą, ale starannie przystrzyżoną, głowę golił codziennie, kupił też zupełnie nową garderobę, stosowną do pozycji, którą zajmował.

Za dwa dni miał wyruszyć do Szwajcarii na operację plastyczną. Kiedy wróci do zdrowia, Richard Ponte zginie w nieszczęśliwym wypadku. A potem już nikt nie będzie go szukał i wreszcie świat znowu stanie dla niego otworem. A wtedy przyjdzie czas na wyrównanie rachunków.

Dochodziło południe, kiedy Alicia wreszcie się obudziła. Powoli wracała do formy, co John poznał po tym, że stawiała się coraz bardziej zgryźliwa i zadawała mnóstwo niewygodnych pytań, które ignorował, w czym zresztą miał kilkusetletnią praktykę.

Od kilku godzin siedział w swoim gabinecie i zajmował się interesami. Mniej więcej co pół godziny Alicia znajdowała jakiś pretekst, żeby przejść obok, ale za każdym razem był tak zajęty, że nie odważyła się mu przeszkadzać.

Pod jego wpływem zaczęła się zastanawiać nad swoim życiem. Jej kalendarz był wprawdzie wiecznie wypełniony różnymi imprezami, na których wypadało się pokazać, ale teraz aż nazbyt wyraźnie widziała, że choć niezależna finansowo, jednak pozbawiona fortuny i pozycji ojca, niewiele mogła zdziałać.

Nie miała nawet przyjaciół, tylko znajomych, z którymi jadała czasem obiady i zasiadała w komitetach dobroczynnych. Tak naprawdę nie było nikogo, kto szczerze mógłby się przejąć jej zniknięciem.

A John nadal nie mógł zapomnieć o kobiecie z obrazu. Tak bardzo pragnęła, by kiedyś ktoś tak samo ją pokochał.

Następnego ranka obudziła się z mocnym postanowieniem. Miała czas, by przemyśleć swoje życie, choć obecność Johna rozpraszała ją tak bardzo, że nie było to łatwe. Postanowiła zacząć swoją przemianę od małych rzeczy, a taką była z pewnością nauka gotowania. Czuła się zażenowana, że nie miała o tym pojęcia.

Przeszła do kuchni, gdzie znalazła bogato ilustrowaną książkę kucharską. Wzięła butelkę wody mineralnej, zasiadła w głębokim fotelu i pogрузzyła się w lekturze. Wkrótce książka tak ją wciągnęła, że oczyma wyobraźni już widziała siebie, jak serwuje wyszukaną potrawę, a John otwiera oczy ze zdumienia.

Nagle zorientował się, że w domu od dawna panuje dziwny spokój. Zapisał pliki, nad którymi właśnie pracował, i ruszył na poszukiwania Alicii.

Zajrzał do jej sypialni, przeszedł do biblioteki, a potem do salonu, lecz nigdzie jej nie było. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że czuje jakiś dziwny zapach.

Wszedł do kuchni i zobaczył zaskakujący obrazek.

Alicia stała przy zlewie. Była boso, długie włosy zebrała w koński ogon, miała na sobie szorty i żółtą koszulkę. Zarówno stół, jak i blaty zastawione były mnóstwem najrozmaitszych naczyń - miskami, garnkami, rondlami i pojemnikami. Między tym wszystkim walały się torebki z mąką, warzywa i brudne sztućce.

Próbowała gotować. Nie miał pojęcia, co ją do tego nakłoniło, ale był pełen uznania... niezależnie od efektów tej działalności.

- Hej - powiedział miękko.

188

Zerknęła przez ramię i uśmiechnęła się.

- Robię kolację - oświadczyła z dumą. Spojrzał na zegarek.

- Jest dopiero czternasta.

- Wiem, ale nie mam pojęcia, ile czasu mi to zajmie. Wiesz, że nie jestem w tym za dobra.

Stłumił uśmiech i podszedł bliżej. Zauważył, że w kuchennym boju nie obyło się bez ran. Trzy owinięte plastrem palce na jednej dłoni, kciuk na drugiej, taki był bilans.

- Co się stało? - Zerknął znacząco na plastry.

- Hm... - Ruchem głowy wskazała miskę obierek ziemniaczanych. - To jest trudniejsze, niż się wydaje.

Nic nie powiedział, chociaż zauważył, że obierki miały co najmniej pół centymetra grubości. Wyjął jej z ręki nóż i odłożył w bezpieczne miejsce, potem obrócił dłonie spodem do góry i obejrzał uważnie.

Tu też zdołała się skaleczyć.

- Wiem... - przyznała smętnie. - Wygląda to tak, jakbym ruszyła na wojnę, a nie do kuchni.

- Biedne paluszki - powiedział czule, choć jednocześnie nie potrafił wyzwolić się od wspomnienia

Białej Sarenki, która tak zręcznie radziła sobie z przyrządzaniem posiłków, choć miała tylko

krzemienisty nóż. - Z czasem nabierzesz wprawę. Ale kapelusze z głów za zapał i wysiłek. - Jej radosny uśmiech sprawiał, że topniało mu serce. - Więc... - powiedział ostrożnie - na kolację będą ziemniaki...

- Tak, ale to nie wszystko! Ugotowałam jeszcze jajka i zrobiłam tosty - oznajmiła dumnie, po czym

znów uderzyła w smętne tony: - Wiem, że to niezbyt wyszukane dania, ale rozsądek nakazywał, by zaczynać od podstaw.

Z uśmiechem zajrzał go garnka. Były w nim cztery jajka w popękanych skorupkach, a na dnie pyrkotała resztką wody.

- Hm... Jak długo gotujesz te jajka?

- Gdzieś tak z pół godziny.

- Już wystarczy. - Wyłączył palnik.

- Skoro tak mówisz... - Sięgnęła po miskę z ziemniakami.

Leżały już długo niezalane wodą, zdążyły więc zbrą-zowieć, lecz John powstrzymał się od komentarza.

- Po jajkach ugotuję ziemniaki - powiedziała. - Robię to po kolei, żeby nic się nie przypaliło.

W tej sytuacji darował sobie uwagę, że zgranie w czasie przy szykowaniu posiłków ma spore znaczenie. Jajka będą gumowate. Trudno. Setki razy był w sytuacji, kiedy gotów byłby zabijać za gumowate jajka.

- A jak zamierzasz przyrządzić ziemniaki? - spytał ostrożnie.

- Tak! - Wrzuciła je do garnka, który następnie postawiła na palniku.

- Chcesz je ugotować czy usmażyć?

- A co to za różnica? - odparła nieco zbity z tropu. - Robię coś nie tak?

- Cóż... Przydałoby się coś, żeby nie przywierały do dna. Jeśli chcesz je ugotować, to musimy dolać wody. A jeśli usmażyć, to lepiej zrobić to na patelni i wlać trochę oleju.

Skrzywiła się.

- A jak wolisz?

- Uwielbiam smażone.

- W porządku. - Sięgnęła po patelnię. - Co teraz mam zrobić? - spojrzała na niego bezradnie.

Z całych sił starał się, aby nie drgnął mu żaden mięsień twarzy. Wziął od niej patelnię, podlał olejem i postawił na palniku.

- Dzięki! A teraz już mnie zostaw. Poradzę sobie sama. - Pomachała mu palcami w plastrach, tym gestem wypędzając z kuchni.

Wyszedł z ulgą, bo bał się, że nie będzie w stanie dłużej spokojnie patrzeć na Alicię. Zastanawiał się, w jakie wpadł kłopoty. Od czasu choroby Alicii coś się w nim zmieniło. Świadomość, że umiera, że już nigdy nie będzie się z nim sprzeczać, nigdy nie spojrzy na niego z tym swoim uśmiechem, była przerażająca. To prawda, potrafiła być nadzwyczaj irytująca, lecz zarazem intrygowała go nawet bardziej niż aktualne miejsce pobytu jej ojca.

Wyszedł na taras, byle dalej od Alicii. Tak będzie lepiej dla nich obojga.

Usiadł na wygodnym fotelu i ledwie zdołał przeciągnąć się leniwie, usłyszał znajomy dźwięk. Ta posiadłość leżała na trasie przelotów z Sedony, często słyszał więc nad sobą huk przelatujących samolotów. Ale ten brzmiał inaczej.

Rozejrzał się badawczo, aż zlokalizował maszynę. Wyglądała jak stary samolot rolniczy, co było o tyle dziwne, że w okolicy nie było upraw wymagających opryskiwania. A jak na normalny lot utrzymywała się zbyt nisko. Lot zwiadowczy...

Błyskawicznie wpadł do domu, porwał z gabinetu lornetkę. Musiał przyjrzeć się samolotowi, a jeśli będzie miał szczęście, może i pilotowi.

Alicia usłyszała jego kroki i wyjrzała z kuchni.

- Co się dzieje? - spytała, wycierając dłonie w ściereczkę.

- Być może nic - mruknął uspokajająco. - Ale zostań w domu i trzymaj się z daleka od okien.
- Ujrawszy panikę na jej twarzy, dodał: - Po prostu ostrożności nigdy za wiele, a to pewnie fałszywy alarm.

Przebiegł do kuchni, a potem do spiżarni. Niewielkie okienko sprawiało, że z góry był niemal niewidoczny, za to miał dobre pole do obserwacji.

Alicja wbiegła za nim, przyciskając ręce do piersi. Niemal słyszał nieme błagania, ale nie miał czasu jej pocieszać. Dobiegł do okna, uniósł lornetkę i czekał. Wiedział, że jeśli to był zwykły lot, polecą dalej. Ale jeśli to zwiad, zawrócą i zaczną krążyć.

Samolot przeleciał nad domem. Ciekawe, czy na tyle nisko, by dostrzec helikopter ukryty pod siatką maskującą? Maszyna zaczęła się powoli oddalać i John był już niemal pewien, że niepotrzebnie spanikował, gdy nagle przechyliła się na skrzydło.

Zaklął pod nosem.

- Już odlecieli? - spytała drżącym głosem.
- Wracają.
- Och, nie... - wyszeptała przerażona.
- Jeśli powiem, żebyś uciekała, biegnij do mojej sypialni - powiedział, nie odrywając lornetki od oczu.
- W garderobie są małe drzwiczki, które prowadzą do schronu. Schowaj się tam i nie wychodź, póki cię nie zawołam. - Gdy nie odpowiedziała, spytał: - Alicia, słyszysz mnie?
- Boję się.
- Wiem, maleńka.

Łagodny ton głosu i pieścotliwe słowo podziałały na nią jak balsam.

Samolot nadlatywał coraz bliżej i lekko zniżył lot.

- Aha, chcesz się dowiedzieć, co jest pod tym kamuflażem. - John wyostrzył soczewki lornetki.
Jeszcze trochę i zobaczy twarze intruzów.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sam Watkins wiedział, ile jest wart i dlatego zawsze uzyskiwał żądane wynagrodzenie. Miał w ręku bardzo konkretne atuty - nigdy nie zawodził.

Gdy Dieter Bahn zadzwonił do niego z propozycją zlecenia, zadał tylko jedno pytanie:

- Kto jest obiektem?

- Alicia Ponte.

Sam był na bieżąco ze wszystkimi aktualnymi wydarzeniami, to należało do profesji. A teraz aż podskoczył. Tylko jedna osoba mogła pragnąć jej śmierci - człowiek, którego Alicia wydała FBI. Sam potrzebował kilku sekund, by przyswoić sobie fakt, że Richard Ponte chce załatwić własną córkę.

- Jest jednak pewien problem... - dodał Dieter.

- Zawsze są jakieś problemy. Mów.

- Ukrył ją facet, który nazywa się John Night-walker. Ostatnio widziano ich w hotelu w Waszyngtonie. Nightwalker wyeliminował tam człowieka, który ich szukał.

- Słyszałem o znalezieniu ciała, ale nie wiedziałem, że ma to związek z Alicią Ponte.

- Bo poza nami tylko ona o tym wie, ale z nieznanych powodów milczy.

Sam zmarszczył czoło. To nie miało sensu. Pó co miałyby trzymać to w sekrecie?

- Kto to był?

- Joiner.

Sam poczuł się nieswojo. Poza nim Rekin Joiner był najlepszy w branży. Był, już tylko był. A to znaczy, że Johna Nightwalkera nie wolno zlekceważyć.

- Co wiesz o tym Nightwalkerze?

- Indianin, twardy jak diabli i jak widać, nie do zatrzymania. Reszta to twój problem.

- Dwa miliony na moim koncie, i to zanim zrobię pierwszy krok - oświadczył twardo.

Dieter aż podskoczył, kiedy usłyszał tę sumę. Wyrzucił z siebie barwny stek przekleństw we wszystkich znanych sobie językach, aż wreszcie powiedział:

- Nie pogrywaj, Watkins! To poważna sprawa.

- To ty sobie ze mną nie pogrywaj - rzucił sucho Sam. - Wiem, kto stoi za tym zleceniem. Wiem, na co go stać, wiem też, że jest na czele listy przestępców poszukiwanych w tym kraju. Jeśli chce uśmiercić córkę, będzie go to trochę kosztowało. Więc albo zapisujesz numer mojego rachunku, albo kończymy rozmowę.

- Dawaj numer - warknął Dieter. - Oddzwonię.

- Czekam piętnaście minut, potem interes jest nieaktualny. Rozumiesz?

Dieter zaklął i rozłączył się. Musiał zadzwonić z tymi wieściami do szefa, co wcale mu się nie podobało. Wybrał numer, mając nadzieję, że szef odbierze. Liczyła się każda minuta.

- Tak? - usłyszał głos Richarda.

- Szefie, to ja... - Zawahał się na chwilę. - Nawiązałem kontakt, ale jest problem.

- Nie lubię problemów. O co chodzi?

- On chce dwa miliony albo rezygnuje. Czeka na odpowiedź piętnaście minut.

- Cholerny sukinsyn! - wrzasnął Richard. - Powiedz mu...

- Szefie, on mówi poważnie. Nie będzie się targował. Albo tak, albo wcale.

Richard stłumił atak furii.

- Dobrze - odezwał się zimno. - Dogadaj się z nim. A jak będzie po wszystkim, zabij go.

Dieter sapnął ciężko.

- Ależ szefie...

- Słyszałeś!

Żołądek Dietera wykonał dziwne salto.

- Tak, słyszałem. Eee... on chce przelew na konto, zanim podejmie działania.

- Dawaj numer. Aha, jeszcze coś. Ten telefon za chwilę będzie nieaktualny. Dam ci nowy. Gdy się rozłączymy, wyrzuć też aparat, którego używasz. Nie chcę, żeby nas namierzyli.

- Tak jest. - Dieter nerwowo zapisał nowy numer i rozłączył się.

Próbował opanować drżenie rąk, co ostatnio coraz częściej mu się zdarzało. Nie po raz pierwszy żałował, że nie posłuchał rady Paula Bordena, który kazał mu wyrzucić telefon do Richarda i uciekać.

Ale teraz było już za późno.

Wybrał numer Sama Watkina.

- Ico?

- Załatwione. Ale jeśli...

- Nie nawalam - przerwał mu Sam. - Nigdy.

190

Nie minęło kilka dni, a Sam był już w powietrzu, w starym rolniczym samolocie, z pilotem, który wkurzał go od chwili startu. Lecieli sprawdzić kolejne miejsce. Poprzednie okazały się niewypałem. Samolot powoli nabierał wysokości, a Sam podsumowywał w myślach stan operacji. Był mistrzem w swoim fachu, a już po prostu arcymistrzem w odnajdywaniu ludzi, choćby schowali się w najmniejszej dziurze na drugim końcu świata. Znał wszystkie sztuczki z firmami na ukrytych właścicieli, podstawione osoby, firmy fasady, firmy rejestrowane na nazwisko panięńskiej matki. Przegląd dokumentów jednej firmy był wskazówką, gdzie szukać drugiej, potem trzeciej i czwartej, chociaż rozrzucone były po całym kraju. Ale podjął ten wysiłek, bo był pewien, że ten trop gwarantuje odnalezienie Alicii Ponte.

- Jesteśmy prawie na miejscu. - Pilot pokazał czerwone dachy w dole.

Zniżyli się lekko i zobaczyli rozległy budynek w południowym stylu, z dwoma symetrycznymi skrzydłami i trochę wyższą, centralną częścią.

- Tam jest lądowisko. - Pilot wskazał palcem. - A to wygląda jak helikopter przykryty siatką maskującą.

Sam obrócił się w fotelu i uważnie spojrzał w dół. Wiedział, że Nightwalker ma helikopter. Serce zabiło mu mocniej. Coś mu mówiło, że tym razem trafił w dziesiątkę.

- Zawróć i przeleć nad nim jeszcze raz.

Pilot pochylił samolot na prawe skrzydło. Teraz lecieli nad domem pod takim kątem, że bez żadnych wątpliwości rozpoznali helikopter pod siatką maskującą. Sam uśmiechnął się do siebie i odłożył lornetkę.

- Mam cię - mruknął z satysfakcją.

- Co takiego? - spytał pilot.

- Nic. Zabierz mnie z powrotem na lotnisko. Zobaczyłem już wszystko, co chciałem.

John dostrzegł pilota, ale jego uwagę przykuł pasażer. Miał lornetkę i żywo interesował się helikopterem.

Zaklął pod nosem. Kimkolwiek był ten facet, musiał przeprowadzić bardzo konkretne poszukiwania, skoro trafił aż tutaj.

Obserwował, jak krążą chwilę, a potem odlatują. Patrzył za nimi, aż samolot znikł za horyzontem.

Dopiero gdy odwiesił lornetkę, zauważył, że przerażona Alicia kuca w kącie spiżarni.

- Możesz wstać. - Podał jej rękę.

- Odlecieli? - spytała słabym głosem.

- Tak.

- Uff! To byli turyści, prawda? - próbowała bagatelizować zdarzenie.

- Być może... - Jednak instynkt podpowiadał mu, że ten człowiek wróci, i to szybko.

- Chyba dokończę kolację... - Ruszyła do kuchni, jednak John chwycił ją za ramię. Spojrzała na niego zaskoczona. - Tak?

- Możesz być z siebie dumna - powiedział, spoglądając na jej dłonie i łagodnie przesuwając kciukiem po linii życia.

Zadrżała. Jego dotyk sprawiał, że nie mogła jasno myśleć.

- Dumna? - powtórzyła ze zdziwieniem.

- Tak. Przygotowałaś pierwszy samodzielny posiłek. Trzeba to docenić.

Rozpromieniła się.

- Dziękuję. Po prostu chciałam trochę ci pomóc. Dopiero przy tobie zobaczyłam, jak bezużyteczne życie wcześniej wiodłam.

Lekko uniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy. Wszystkie emocje miała wypisane na twarzy. Wiedział, że gdyby tylko się przysunął, w jednej chwili znalazłaby się w jego ramionach. Sam miał na to ogromną ochotę, ale coś go powstrzymywało. Jeśli cokolwiek miało się zdarzyć między nimi, nie chciał, aby stało się to pod wpływem stresu.

- No, więc... - rzucił, przerywając milczenie. - Co z tymi ziemniakami?

Zamrugła zdumiona. W tej chwili jedzenie było tym ostatnim, o czym myślała. Najwyraźniej jednak John był w zupełnie innym nastroju.

- Już... - mruknęła, starając się ukryć rozczarowanie.

Też wolałby robić coś innego, ale nie chciał wykorzystywać sytuacji. A tak by się czuł, gdyby teraz uwiódł Alicię.

Przeszedł za nią do kuchni. Zjedzą, a potem zajmie się swoimi sprawami. Musiał zrobić jeszcze kilka rzeczy, zanim pasażer z samolotu wróci. Bo tego, że wróci, John był pewien.

Kilka minut później siedzieli przy smażonych ziemniakach, które niemal pływały w tłuszczu, i jajkach tak gumowatych, że pewnie by się odbiły, gdyby je upuścić na podłogę. Alicia podgrzała jeszcze tosty i z dumną miną zasiadła do stołu.

Był to jeden z najdziwniejszych posiłków, jakie mu podano. Ale zarazem też jeden z najbardziej wzruszających.

- Masz ochotę na dżem do tostów? - spytał, podchodząc do lodówki.

- Tak. Przepraszam, że o tym nie pomyślałam. Masz jeżynowy?

- Mhm. - Sięgnął po słoiczek.

Pamięć od razu podsunęła mu obraz Białej Sarenki zbierającej jeżyny, by dodać je do gotowanej kukurydzy.

- Uwielbiam jeżyny - wyznała Alicia. - To moje ulubione owoce.

John aż drgnął. Wciąż nie mógł zapomnieć, że śnili ten sam sen. Przekonywał się jednak, że musiał to być wpływ tego niezwykłego miejsca.

Alicia zdawała się nie widzieć żadnych niedostatków posiłku. Była poruszona faktem, że sama go przygotowała i nie przeszkadzały jej tłuste ziemniaki ani gumowate jajka.

Kiedy skończyli jeść, John zaczął zbierać naczynia.

- Ty gotowałeś, ja zmywam - oświadczył.

Nie protestowała, bo skaleczenia piekły coraz bardziej, więc nie chciała ich moczyć.

- Dziękuję. Jeśli ci to nie przeszkadza, to położę się na chwilę.

- Dobrze się czujesz? - spytał zaniepokojony.

- Wszystko w porządku, tylko, jak wiesz, nie spałam dobrze.

- Rozumiem. - Kiwnął głową. - Idź więc odpocząć. Będę w pobliżu.

Rzuciła mu przeciągłe spojrzenie i wyszła.

Westchnął, oceniając rozmiary bałaganu, i metodycznie zaczął sprzątać. Gdy skończył, przeszedł do sypialni Alicii, by sprawdzić, jak się ma. Spała zwinięta w kłębu-szek. W pokoju było chłodno, przykrył ją więc ciepłym kocem i zmusił się, żeby wyjść. Najchętniej wsunąłby się obok niej i powoli, centymetr po centymetrze poznawał jej ciepłe, szczupłe ciało.

Nie mógł jednak tego zrobić, i to nie tylko ze względu na zasady. Wciąż jeszcze nie przygotował się na spotkanie z nieznanym gościem.

Richard zasunął walizkę, klepnął się po kieszeni, żeby sprawdzić, czy dokumenty są na miejscu, i uspokojony zszedł na dół.

Helga już czekała na niego z płaszczem i kapeluszem w rękach.

- Będę w kontakcie - powiedział, odbierając od niej rzeczy. - Dbajcie o dom.

- Oczywiście, panie Schloss. Miłej podróży.

- Dziękuję. - Pożegnał się i wyszedł.

Wiedział, że kiedy znów się tu pojawi, będzie po kolejnej przemianie, tym razem znacznie poważniejszej niż ogolenie włosów.

Na lotnisku bez problemów przeszedł wszystkie punkty kontrolne. Jeszcze zanim usiadł w wygodnym fotelu pierwszej klasy, z satysfakcją myślał o tym, jak łatwo mu szło z realizacją planu, z drugiej jednak strony czemu się dziwić, skoro przygotowywał go od lat.

Po starciu poprosił o kawę i zajął się lekturą „New York Timesa”. Nagłówki krzyczały o poszukiwaniach zdrajców kraju, a pierwsza strona ukazywała jego zdjęcie. Przeczytał artykuł o dotychczasowych doniesieniach FBI w tej sprawie i drugi o śmierci Jacoba. To tylko umocniło jego decyzję.

Nie mógł uwierzyć, że jego świat, pełen władzy i przywilejów, tak szybko runął. Jeszcze niedawno pił z Jacobem drinka w swoim biurze, a teraz przyjaciel już nie żyje, a on sam przebył pół świata, uciekając i starannie zacierając za sobą ślady.

Upił łyk kawy i przejrzał resztę gazety.

- O której lądujemy w Lucernie? - spytał stewardesę.
- Za dwie godziny - odparła, zabierając pustą filiżankę.
- Dziękuję. - Złożył gazetę, przymknął oczy i zasnął.

Padał gruby, mokry śnieg. Płatki były ogromne i zimne, bardzo zimne. Krew sączyła mu się z uszu i kącika ust, a gdy próbował nabrać powietrza, brzmiało to jak turkot. Czuł, jak z każdym oddechem ulatnia się z niego życie. Umierał.

Jak wiele razy przedtem.

Wspomnienia były niewyraźne, ale był pewien, że naprawdę przeżył to wszystko. Nie wiedział, kiedy i gdzie, ale z całą pewnością umierał już z takim poczuciem złości i frustracji. Już kiedyś był tak blisko celu, ale zawsze ginął albo przypadkiem, albo z ręki tych, którym powinien był ufać.

Tym razem musiał umrzeć, bo padał śnieg, a on miał kilkanaście połamanych kości. Bał się. Bardzo się bał.

Zakrztusił się, wypływając kolejny strumień krwi na śpiwór.

Cholera, ta wyprawa miała mu przynieść duże pieniądze. Wreszcie naprawdę duże pieniądze. I wszystko przepadło przez jeden niewłaściwy krok w burzy śnieżnej.

- Nie zostawiajcie mnie - błagał kolegów.
- Przyślemy pomoc - powiedział któryś z nich, nie patrząc mu w oczy.

Szybko pozbierali swoje rzeczy i wyszli z namiotu.

- Nie! - krzyknął i wzdrygnął się, przeszyty ostrym bólem.

Raz jeszcze rzucono go na pożarcie losowi. I zrobili to ludzie, którym ufał.

Richard jęknął i przebudził się gwałtownie. Serce waliło mu nierówno. Musiał się poruszać, by sprawdzić, czy panuje nad ciałem. Wyciągnął nogi i z ulgą stwierdził, że to był tylko sen. Jego ciało było sprawne jak zawsze. Nadal jednak nie potrafił się uspokoić.

Oparł się o zagłówek i przymknął oczy. Miewał podobne sny przez całe życie, zawsze w tym samym klimacie. Balansował na krawędzi wielkości, lecz tylko po to, by upaść tuż przed metą.

Nagle w kabinie zapaliło się światło i Richard usłyszał, jak stewardesa instruuje pasażerów przed lądowaniem. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Jego plan działał bez zarzutu. Był coraz bliżej osiągnięcia celu.

Następne godziny John spędził na ustawianiu sieci niewykrywalnych urządzeń alarmowych. Zamontował czujniki laserowe zasilane energią słoneczną. Gdyby ktokolwiek przekroczył linię, włączyłby się alarm w jego sypialni. Nie było sposobu, żeby niepostrzeżenie wdrzeć się na teren posiadłości.

Przez chwilę rozważał ucieczkę, ale w końcu odrzucił ten pomysł. Alicia i tak nie będzie nigdzie bezpieczna, dopóki jej ojciec pozostaje na wolności, a nie sądził, żeby gdziekolwiek zdołali się przed nim ukryć.

Był już zmęczony upływem czasu, trwającym wieki bezowocnym polowaniem. Chciał, żeby to się wreszcie skończyło, ale jednocześnie zamierzał zrobić wszystko, by wróg zginął z jego ręki.

Po kilku godzinach pracy z satysfakcją stwierdził, że zrobił wszystko, co możliwe, by zapewnić Alicii

bezpieczeństwo. Zebrał narzędzia, potem sięgnął po lornetkę i dokładnie obejrzał okolicę. Zamierzał już wrócić do domu, gdy kątem oka wyłapał jakiś odległy błysk. Wkrótce błysk się powtórzył, jakby słońce odbijało się od szyby samochodu albo od soczewek lornetki. Tylko że tam nie było żadnych domów ani dróg. Nie było powodu, by ktokolwiek tam przebywał, chyba że chciał się ukryć.

- Cóż... Trochę za wcześnie się pojawiaasz - mruknął do siebie. - Ale nie śpiesz się. Będę czekał.

- Do kogo mówisz? Drgnął zaskoczony.

- Hej! - odparł lekko. - Nie wiedziałem, że już się obudziłaś. Lepiej się czujesz?

- Tak, dzięki. No, więc... do kogo mówiłeś? - nalegała Alicia.

Spojrzał znowu na góry. Cokolwiek to było, poruszało się. A niech to...

- Do siebie. Tak to już jest z tymi, którzy żyją samotnie - odparł z uśmiechem.

Przysłoniła oczy dłonią, żeby lepiej go widzieć. Był dla niej jedną wielką zagadką. Nie zdradzał swych uczuć, nie miała pojęcia, co myśli, nie potrafiła się z nim porozumieć.

- A właściwie dlaczego? - spytała, patrząc na niego uważnie.

- Co dlaczego?

- Żyjesz samotnie? Wzruszył ramionami.

- Bo tak lubię.

- Nie chcę wściubiać nosa... ale ile czasu minęło... to znaczy kiedy twoja rodzina... - Westchnęła. - A niech to... jednak wściubiam nos. Zapomnij.

Weszła szybko do środka i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Jeszcze raz spojrzął na góry. Do zmroku nic się nie wydarzy, tego był pewien. Ktokolwiek to był, będzie chciał działać przez zaskoczenie, a do tego domu nie dało się niepostrzeżenie zbliżyć za dnia.

Ma więc jeszcze trochę czasu, zanim rozpęta się piekło.

Też wszedł do domu i skierował się do kuchni. Alicia właśnie wyjmowała z lodówki puszkę coli.

- Też chcesz?

- Tak, poproszę. - Odłożył lornetkę na blat stołu i usiadł.

Patrzył, jak rozlewała napój do szklanek i dorzuciła kostki lodu. Podała mu, usiadła, upiła łyk i wskazała lornetkę.

- Dlaczego nie mówisz mi wszystkiego? Odwrócił wzrok, lecz zaraz spojrzął jej prosto w oczy.

Nie chciał oszukiwać Alicii.

- Widzisz... Ten samolot dzisiaj...

- Szukali nas, prawda? Szukali mnie...

- Tak mi się wydaje.

- A co dostrzegłeś przed chwilą?

- Słońce odbijające się od jakiejś szklanej powierzchni. Dziwne.

- Może to tylko jakiś samochód?

- Tam nie ma dróg ani domów. To kompletne pustkowie.

Zacisnęła dłoń na szklance. Bała się zapytać, ale musiała wiedzieć.

- Czy w tym samolocie był Dieter?

- Nie, ale to jeszcze nic nie znaczy. Tego faceta w hotelu też nie znaleźliśmy, a przecież zjawił się... by wykonać zlecenie.

- Co teraz będzie? Wyjeżdżamy?

205

- Myślałem o tym, ale instynkt podpowiada mi, żeby tu zostać i stawić im czoło.

Oparła się na krzesło, z uwagą patrzyła na Johna. Przesuwała wzrokiem po mocnym podbródku, wysokich, rzeźbionych kościach policzkowych i ciemnych oczach rzucających tajemnicze błyski. Nie wyglądał na człowieka, który się cofa.

- Nie chcę być odpowiedzialna za twoją śmierć... Tak bardzo pragnął wyznać jej prawdę! Ale wiedział,

że cokolwiek wyzna, zabrzmiałoby jak opowieść szaleńca. Alicia i tak ma dość stresów, nie powinna jeszcze martwić się jego zdrowiem psychicznym.

- Od dawna już jestem na tym świecie i przeżyłem już kilka paskudnych historii - zapewnił spokojnie.

- Nie tak łatwo mnie zabić.

Zadrżała, wspominając blizny na jego ciele i to, jak rany postrzałowe zamykały się niemal na jej oczach.

- Sporo o tym myślałam... - powiedziała ostrożnie.

- Wyobrażam sobie. - Uśmiechnął się tylko enigmatycznie.

- Jak ty to robisz, John? Jakim cudem twoje ciało... Jak on nie lubił takich rozmów.

- Kiedyś komuś powiedziałem, że studiowałem u dalajlamy, który nauczył mnie, jak uzdrawiać ciało i kontrolować krwawienie.

Odstawiła szklankę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Też dostanę taką odpowiedź?

- Mniej więcej... Westchnęła zrezygnowana.

- A jeśli zapytam o coś innego? Odpowiesz mi szczerze?

- To zależy...

200

- Czy zanim się spotkaliśmy, wiedziałeś, że ojciec sprzedaje nielegalnie broń?

- Nie. Dlaczego tak pomyślałaś?

- Cóż... powiedziałaś, że zabił twoją żonę. Myślałam, że może to przez tę broń...

Uciekł wzrokiem, zmusił się jednak, by spojrzeć na Alicję.

- To było dawno temu - powiedział zduszonym głosem. - Ale złożyłem przyrzeczenie, że zanim umrę, odnajdę człowieka, który ich zabił. Tyle tylko, że zajęło mi to więcej czasu, niż przypuszczałem. To wszystko.

- Nie rozumiem... Byli gdzieś poza krajem?

- Nie. To on był obcy na ich ziemi. - Przetarł twarz dłońmi. - Alicio, daj temu spokój. Nie byłabyś w stanie uwierzyć... czasami sam tego nie rozumiem.

Cała drżała. Miała ogromną ochotę podejść i przytulić się do niego. Wiedziała, że jego bliskość uśmierzyłaby jej niepokój i miała nadzieję, że jest w stanie dać mu to samo. Było to tak silne uczucie, że niemal czuła ból. Co za ironia losu! Gdy wreszcie spotkała mężczyznę, z którym chciałyby spędzić resztę życia, okazuje się, że jej ojciec jest odpowiedzialny za tragedię rodziny Johna...

Usłyszała jego spokojny głos:

- Wszystko będzie dobrze. Obiecuję. Pokręciła głową.

- Nie, nie będzie. Właśnie zrozumiałam, że każdy dzień zbliża mnie do śmierci. I czy w końcu umrę ze starości, czy też skończy ze mną kochany tatuś, nie zmienia to faktu, że wpakowałam się w niezłe tarapaty.

- Hm... Mówisz zagadkami.

- Kto jak kto, ale akurat ty nie powinieneś mieć o to pretensji. - Gwałtownie odstawiła krzesło i wyszła z kuchni.

Poszedł za nią, zaraz jednak skręcił do swojego gabinetu i uruchomił wszystkie systemy alarmowe, zarówno w domu, jak i wokół niego. Nie chciał, żeby ich rozmowa tak się zakończyła, ale też nie mógł pozwolić, by przerwał im ktoś niezapowiedziany. Dopiero gdy był pewien, że są bezpieczni, ruszył na poszukiwania Alicii.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Strach ścisnął jej żołądek i tamował oddech. Z ostrożnych odpowiedzi Johna zrozumiała, że spodziewa się ataku zbirów nasłanych przez ojca. I nawet fakt, że przyjdą tu pewnie nie wcześniej niż o zmroku, niezbyt ją pocieszył. Zyskiwała kilka godzin spokoju, ale czekała ją kolejna noc pełna lęku. Czy kiedykolwiek znajdą miejsce, w którym będą mogli się ukryć? Może los zakpił z niej, dając na chwilę złudne poczucie bezpieczeństwa przy Johnie... Czy w ogóle miała szansę na jakąkolwiek przyszłość?

Dobrze знаła swojego ojca i wiedziała, że nigdy nie rezygnuje, zwłaszcza jeśli kierowała nim zemsta. Nigdy nie było między nimi zbyt wiele czułości, a i to umarło wraz ze śmiercią matki. Potem tylkołożył na wychowanie i edukację córki, ale nigdy nie poświęcał jej czasu ani nie okazywał uczuć. Dlatego nie wątpiła, że żadne sentymenty nie przeszkodzą mu w realizacji okrutnego planu. Bo bez wątpienia był to okrutny plan. Nikt nie może przecież bezkarnie doprowadzić do upadku króla, nawet księżniczka z jego krwi.

Potwornie znużyli ją faceci skrywający swoje sekrety,

dlatego tak bardzo drażniło ją zachowanie Johna. Kiedy ją w końcu odnalazł i prosił, żeby zaczekała, coś w niej pękło.

Zatrzymała się w holu, a potem odwróciła gwałtownie. Dłonie miała zaciśnięte w pięści, jakby szykowała się do starcia. Uniosła brodę i spojrzała na niego ostro.

- Na co mam czekać? Aż przyjdzie kolejny zabójca? A może... - Zmrużyła oczy i syknęła: - Och, już rozumiem! Będziesz mną wymachiwał jak przynętą tak długo, aż w końcu ojciec zjawi się tu osobiście. I wtedy wreszcie będziesz mógł go dorwać!

Jej oskarżenie było jak policzek. Poświęcił swoje cele, żeby ją ratować, a ona tak mu się odwdzięcza? Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Nie używam cię jako przynęty - stwierdził pozornie łagodnym tonem. - O czym doskonale wiesz. Twój ojciec najpewniej jest daleko stąd, nie ma więc szans, żeby się tu zjawił. Ale jeśli czujesz się wykorzystana, to proszę, droga wolna. Możesz stąd odejść w każdej chwili.

Ostre słowa wbijały się w jej serce. Oczy Johna pałały gniewem, dłonie mocno ścisnęły jej ramiona. Powinna się go przestraszyć, ale nie umiała przestać myśleć o tym, że jego ciało jest tak blisko. Mogła wyciągnąć rękę i dotknąć twardych mięśni, pogłodzić podbródek. Wciąż pamiętała, jak wyglądał nago i jak łagodnie trzymał ją w ramionach.

Odejdź, zanim zrobisz coś głupiego, mówiła sobie.

Jej ciało jednak nie zamierzało jej słuchać. Wyciągnęła dłonie i czule ujęła jego twarz.

- John... - wyszeptała z nieskrywanym pożądaniem. Drgnął, a potem chwycił ją za nadgarstki.

- Kobieto... Wiesz, co robisz?

Słyszała ostrzeżenie w jego głosie, ale to jej nie zatrzymało.

- Jestem taka zmęczona... - powiedziała cicho. - Ucieczką, nieustannym strachem... Wiem, że dla ciebie to nic nie znaczy... I nie proszę o nic trwałego. Chcę tylko zapomnieć... Choć na chwilę... Pragnął jej, czuła to. Nie kochał jej wprawdzie, a ona nie miała zamiaru wiązać się z facetem, który bez reszty poświęcił się rozliczaniu z przeszłością. Wiedziała jednak, że mogli dać sobie chwilę beztroskiej radości i zapomnienia, a o nic więcej jej nie chodziło.

- Proszę... - wyszeptała.

Zawahał się, zaraz jednak ściągnął z Alicii koszulkę, odpiął szorty... i już tulił ją nagą w swoich ramionach.

Tak bardzo go pragnęła, aż do bólu. Nigdy żaden mężczyzna nie wzbudził w niej takiej żądzy.

Uniósł ją lekko i kopnięciem otworzył drzwi do swojej sypialni. Drżała z pragnienia, kiedy kładł ją na łóżku.

- Pośpiesz się - błagała. - Nie chcę czekać.

W jednej chwili oswobodził się z ubrań. On też nie chciał czekać.

Szaleńczo spragnieni, zwarli się w miłosnym uścisku, połączeni, już gnali ku spełnieniu. Alicia zatraciła się w rozkoszy. Uleciała gdzieś wysoko, niesiona błogimi doznaniem, niesłychaną energią Johna i własną, z nagłą obudzoną siłą. Nie był to delikatny miłosny akt. Wręcz przeciwnie. Był zachłanny, na granicy brutalności. Aż do swego apogeum.

Jej erotyczna dzikość budziła w nim zwierzęce pożądanie. Kiedy wreszcie je zaspokoił, zaskoczyły go towarzyszące temu emocje. Choć na początku kierowała nim tylko żądza, teraz wszystko się zmieniło.

Oddychał

ciężko, ale wcale nie czuł się nasycony. Wprost przeciwnie, po raz pierwszy od wieków czuł, że nigdy nie będzie miał jej dość. Co więcej, nagle znikło gdzieś towarzyszące mu zawsze poczucie osamotnienia. Z ramionami Alicii wokół szyi i jej nogami splecionymi na jego biodrach czuł się cudownie. Jakby dotarł do domu...

Opadł na nią, kryjąc twarz w ciepłym załamaniu szyi. Załkała cicho. Nie wiedział, czy to płacz smutku, czy radości, nie rozumiał, co się z nią dzieje, ale ten dźwięk poruszył go głęboko. Pocałował ją w policzek, w mokre oczy.

- Alicia... maleńka... - szepnął.

- Ciii... proszę... Nic nie mów. Podaruj mi ten czas, błagam. Udawajmy, że to dla ciebie znaczyło tyle samo, co dla mnie.

Uniósł się na łokciu, ujął w dłonie jej zapłakaną twarz.

- Nie ma żadnego udawania - powiedział miękko, muskając ustami jej usta. - Nie przypuszczałem, że tak się stanie, ale nie chcę o tym zapomnieć. Nigdy!

Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Po tylu latach, gdy sądziła, że nie znajdzie pokrewnej duszy, czyżby John Nightwalker miał być tym jedynym? Serce podpowiadało jej, że może tak być, ale czuła się zbyt wyczerpana, by się nad tym zastanawiać.

A potem John znów pochylił się nad nią, szepnął jej coś do ucha i zabrał ją do tego cudownego miejsca między niebem a ziemią, gdzie mogą dotrzeć tylko kochankowie.

Kiedy się przebudził, było już niemal ciemno. Alicia przytuliła się do niego tak ciasno, że nie mógł wstać, nie budząc jej. Westchnął więc tylko i przyciągnął ją jeszcze bliżej.

Poczuł jej pełne piersi, płaski brzuch i długie nogi, i pomyślał, że może jednak powinna już się obudzić...

I właśnie w tej chwili usłyszał sygnał alarmu. Dyskretny dźwięk oznaczał śmiertelne zagrożenie. Ktoś wszedł na teren posiadłości.

- Alicia! - Szarpnął ją za ramię.

- Co? - spytała nieprzytomnie. - Co się dzieje?

- On tu jest!

Zerwał prześcieradło z łóżka, owinął ją i poprowadził do garderoby.

- Co robisz?! Zaczekaj!

- Cicho! - Rozsunął wieszaki z ubraniami, nacisnął ukryty w ścianie guzik i otworzyły się małe drzwiczki. - Słuchaj uważnie. Ukryj się tam. Na prawo zobaczysz światelko, zaraz za drzwiami. To stary schron przeciw-atomowy. Był już tutaj, kiedy kupowałem tę ziemię, dom jest na nim zbudowany. Jest tam zapas żywności i wody, na łóżku znajdziesz też koce. Wejdziesz tam i nie wychodź, dopóki po ciebie nie przyjdę.

Popchnął ją lekko i sprawdził, czy poradziła sobie ze znalezieniem kontaktu. Mieli jeszcze czas tylko na ostatnie, pełne napięcia spojrzenie, a potem zatrzasnął za nią drzwi.

Owinięta prześcieradłem zeszła po betonowych schodach, starając się nie upaść. Pod ścianą dostrzegła wąskie łóżko, usiadła więc na nim, objęła kolana rękami. Było zimno i cicho, przeraźliwe cicho. Nie miała pojęcia, co dzieje się na górze. A jeśli on nigdy nie wróci? Jeśli ona tu umrze? Półprzytomna z przerażenia próbowała powstrzymać łzy. Wiedziała, że pozostało jej tylko się modlić.

John tymczasem szybko włożył spodnie i buty, wsunął nóż za cholewkę i wyślizgnął się przez frontowe

drzwi. Zróżnicowane sygnały czujników podpowiadały mu, z której strony intruz wtargnął na jego ziemię.

Pozwolił sobie na ostatnią ciepłą myśl o kobiecie, która była w samym centrum tego piekła. A potem odetchnął głęboko, przegnał wszelkie emocje i bezszelestnie ruszył w ciemność. Gdy odszedł już spory kawałek od domu, zatoczył duży krąg. Nagle dostrzegł, jak blask księżyca odbija się od metalu. To musiała być broń. Zatrzymał się, patrząc uważnie w tamtym kierunku, i czekał, aż sylwetka intruza objawi się w mroku. Kiedy cień zaczął przybierać konkretną formę, wyjął nóż. Teraz on był myśliwym.

Sam Watkins był z siebie bardzo zadowolony. Miał dużo szczęścia, udało mu się szybko zlokalizować cel. Już zdecydował, że to zlecenie będzie jego przepustką do emerytury. Wyjedzie do Meksyku, gdzieś na wybrzeże, kupi wygodną hacjendę i znajdzie sobie ładniutką seno-rite, która będzie grzała mu łóżko i gotowała jedzenie. Tak, to była kusząca wizja.

Musiał tylko wykonać tę ostatnią robotę.

Coś poruszyło się z prawej strony. Zatrzymał się na chwilę, ale rozpoznał dźwięk, który słyszał już wiele razy, odkąd wysiadł z pozostawionego daleko samochodu. Po drodze spotkał już z pół tuzina kojotów, jaszczurek, a nawet sowę. To pewnie był kolejny kojot, pomyślał i uspokojony zwrócił swoją uwagę na dom.

Z żadnego okna nie dolatywał blask świateł. Uśmiechnął się zadowolony. Albo już spali, albo w inny sposób uprzyjemniali sobie czas. Teraz musi tylko odnaleźć i rozbroić system alarmowy i droga będzie wolna.

Ostatnie, czego się spodziewał, to klepnięcie w ramię. Nim zdążył się odwrócić, poczuł, że ktoś wyjął mu broń

- z kabury, a on sam leży z twarzą w pustynnym piasku. Potężna dłoń nie pozwalała mu się poruszyć.
- Jesteś nieproszonym gościem - powiedział miękko John, wodząc ostrzem noża po jego karku.
 - Słuchaj... - zaczął Sam, mając nadzieję na negocjacje. Nie kupi hacjendy, ale wykupi swoje życie, na to liczył.
 - Nie, to ty słuchaj. Chcę usłyszeć odpowiedź na dwa pytania, w przeciwnym razie wbiję ci ten nóż między trzecim a czwartym kręgiem. Nadal będziesz żył, ale już nigdy nie poruszysz żadnym mięśniem od szyi w dół.
 - Boże, nie! - jęknął przerażony.
 - Zabawne... Wzywasz Boga, by ocalił twoje życie, a sam przyszedłeś tu, by pozbawić go innych. Sam oblał się zimnym potem. Zupełny brak emocji w głosie tego człowieka był przerażający.
 - Będę mówił. Tylko zabierz nóż, błagam.
 - Wiem, że przyjechałeś zabić Alicję Ponte. Kto cię wynajął?
 - Jej stary.
- John właściwie był tego pewien, a jednak wzdrygnął się na tę informację.
- Za ile?
 - Dwa miliony.
 - Szkoda, że nigdy ich nie wydasz - mruknął John, a potem uderzył Sama w głowę rękojeścią noża. Gdy ciało zwiotczało, wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Wybrał numer i czekał. Wreszcie, po kilku długich sygnałach usłyszał zaspany głos po drugiej stronie.
 - Do diabła, John, wiesz, która jest godzina?
 - Ejże, staruszkule, wyskakuj spod kołdry. Ponte nasłał kolejnego zabójcę.

- Co z wami? Wszystko dobrze? Potrzebujecie czegoś? - Corbin był już całkiem przytomny i pełen energii.
- Mam wszystko pod kontrolą.
- Chwała Bogu! Mogłem się domyślić, że sobie poradzisz. Dlaczego dzwonicz?
- Chyba czas powiadomić twoich kolegów z FBI. Ten człowiek może wiedzieć, gdzie jest Richard Ponte, a w każdym razie naprowadzić na jakiś trop.
- Jasne! Powiedz, gdzie jesteś i jak się tam dostać. Zadzwoń, gdzie trzeba.
- W mojej posiadłości na pustyni, na północ od Sedony.
- Podaj mi namiary. - Corbin zanotował wskazówki i dodał: - Pewnie minie kilka godzin, zanim tam dotrą. Będziesz na miejscu?
- Oczywiście.
- John, jeszcze jedno...
- Tak?
- Nie zabijaj go.
- Gdybym chciał to zrobić, tobym zrobił, a nie dzwonił do ciebie.
- Jasne... Już zawiadamiam, kogo trzeba.
- Czekam na was.

Schował telefon do kieszeni, przewrócił bezwładne ciało na plecy, chwycił za kostki i zaczął ciągnąć do domu.

Alicia była tak przerażona, że prawie nie mogła oddychać. Nie miała pojęcia, ile czasu już tu siedziała. Nie dobiegały tu żadne dźwięki, nie docierało światło. Musiała zaufać temu, co powiedział John. Nigdy dotąd jej nie zawiódł i miała nadzieję, że teraz też tak będzie.

Przypomniała sobie niedawne chwile wspólnej na-

miętności. Po raz pierwszy w swym życiu przeżyła coś tak przejmującego. Wiedziała, że już nic nie będzie takie samo. Miłosne chwile wstrząsnęły nią, poruszyły najtajniejsze zakamarki duszy. Pragnęła tego mężczyzny tak bardzo, jak nie pragnęła jeszcze nigdy niczego. Chciała z nim żyć, starzeć się, przeżywać smutek i radość, jednak nie potrafiła wymazać z pamięci wzruszenia, z jakim patrzył na portret zmarłej żony. Bała się, że nigdy nie pokocha jej tak, jak kochał Białą Sarenkę. Chętnie jednak zostałaby tą drugą. Mogła kochać za nich oboje. Nie była tylko pewna, czy on w ogóle zamierzał się z kimś wiązać.

Nagle usłyszała czyjeś kroki w pomieszczeniu nad nią. Zamarła przerażona. Nie miała pojęcia, czy był to John, czy morderca.

Po chwili drzwi otworzyły się głośno. Spojrzała z napięciem. Po schodach szybkim krokiem zbiegał mężczyzna, na widok którego jej serce drżało z tęsknoty. Zerwała się z łóżka. Prześcieradło opadło na podłogę, gdy rzuciła mu się w ramiona.

- Nic ci nie jest? - zapytała niespokojnie, przebiegając opuszkami palców po jego twarzy. Zerknęła na ubranie, szukając śladów krwi.

- Wszystko w porządku. - Podniósł prześcieradło i owinał ją. - Jesteś przemarznięta, dziecino.

- Czy to koniec?

- Jeszcze nie, to już nie potrwa długo. Powinnaś się ubrać, bo będziemy mieli towarzystwo.

- To znaczy? - zdziwiła się.

- Przyjadą agenci federalni. Chodź ze mną. Nie chciałbym zostawiać naszego... gościa zbyt długo samego.

Jej oczy rozszerzyły się z niedowierzaniem, gdy

prowadził ją do sypialni. Stała przy jego łóżku, gdy John wyciągał coś z szafki.

- Przeprowadziłeś go do domu? - spytała zdumiona. - Człowieka, który chciał mnie zabić?

- Leży mocno związany na tylnym tarasie. Ubierz się i przejdź tam. Ja już tam idę - powiedział, ale zanim opuścił pokój, znalazł chwilę, żeby objąć ją w talii i przyciągnąć do siebie. Pocałował ją mocno i wybiegł z pokoju.

Gdy Sam Watkins się ocknął, jedyne, co widział, to nocne niebo nad sobą. Chwilę trwało, nim uświadomił sobie, co się stało. Ręce i nogi miał związane tak mocno, że zupełnie zdrtwiały.

Dostrzegł zarys sylwetki. Ktoś siedział na krześle obok.

- Więc za dwa miliony dolarów podjąłeś się mnie zabić? A ile byś chciał za załatwienie mojego ojca? Był zaskoczony, słysząc kobiecy głos, ale jeszcze bardziej zdumiało go pytanie. Czyżby proponowała mu układ? Przez chwilę błysnęła w nim nadzieja, że jednak jakoś się z tego wywinie.

- Tyle samo - odparł.

- Czyli ile dokładnie?

- Dwa miliony. On ma...

- Wiem, co on ma - przerwała mu Alicia. - John, nagrałeś zeznanie?

- Każde słowo - zapewnił John.

Sam Watkins wygiął się, spojrzał za siebie i rozpoznał sylwetkę człowieka, którego spotkał już na pustyni.

- Sukinsyn! - zaklął.

- Mówisz o sobie, jak rozumiem - rzuciła Alicia. Nagle uniosła wzrok. - Słyszę helikopter. John, czy to mogą być oni?

- Na to wygląda. - Siegnął po pilota i po chwili cały teren wokół domu został zalany silnym światłem. Oślepiiony Sam zmrużył oczy. Po chwili bezradnie rozejrzał się wokół. Nic już nie mógł zrobić, przegrał. Zastanawiał się, z czego wynikał jego błąd. Częściowo z chciwości, to na pewno. Ale również z tego, że bezkrytycznie wierzył we własną niezawodność i szczęśliwą gwiazdę.

Nie docenił wroga. Z żalem pomyślał o dwóch milionach, hacjendzie nad ciepłym morzem i słodkiej senoricie. Wciąż miał jednak nadzieję, że zdoła wykupić swoje życie. Gdy jednak zobaczył lądujący śmigłowiec i wysypujących się z niego ludzi, zrozumiał, że wszystkie jego piękne plany runęły nieodwracalnie.

- Pieniądze zostały przelane Watkinsowi z numerycznego konta w Szwajcarii, co niestety nic nie mówi o tym, gdzie jest Ponte, choć wydłuża listę zarzutów wobec niego. Sędzia w Georgii, który wypuścił Dietera Bahna, jest umoczony. Teraz już Bahn nie może udawać, że działał nieświadomie i był tylko narzędziem w rękach swojego pracodawcy. Niestety, on również zniknął. Pewnie wzorem szefa wyjechał z kraju.

Alicia w milczeniu przysłuchiwała się każdemu słowu. John rozmawiał przez telefon z agentem Joshuą, ale z uwagi na nią włączył głośnik.

Minęły dwa dni, odkąd zabrano Watkinsa do aresztu. Dwa pełne napięcia dni, podczas których ona i John chodzili wokół siebie na paluszkach, by nie poruszyć najbardziej delikatnego tematu. Często się też kochali. Ale dokąd to prowadziło? Czy kiedy ta cała sprawa z ojcem się skończy, będzie to też kres ich znajomości?

O ile w ogóle wyjdzie z tego żywa. Kochał się z nią, ale nigdy z jego ust nie padły żadne deklaracje.

Przerwała te rozmyślenia, gdy usłyszała swoje imię, bowiem John spytał:

- Uważacie, że życie Alicii wciąż jest poważnie zagrożone?

Agent Joshua milczał przez chwilę, zanim odparł ostrożnie:

- Trudno powiedzieć. Wydaje się, że Ponte traktuje tę sprawę bardzo osobiście, a to wszystko zmienia.

Mamy na niego tyle dowodów, że zeznania Alicii są nam niepotrzebne. Zresztą poza podsłuchaną rozmową nic nie miała na ojca, choć oczywiście dzięki niej zaczęła się cała akcja. Ponte został ugotowany dzięki zeznaniom Jacoba Carruthersa, którego śmierć nic tu nie zmienia. Mamy zaprzysiężone świadectwo i dokumenty, w których są twarde dowody. Ponte doskonale wie, że jest już tylko zbiegiem, więc to, co robi teraz, to jego prywatna zemsta, prywatne emocje. Nie mam pojęcia, czy grozi jej kolejny atak, trzeba by siedzieć w głowie jej ojca. Jednak za pieniądze, a Ponte je ma, ludzie robią różne rzeczy, a płatnych zabójców nie brakuje pod żadną szerokością geograficzną... John spojrział na Alicię. Była wytrącona z równowagi. Kto zresztą by nie był? Uznał, że usłyszał już wszystko, co chciał usłyszeć, więc czas kończyć tę rozmowę.

- Jasne. Rozumiem.

- A jakie są wasze plany? - spytał Joshua.

Znów na nią spojrział. Odwróciła wzrok, wzruszając ramionami.

- Nic jeszcze nie postanowiliśmy, ale jeśli stąd wyjedziemy, dam wam znać. I przy okazji podziękujcie

213

Woodliffowi, że tak szybko sprowadził tu waszych chłopców.

- Wygląda na to - odparł rozbawiony Joshua - że jeśli nie chcemy złamać prawa pracy, będziemy musieli wciągnąć Woodliffa na listę płac, taki jest aktywny.

- Nic z tego - ze śmiechem odparł John. - Macie za dużo zasad, a Woodliff nie bardzo wie, co to czysta gra.

- Racja! Nie raz nam zalazł za skórę. Ale za tę sprawę otrzymał rozgrzeszenie i błogosławieństwo naszego szefa.

- Święty Corbin, a niech to... No, dzięki za wszystko. - John odwiesił słuchawkę, obrócił się do Alicii i skrzyżował ręce na piersi. - Mów do mnie - powiedział, patrząc na nią uważnie.

- O czym? - spytała, uciekając wzrokiem.

- Nie odwracaj się ode mnie. Skrzywiła się lekko.

- A ty mi nie mów, co mam robić.

- Jest coś, co powinnaś o mnie wiedzieć... To przyciągnęło jej uwagę.

- Tak?

- Jeśli coś ma być między nami, musisz zmierzyć się z tym teraz albo raz na zawsze dać sobie ze mną spokój.

- Jeśli... - powtórzyła niepewnie. - Mówisz tak, jakbyś zakładał, że może coś być...

- Ach... - mruknął miękko. - Teraz rozumiem.

- Tak? - zdziwiła się. - To masz szczęście. Oświeć mnie, proszę, bo ja nic nie rozumiem.

Stanął przed nią, ujął jej ręce i zmusił, by też wstała.

- Słuchaj uważnie - powiedział z powagą - bo nie mówiłem tego kobiecie od bardzo dawna. Kiedy się kochaliśmy, wydarzyło się między nami coś szczególnego. Coś, czego nie chcę stracić. Wiem, że przed nami

jeszcze trudna walka, ale kiedy się skończy, a obiecuję, że się skończy, o coś cię spytam.

To, co mówił, wykraczało poza jej najśmielsze marzenia. Czyżby śniła? Może John był tajemniczy, władczy i gwałtowny, ale taki właśnie jej się podobał. W takim się zakochała.

- Jakie pytanie? - szepnęła. Uśmiechnął się.

- A jednak nie słuchałaś uważnie.

- Słuchałam...

- Powiedziałem, że zapytam dopiero wtedy, kiedy ten cały bałagan wreszcie się skończy.

Zmarszczyła czoło i mocno puknęła Johna palcem w pierś.

- Do diabła, potrafisz wkurzyć człowieka. Uśmiechnął się, lecz zaraz jego oczy pociemniały, a uśmiech znikł.

- Przez ciebie zapominam o moich przyrzeczeniach - wyszeptał. - Przyrzeczeniach, które muszę jeszcze wypełnić...

- Masz na myśli to, co mój ojciec zrobił twojej... Położył jej palce na ustach.

- Posłuchaj - wyszeptał miękko. - To, co ten człowiek zrobił mojej rodzinie, zdarzyło się dawno temu. Nie masz z tym nic wspólnego, nie ma w tym ani odrobiny twojej winy. Jesteś jego ofiarą, tak samo jak oni.

Dumała nad tym przez chwilę, aż jej oczy pokryła mgła wzruszenia.

- Och, John... - szepnęła, owinęła go ramionami, pocałowała w szyję.

Drgnął jak przeszyty błyskawicą. Oparł brodę na jej czole, rozpaczliwie starając się nie myśleć o Białej

Sarence, ale na próżno. Tak zawsze zapraszała do miłości.

Poczuła, jak gwałtownie się spała, i przestała go pieścić. Nie miała pojęcia, co takiego zrobiła.

- John?

Uniósł ją w ramionach.

- Chcę się z tobą kochać, Alicio. Muszę. I to zaraz. Odetchnęła. A więc wszystko w porządku.

- To na co czekasz? - spytała miękko.

Rozebrał się szybko i ułożył obok niej.

Zachwycona patrzyła na jego silne, wspaniale wyrzeźbione ciało. Jego skóra lśniła cudownym odcieniem brązu, a blizny, które początkowo tak ją szokowały, w tym świetle były ledwie widoczne.

Pieścił powoli ją całą, doprowadzając wrażliwe miejsca niemal do bólu. Ona zaś po chwili śmiało włączyła się do dzieła, ciesząc się na jego reakcję. Świadomość, że potrafi panować nad takim mężczyzną, była radosna i zdumiewająca. Wkrótce jednak nie liczyło się nic więcej poza pragnieniem, by wreszcie wszedł w nią i połączył ich ciała tak mocno, jak to tylko możliwe.

- Dość tej zabawy - mruknęła. - Weź mnie teraz. Rozpoczął cudowny taniec.

Kiedy zbliżała się do szczytu, całe jej ciało drżało, a to działało na niego jak najlepszy afrodyzjak.

Wbił się w nią głęboko, dał się unieść rozkoszy.

Alicia drżała z wyczerpania, ale też nigdy nie była tak szczęśliwa. Przepęłniały ją błogie uczucia.

Uniosła lekko głowę i pocałowała go w policzek.

- Dzięki tobie czuję się cudownie... Taka kochana... Uniósł się na łokciu i spojrzał jej w twarz.

- To nie tylko moja zasługa. To ty jesteś niesamowita.

Miuję cię, Alicio, bardziej niż możesz to sobie wyobrazić.

Westchnęła uszczęśliwiona, spojrzała na niego.

Patrzył na nią płonącymi oczyma, delikatnie gładził jej ciało. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę powiedział coś tak cudownego.

„Miuję” ... Takie urocze, staroświeckie słowo...

- Kocham cię, John. - Rozchyliła usta, oczekując pocałunku.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Dieter zainstalował się w niewielkim hotelu w Nowym Jorku. Wybrał go ze względu na niepozorność i bliskość do stacji metra.

Siedział właśnie na kanapie, przeżuwał hamburgera i skakał po kanałach, gdy jego uwagę przykuły wiadomości podawane w jednym z programów informacyjnych. Próbował przełknąć kęs, ale niemal się zakrztusił. Odrzucił bułkę do pudełka i pogłośnił telewizor.

- Co, do cholery? - wyjąkał, z niedowierzaniem słuchając spikera.

- Samuel Todd Watkins, człowiek powiązany z przestępczością zorganizowaną, został wczoraj zatrzymany na próbie zabójstwa Alicii Ponte. Rzecznik FBI określa aresztowanie Watkina kolejnym krokiem do schwytania multimiliardera branży zbrojeniowej. Richard Ponte został oskarżony o zdradę USA. Nadal wprawdzie nie wiemy, gdzie przebywa, ale dla władz jest jasne, że Richard Ponte będzie podejmował kolejne próby zemsty na swojej córce, Alicii. Podobno Watkins zawarł układ z prokuraturą w zamian za obniżenie wyroku, choć i tak resztę życia prawdopodobnie spędzi za

kratkami. Według władz możemy spodziewać się dalszych aresztowań.

Dieter zeskoczył z łóżka, chwycił walizkę i zaczął bezładnie wrzucać swoje rzeczy. Już miał wyjść, ale ostrożność kazała mu najpierw podejść do okna. Nie zauważył wprawdzie nic podejrzanego, ale to nie znaczyło przecież, że jeszcze go nie namierzyli. Złapał walizkę i w rekordowym czasie zbiegł siedem pięter. Zanim znalazł się na ulicy, cały drżał. Ruszył biegiem po chodniku, roztrącając przechodniów. Wreszcie dopadł schodów prowadzących do metra i zmieszał się z tłumem podróżnych.

Klinika w Lucernie była niegdyś rezydencją panującego księcia. Teraz w eleganckich budynkach mieściło się znane w całym świecie centrum chirurgii specjalizujące się w zmianach płci i rekonstrukcji twarzy. Ośrodek znany był z najściślejszej dyskrekcji. Przez siedemdziesiąt pięć lat istnienia z jego usług skorzystało wiele sław, kiedy więc Richard tam przybył, był dla personelu tylko kolejnym ekscentrycznym pacjentem. Zażądał całkowitej operacji twarzy i słono za nią zapłacił. Przy okazji wszczepiono mu też implanty, które nadały mu wygląd kulturysty. Miał jednak jeszcze jedno życzenie, które zdumiało lekarzy. Przez lata personel ośrodka przywykł do najbardziej zdumiewających zleceń, ale nikt jeszcze nie żądał wydania resztek ciała pozostałych po operacji. Richard życzył sobie, by przekazano mu wszystkie tkanki, chrząstki i skórę, usunięte z jego ciała podczas operacji. Chirurg nie pytał o powód, tylko obiecał spełnić prośbę, oczywiście za dodatkową opłatą. Wszystkie usunięte fragmenty ciała zostały zamrożone i oczekiwały na dyspozycje Richarda.

Operacja trwała jednaście godzin, a potem jeszcze przez dwie kolejne wybudzał się z narkozy.

Siostra sprawdziła odczyty, podała środki przeciwbólowe i spytała:

- Panie Schloss... Słyszysz mnie pan? - Gdy jęknął głucho, dodała: - Już po operacji. Pana stan jest dobry.

- Mhm...

- Spokojnie, tylko spokojnie. Czy odczuwa pan ból? Mrugnął lekko.

- Zwiększę dawkę środka przeciwbólowego. Wkrótce poczuje pan ulgę - obiecała.

Już po chwili otaczające go głosy zaczęły się rozpląwać i zatonął gdzieś w nieświadomości.

- Jesteś szuja - mówiła drwiąco. - Obiecałeś mi szylinga, a mogłabym zażądać więcej. Sam przecież wiesz, ile jesteś wart dla Korony...

Zignorował prostytutkę, skoncentrowany na dopinaniu spodni, ale nie spodobał mu się jej ton. Te słowa brzmiały jak groźba, a on nie lubi groźb.

Rzucił garść monet pod jej stopy i obrócił się, by wyjść, gdy jego uwagę przykuł dziwny dźwięk.

Podbiegł do okna. Niedobrze, wszędzie wokół dostrzegł strażników królewskich.

- Coś ty zrobiła?! - wrzasnął.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wbiegli gwardziści.

- Brać go! - krzyknął ktoś, gdy wspinał się na parapet.

Ale on był już kiedyś w londyńskim więzieniu i ledwie przeżył. Nie chciał przechodzić przez to jeszcze raz. Szyba pękła z trzaskiem, gdy skoczył głową w dół. Czuł

piekące rany, a zaraz potem zalało go światło słoneczne. Ledwie słyszał dobiegające za nim krzyki. Całe życie walczył o to, aby panować nad swoimi poczynaniami. Nigdy nikomu nie ufał. Zawsze chciał więcej, niż w tych czasach mógł osiągnąć ktoś, kto się urodził w tak nędznym miejscu, jak on. A na koniec okazało się, że jedynym czynnikiem rządzącym jego życiem w ostatnich sekundach jest siła ciężenia.

- Pieprzyć wszystko! - wykrzyczał. A potem zapanowała ciemność.

- Nie! Nie chcę wracać do więzienia! - krzyczał Richard.

Poczuł, że ktoś chwytą go za dłonie i powtarza, żeby się uspokoił.

- Panie Schloss, panie Schloss! Jest pan w szpitalu, po operacji, pamięta pan? Wszystko dobrze, proszę się uspokoić.

Zastanawiał się, kim, do cholery, jest pan Schloss, i co zamierzają z nim zrobić. Ale te rozważania skończyły się wraz z kolejną dawką leku przeciwbólowego, który znowu zepchnął go w nieświadomość.

Dieter dotarł do Houston w Teksasie. Miasto było wystarczająco duże, żeby się w nim ukryć, a w dodatku był tu port, co dawało szansę na ucieczkę na pokładzie statku. Potrzebował tylko dokumentów, a nie miał tu żadnych znajomości. Przez ostatnie dwa dni bezskutecznie próbował skontaktować się z Richardem. Teraz mógł się jedynie ukryć i czekać, aż oddzwoni. A jeśli tego nie zrobi, to będzie jego koniec.

Wizje, które nawiedzały Richarda przez cały poprzedni tydzień, doprowadzały go niemal do szaleństwa. Za każdym razem, gdy podawali mu środki nasenne lub przeciwbólowe, śnił następny dziki sen. Zwykle rozgrywały się w przeszłości, wszystkie były bardzo realistyczne, wiernie odtwarzały najdrobniejsze szczegóły dotyczące historycznych ubiorów, języka, a nawet jedzenia. To było dziwne, bo historia nigdy go nie pociągała, nie mógł więc znać tych obrazów z podręczników. Ale najbardziej stresujące było to, że wszystkie dotyczyły umierania. Nie wierzył w przeznaczenie, ale bał się, że w ten sposób otrzymuje wskazówkę, by był przygotowany na najgorsze.

Trzymał telefon na małym stoliku przy łóżku, odebrał więc sekundę po tym, jak usłyszał dzwonek.

- Halo? - odezwał się z pewną obawą.

- Wreszcie! - Dieter odetchnął z ulgą. - Już od paru dni próbuję się z panem skontaktować...

- I w końcu ci się udało - uciał Richard. - Co się dzieje?

- Watkins nawalił. Indianiec go załatwił i oddał FBI. Według ostatnich wiadomości zgodził się zeznawać w zamian za lżejszy wyrok.

- Niemożliwe... - Richard przymknął oczy. Niedobrze, bardzo niedobrze. Kolejny raz Indianin okazał się lepszy. A co do Alicii, to jej fart zaczynał go doprowadzać do furii. Logika podpowiadała, że powinien dać spokój i skupić się na tym, by ułożyć sobie spokojne życie pod zmienioną tożsamością, ale był zbyt ogarnięty żądzą zemsty, żeby słuchać jakichkolwiek ostrzegawczych podszeptów.

- Watkins mnie wydał - ciągnął Dieter. - Ukrywam

się od jego aresztowania. Potrzebuję pieniędzy na nowe dokumenty, żeby wyjechać z kraju. Dieter usłyszał paskudne przekleństwo w słuchawce i zamarł. Czy to znaczy, że szef spisał go na straty?

- Przykro mi - powiedział szybko. - Watkins był najlepszy. Kto mógł przypuszczać, że nawali.

- To nie twoja wina - uspokoił go Richard. - Tylko Alicii. I tego Indianina, że moje pieprzone życie się rozpada! Nie mogę przesłać pieniędzy na twoje nazwisko, tylko czekają na taką okazję.

- Wiem...

Richard przebiegł w myślach imiona osób, które winne mu były jakąś przysługę. Nagle uświadomił sobie, że nie wie nawet, gdzie Dieter jest.

- Gdzie się zatrzymałeś?

- W Houston.

Uśmiechnął się. Wreszcie jakaś dobra wiadomość.

- Chyba będę miał kontakt dla ciebie. Bądź pod telefonem, zadzwoni do ciebie niejaka Isis. Jak się już wydostaniesz ze Stanów, zadzwoń do mnie. A w tym czasie...

Ale Dieter nie usłyszał już żadnego polecenia. Połączenie zostało nagle przerwane. Wrzucił więc telefon do kieszeni i postanowił coś zjeść. Poczul się wściekle głodny.

Richard rozłączył się bez ostrzeżenia, bo do pokoju wszedł lekarz.

- Dzień dobry, panie Schloss. Jak samopoczucie?

- Dobrze.

- To doskonale. Jest pan gotów na wielką chwilę?

- To znaczy? - spytał niepewnie.

- Czas już na zdjęcie bandaży.

Puls Richarda przyśpieszył gwałtownie.

- Wspaniale!

Doktor skinął na pielęgniarkę, która trzymała tacę z narzędziami i podszedł bliżej.

- Poproszę nożyczki - powiedział, wkładając parę rękawiczek chirurgicznych. Po chwili zaczął delikatnie przecinać opatrunki.

Richard leżał bez ruchu. Uważnie obserwował twarz lekarza i starał się wyczuć, czy operacja zakończyła się sukcesem.

Bandaże były zdejmowane warstwa po warstwie, aż powiew świeżego powietrza na skórze uświadomił mu, że jego nowa twarz już jest odsłonięta.

- Chcę zobaczyć - zażądał.

- Jeszcze chwila. - Doktor przetarł jego skórę środkiem bakteriobójczym. - Proszę przynieść lustro, siostró

- zwrócił się z uśmiechem do pielęgniarki. - Pan Schloss chce zobaczyć swój nowy wygląd. Anton, chyba będziesz miło zaskoczony.

Richard niecierpliwie złapał lusterko. Patrzył uważnie. Przez chwilę czuł się, jakby znów był w skórze kogoś innego, jak w jednym z tych szalonych snów. Ale na szczęście jedno się nie zmieniło. Oczy. Zielone, z krótkimi rzęsami. Poczul, że świat wrócił do równowagi. To był on. A cała reszta twarzy... był pewien, że nikt go nie rozpozna.

- Zdumiewające... - mruknął cicho.

- To prawda - zgodził się lekarz. - Wszczepiliśmy implanty, które nadały twarzy bardziej pociągły wygląd. Oczywiście usunęliśmy też zmarszczki i nadmiar tkanki. Zmieniliśmy kształt nosa i szerokość nozdrzy. Nie wszystkie zmiany może pan jeszcze dostrzec, bo skóra jest opuchnięta, ale obiecuję, że będzie pan zadowolony.

- Zaczął zdejmować opatrunki z piersi i ramion.

Richard nie wypuszczał z rąk lusterka. Implanty zmieniły znacznie kształt klatki piersiowej i bicepsów.

- Hm, wygląda całkiem nieźle - mruknął doktor, spoglądając na dreny. - Teraz je usuniemy, a potem założymy panu w kilku miejscach lepsze opatrunki.

Richard przesunął lusterko i uważnie oglądał swoje ciało. Czuł się lepszy, młodszy i znów niepokonany.

Kiedy lekarz wyszedł, jeszcze przez kilka chwil z podziwem patrzył na swój nowy wygląd, a potem odłożył lusterko i sięgnął po telefon.

Musiał zająć się wyciągnięciem Dietera z kłopotów.

Rozmowa z Isis wymagała wprawdzie pewnego wyrafinowania, ale tego Richardowi nigdy nie brakowało.

- Isis, telefon do ciebie!

- Zjeżdżaj, chłopcze, jestem zajęta. Mężczyzna ze słuchawką w ręku nawet nie drgnął.

- Lepiej odbierz - powiedział i dla pewności cofnął się o krok.

Isis przewróciła oczami, ale sięgnęła po telefon.

Była piękną czarną kobietą, ale miała pecha urodzić się w miejscu, gdzie można się tylko wybić albo zginąć, a ona postanowiła, że na pewno nie zginie.

Obecnie zarządzała wszystkimi prostytutkami nad Zatoką Meksykańską, kontrolowała dostawy narkotyków i broni z Kolumbii, nieobca jej była żadna dziedzina, która przynosiła zysk.

To właśnie przez handel bronią poznała Richarda. Szybko okazało się, że chciał od niej czegoś więcej, nie tylko współpracy przy przerzucie kilku skrzynek broni automatycznej czy ciężarówce amunicji dla karteli narkotykowych. Był zafascynowany zarówno jej urodą, jak i władzą, którą zdobyła. Nie uważała go za swojego

kochanka, ale gdy był w okolicy, spotykała się z nim. Słyszała oczywiście o ostatnich niepowodzeniach Richarda, ale nie zamierzała go osądzać. Jednak miała swoje grzechy na sumieniu i czuła się trochę niepewnie na myśl, że ich znajomość mogłaby ściągnąć na nią uwagę agentów federalnych. Gniewnie spojrzała na mężczyznę.

- Jeszcze tu jesteś?

Bez słowa podał jej aparat i wyszedł.

- Taa? - rzuciła do słuchawki.

- Isis?

Oddech zamarł jej w krtani, opanowała się jednak.

- Dzielny z ciebie popapraniec - powiedziała miękko.

- Też za tobą tęsknię - ze śmiechem odparł Richard.

- Po co dzwonisz?

- Potrzebuję przysługi.

- Nie ma mowy.

Obawiał się takiej odpowiedzi, ale nie miał wyjścia.

- Nie dla mnie... w zasadzie.

- A konkretnie dla kogo... w zasadzie?

- Dla Dietera. Potrzebuje pieniędzy i nowych dokumentów.

- To mnie nie dziwi. Zastanawiam się tylko, dlaczego myślisz, że mam ochotę wmieszać się w twoje popaprane sprawy? Nie jestem jakąś głupią cipą, żeby odwalać za ciebie brudną robotę!

- To nie fair - powiedział miękko Richard. - Nigdy tak o tobie nie myślałem. Traktowałem cię zawsze z godnością i szacunkiem... Nikt nawet się nie dowie, że mi pomogłaś.

- Przykro mi, ale w świetle prawa to się nazywa współudział i pomoc w przestępstwie, a ja nie zamierzam skończyć w więzieniu. Jasne?

- Jasne, moja piękności. Zawsze cię dobrze rozumiałem. I nigdy nie zamierzałem użyć tej karty, ale nie dajesz mi wyboru...

Isis spięła się, a potem gwałtownie wstała i zaczęła szybko chodzić po pokoju.

- Niech cię cholera, Ponte! - syknęła. - Przysiękłeś nigdy do tego nie wracać...

- I nie wrócę. Tylko rozważ moją prośbę.

Była tak wściekła, że aż drżała. Tylko raz odkryła przed kimś swój słaby punkt. Pech chciał, że był to Richard Ponte. Owszem, był dla niej miły, bo mu się to opłacało. Chciał się przespać z czarną i dostał to, a ona dostała w zamian wstęp do eleganckiego świata.

Ale on wiedział o Gabrielu, jej słodkim, dziesięcioletnim synu. Od chwili, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży, pragnęła urodzić to dziecko. Gdy poczuła jego pierwsze ruchy, zdecydowała, że jej syn musi żyć w lepszym niż ona świecie. A gdy zobaczyła jego piękną, niewinną twarzyczkę, zdecydowała, że nigdy nie dowie się, skąd pochodzi i kim była jego matka. Kiedy więc usłyszała o bezdzietnej afroamerykańskiej parze, która chciała adoptować czarne dziecko mające poniżej roku, uznała to za znak od losu.

On był obiecującym młodym prawnikiem, a ona pediatrą w szpitalu w Houston. Sama chciałaby mieć takich rodziców. Nie bacząc więc na ból serca, oddała synka, wiedziała jednak, gdzie mieszka, jak wygląda i jakie ma stopnie. Lubił „Gwiezdne wojny” i gry komputerowe, bał się ciemności i świetnie pływał. Nieważne, jak dowiedziała się tego wszystkiego, ważne, że on nie wiedział o niej.

Gdyby Richard Ponte stanął teraz przed nią, pewnie

by go zabiła. Ale nie stał, a ona nie mogła pozwolić, by zburzył jej domek z kart.

- Gdybym mogła, poderżnęłabym ci gardło!

- Wiem. Przykro mi. Naprawdę.

- Kłamiesz! - Odetchnęła głęboko, sięgnęła po kartkę i długopis. - Podaj mi numer telefonu. Zrobię tę jedną rzecz. Ale jeśli znów zaczniesz mi grozić, pamiętaj, znajdę cię, wytnę ci jaja i wsadzę do gardła

- obiecała cichym, pozornie spokojnym głosem.

Znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że mówi poważnie. Podał jej numer Dietera, chciał jeszcze powtórzyć dla pewności, ale w słuchawce usłyszał tylko sygnał.

Dieter był w centrum handlowym, gdzie zamierzał kupić odzież roboczą, gdy zadzwonił jego telefon.

To mógł być tylko Richard... albo ona.

- Słucham?

- To słuchaj uważnie, mała glisto, bo nie będę powtarzać. Na nabrzeżu jest meksykańska restauracja, nazywa się „Mamacita”. Bądź tam dziś wieczorem, o jedenastej. Dostaniesz, czego potrzebujesz. A kiedy znów zobaczysz swojego szefa, przekaż mu, że jeśli pojawi się w Houston, będzie trupem.

Dieter zeszywniał. Czy rzeczywiście mówiła to kobieta, która miała mu pomóc, czy był to znak, że sprawy idą w złym kierunku?

- „Mamacita”, będę tam - powiedział tylko.

Jak wcześniej Richard, usłyszał tylko pisk w słuchawce, ale nie zwracał na to uwagi. Nie miał innego wyjścia, musiał wierzyć, że ten plan zadziała.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

John siedział przy biurku. Przejrzał już pocztę i rozmawiał przez telefon ze swoim brokerem, kiedy zobaczył, że Alicia przechodzi obok jego pokoju. Była przybita i smutna, nawet nie spojrzała w jego stronę.

Nie mógł dłużej na to patrzeć. Chciał zrobić coś, żeby znowu się uśmiechała i choć na chwilę zapomniała o troskach.

Zatrzymała się w miejscu, które nazwała pokojem pamięci, i wpatrywała się w portret Białej Sarenki, gdy usłyszała za sobą jego kroki. Cholera, przyłapał ją.

- Hej, dziecinko.

Nie odwróciła się. Była zazdrosna i nie chciała, by odczytał to z jej twarzy.

- Ja tylko...

- Masz ochotę na przejażdżkę? Odwróciła się zaskoczona.

- Naprawdę moglibyśmy gdzieś pojechać? Z uśmiechem przytulił ją mocno.

- Zabieram cię do miasta, zrobimy małe zakupy i pokażę ci moją ulubioną galerię sztuki.

- Cudownie! To będzie nasza pierwsza prawdziwa randka.
 - Rzeczywiście. - Uśmiechnął się. - Więc tym bardziej zależy mi na tym, żebyśmy miło spędzili trochę czasu.
 - Milej już się nie da - stwierdziła stanowczo.
 - Co masz na myśli?
 - Najlepsze chwile w moim życiu to te spędzone z tobą w łóżku. Trudno mi sobie wyobrazić coś jeszcze lepszego.
- Poczuł się dumny i wzruszony. A gdy ją objął i pocałował, zadrżała z tęsknoty. Usłyszał jej westchnienie i w tym momencie przyszło mu do głowy, że może jednak równie miło mogą spędzić czas w domu...
- W takim razie wkładaj wyjściowe ciuchy i wygodne buty - powiedział, dzielnie odkładając na bok własne pragnienia. - Zrobię jeszcze listę zakupów.
 - Daj mi pięć minut. - Pobieгла do sypialni. Popatrzył chwilę za nią, a potem, po krótkim wahaniu, spojrzał na kobietę na obrazie. Długo wpatrywał się w jej twarz, jakby czekał, aż te piękne, uśmiechnięte usta przemówią.
 - Polubiłabyś ją - powiedział miękko i wyszedł.

Kiedy dotarli do Sedony, John zaprowadził Alicię do galerii i przedstawił właścicielce. Sasha Macklin poznała go dwadzieścia pięć lat temu, ale kiedy go ujrzała, pomyślała, że widzi ducha. Od ostatniego spotkania minęło piętnaście lat, kontaktowali się telefonicznie co jakiś czas, ale nie miała okazji go zobaczyć. Teraz, na widok Johna kroczącego z wysoką, ciemnowłosą kobietą u boku, poczuła ukłucie żalu. Jego przyjaciółka miała

dwadzieścia kilka lat, czyli dokładnie tyle, ile miała ona, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Nie zdziwił się, że była zaskoczona, wiedział, co pomyślała, ale nic nie mógł na to poradzić.

- Dzień dobry, szukam czegoś wyjątkowego... Co szanowna pani może nam polecić?

Sasha wydostała się zza biurka i uściskała Johna.

- Ty szalony Indianinie! Co za wiatry cię tu sprowadzają?

Też uściskał ją serdecznie:

- Sasha, to jest Alicia.

- Miło mi cię poznać. - Alicia uśmiechnęła się przyjaźnie. - John mówi, że twoja galeria jest najlepsza w mieście.

- Cieszę się, że tak uważa. - Sasha rozpromieniła się. - Nie myli się, zaręczam. Proszę, rozejrzyj się.

- Dziękuję. - Alicia poszła obejrzeć zestaw małych rzeźb, żeby dać im chwilę na rozmowę.

Sasha przyjrzała się uważnie Johnowi, jakby oceniała dzieło sztuki, na koniec wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, jak to robisz, ale nie postarzałeś się ani odrobinę od naszego ostatniego spotkania.

- Przesadzasz - bagatelizował. - Powiedz lepiej, co u ciebie.

- U mnie nic. I jestem z tego zadowolona. W dzisiejszych czasach mężczyźni sprawiają tylko kłopoty.

- Nigdy bym się nie spodziewał, że to powiesz - skomentował ze śmiechem.

Jej oczy zwęziły się, gdy położyła dłoń na jego twarzy.

- Poważnie, jak ty to robisz?

- Uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział, że jestem nieśmiertelny?

- Tak to jest z wami, facetami. Zadaj poważne pytanie, a otrzymasz głupią odpowiedź.

Uśmiechnął się.

- Cóż mogę powiedzieć...?

- Więc już idź do niej. Swoją drogą jest zdumiewająco podobna do tej Alicii Ponte. - Gdy uśmiech błyskawicznie zniknął z jego twarzy, dodała szybko: - Nie martw się, już dawno nauczyłam się trzymać język za zębami. Musiała przejść przez piekło... Nie wiem, czy miałabym odwagę zrobić to, co ona.

- Prawdę mówiąc, mnie też nieustannie zadziwia

- przyznał zamyślony.

Sasha westchnęła. Była zbyt stara, żeby czuć zazdrość, ale był taki czas w jej życiu, gdy gotowa była zrobić wszystko, by John spojrział na nią tak, jak teraz patrzył na tę młodą kobietę.

- Zakochałeś się w niej, prawda?

- Zaczyna to do mnie docierać... - przyznał.

- Nawet jeśli jest dla ciebie trochę za młoda, to i tak życzę wam szczęścia. - Poklepała go po ramieniu.

Uśmiechnął się. Nie domyślała się nawet, jak blisko była prawdy.

- Chodźmy do niej. - Pociągnął Saszę z sobą. - Spodobało ci się coś? - spytał, obejmując Alicję.

- Łatwiej byłoby powiedzieć, co mi się nie spodobało. Wszystko jest zachwycające. - Wskazała obraz po prawej stronie. - Ten na przykład zupełnie mnie zauroczył. Cudowny.

- Masz dobry gust - powiedziała Sasha z uznaniem.

- To dzieło jednego z moich najlepszych artystów. Nazywa się Troy Anderson, jest Czirokezem z Oklahomy. Mam więcej jego prac, chcecie zobaczyć?

- Chętnie!

239

Ruszyli długim korytarzem do następnej sali, gdy w jednym z pomieszczeń Alicia dostrzegła kilka zawieszonych zdjęć. Na jednym z nich rozpoznała Johna, weszła więc i przyjrzała się mu z ciekawością.

- Hej - zawołała. - Czy to nie ty?

- Zaczekaj! - krzyknął.

Sasha wzruszyła ramionami. W końcu to tylko zwykłe zdjęcie ze wspólnie spędzonego weekendu. Alicia ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w fotografię. Coś tu było nie tak... wreszcie dotarło do niej, że chodziło o fryzurę i ubranie.

- Co to za okazja? Bal przebierańców?

- Nie, złotko - ze śmiechem powiedziała Sasha. - Tak się ubieraliśmy w latach osiemdziesiątych.

Pamiętam, jak długo szukałam takiej mini. A co do mojej fryzury, to wiesz... chciałam wyglądać jak Farah Faw-cett...

Zdumiona Alicia patrzyła na zdjęcie.

- Też jesteś na tej fotografii?

- Tutaj. - Pokazała palcem. - Wiem, że się zmieniłam, ale w końcu to było dwadzieścia pięć lat temu.

Serce Alicii zaczęło bić tak mocno, że poczuła zawroty głowy. A więc ten śliczny rudzielec to Sasha? Odwróciła się do Johna, spojrzała niedowierzająco na Saszę, potem znowu na niego, a w końcu wyszła z pokoju.

John zmarszczył brwi. Nie wyglądało to dobrze.

- Alicia! - wołał, biegnąc z nią.

- Słucham? - Zatrzymała się. Spokojny wyraz jej twarzy zbił go z tropu.

- Wyszłaś tak szybko... Myślałem, że się zdenerwowałaś.

- Kto? Ja? Zdenerwowana? A to czemu? - Ton jej głosu podnosił się z każdym wypowiedzianym słowem.

John drgnął.

- Ty mi powiedz.

Z całej siły zacisnęła pięści. Musiała się powstrzymać, żeby go nie uderzyć.

- Nie wiem, co powiedzieć, co myśleć ani co robić! Czyżbym się zakochała w rewelacyjnie trzymającym się emerycie? Czy masz znowu jakieś pokrętne wyjaśnienie? Och, niech zgadnę, znów chodzi o cudowne nauki tego tybetańskiego mnicha! Pewnie zdradził ci sekret wiecznej młodości, tak? - Szybkim krokiem podeszła do Sashy. - Muszę przyznać, że masz tu cudowną kolekcję indiańskiej sztuki. Miło było cię poznać, ale mamy jeszcze dużo spraw do załatwienia, musimy już iść.

- Z trudem zdobyła się na uśmiech, po czym wyszła, mijając Johna bez słowa.

Westchnął. To by było na tyle, jeśli chodzi o przyjemnie spędzony dzień...

- Dzięki, miło było cię zobaczyć - powiedział do Sashy.

- Ciebie również, John. Uważaj na nią.

Kiwnął głową i pobiegł do samochodu. Alicia już siedziała na przednim fotelu i uparcie patrzyła przed siebie. Nie spojrzała na niego, a on nie wiedział, co mógłby powiedzieć, żeby poprawić sytuację.

- Jesteś głodna? - zapytał w końcu.

Spojrzała na niego jak na wariata i wybuchnęła śmiechem.

- W zasadzie, panie tajemniczy, to jestem. Więc nakarm mnie czymś gorącym i pikantnym. A potem zrobmy te zakupy i jedźmy do domu.

Pokręcił głową zaskoczony. Nie nadażał za nią. Ta kobieta wciąż go zdumiewała.

- Znam świetną meksykańską restaurację - zaproponował.

- W porządku, jedźmy tam. Aha, i chciałam ci powiedzieć, że wcale ci się nie upiekło. Po prostu postanowiłam chwilowo nie rozważać faktu, że zakochałam się w człowieku w wieku mojego ojca. John, nawet nie w tym problem, ile masz lat, tylko w tym, że mi nie powiedziałeś!
- Rozumiem. - Smutno pokiwał głową. Naprawdę ją rozumiał, choć nie miał pojęcia, jak jej to wszystko wytłumaczyć.
- Obiad zjedli w przyjaznej atmosferze, a to dlatego, że unikali drażliwych tematów. Potem zrobili zakupy i ruszyli do domu. Alicia właśnie przeglądała gazetę, gdy John nagle zaczął hamować.
- Co się stało? - spytała zdziwiona.
- Ten samochód przed nami... Dziwnie się zachowuje. Niemal wyrzuciło go na pobocze, a teraz znów jedzie środkiem drogi. Albo kierowca jest pijany, albo zasnął.
- Nie! - zawołała, kiedy samochód wpadł w poślizg. Auto najpierw uderzyło w barierkę, a potem walnęło w głąz leżący przy drodze i wywróciło się na dach.
- Cholera! - zaklął John, zatrzymując się. Wcisnął Alicii telefon. - Jesteśmy na dwunastym kilometrze. Dzwonź po pomoc. - Pognał w stronę rozbitego auta. Ręce jej się trzęsły, kiedy wybierała numer.
- Centrala alarmowa - usłyszała w słuchawce.
- Był wypadek. Jesteśmy na południowym wylocie z Sedony, dwunasty kilometr. Nie wiem, ile osób jest w rozbitym samochodzie, ale dwukrotnie koziółkował. Pośpieszcie się - mówiła zdenerwowana. - Auto zaczyna dymić. O Boże, pali się!
- Wysyłam straż pożarną i służby ratownicze. Proszę pozostać na linii.

Ale Alicia już nie słuchała. Wskoczyła z samochodu, otworzyła bagażnik i nerwowo szukała gaśnicy. Potem popędziła w stronę płonącego samochodu. Czuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Nim jeszcze pojawiły się języki ognia, widziała, jak John wpełza do środka. Teraz płomienie wydobywały się spod maski...

- John! - krzyknęła rozpaczliwie. - Gdzie jesteś!? Wychodź stamtąd, słyszysz? Wychodź!

John dobiegł do rozbitego auta, położył się na brzuchu i wczołgał do środka przez rozbite okno. Kierowcą była kobieta. Miała liczne rany na twarzy i ramionach, straciła przytomność, krwawiła. Wisiała głową w dół, wciąż podtrzymywana pasami.

- Proszę pani! Czy pani mnie słyszy? - zawołał, ale nie odpowiadała.

Poczuł dym. Nie było czasu do stracenia. Wyjął nóż i przeciął pasy. Uwolnione ciało bezwładnie opadło mu w ramiona. Włożył nóż w zęby i zaczął się wyczołgiwać. Nagle coś huknęło, dym wielkimi kłębami wydostawał się spod maski.

Czołgał się uparcie. Centymetr po centymetrze posuwał się do tyłu, nie zważając na ból i płomienie. I wtedy zobaczył nad sobą Alicję. Trzymała gaśnicę, walczyła z ogniem.

John usłyszał dziwne dźwięki.

- Uciekaj! - wrzasnął, z trudem dźwigając się na nogi, obciążony nieprzytomną kobietą. - Zaraz będzie eksplozja!

Alicja odłożyła pustą już gaśnicę i rzuciła się do ucieczki. Słyszała kroki Johna tuż za sobą, co ją uspokajało. Byli kilkanaście metrów od samochodu, kiedy eksplozja powaliła ich na ziemię. Gdy minęło oszołomienie, wsta-

ła, z trudem opanowując drżenie nóg. John razem z nieprzytomną kobietą byli tuż obok. Koszulę miał osmaloną, dłonie i ramiona były w bąblach i krwawiących ranach!

- John! John! - Upadła przy nim.

Drżał tak mocno, że ledwie mógł mówić. Wiedział, że to minie, ale na razie cierpienie było nie do zniesienia.

- Nie dotykaj mnie... proszę... - Ukląkł, starając się opanować ból. - Ta kobieta... Zobacz, czy oddycha...

Nie chciała go opuszczać, ale wiedziała, że ma rację. Podeszła do kobiety, przyłożyła palce do jej szyi. Tętno było słabe, ale regularne.

- Serce wciąż bije - powiedziała, oglądając obrażenia. Były zbyt poważne i rozległe, by wystarczyła doraźna pomoc. Przypomniała sobie, że w dzipie jest kilka butelek wody. - Zaraz wracam. - Pobiegła do samochodu.

Kiedy wróciła, John klęczał przy rannej.

- Możliwe, że ma jakieś obrażenia wewnętrzne. - Wziął butelkę wody od Alicii i zaczął delikatnie polewać twarz kobiety. Zmywał krew, oczyszczał oparzenia.

Alicia patrzyła na niego jak na ducha. Nie była w stanie poruszyć się ani odezwać.

- Podaj następną - polecił. - Ma tylko parę małych oparzeń. Gdy pojawiły się płomienie, była zasłonięta moim ciałem.

Gdy nie odpowiedziała, spojrzał na nią badawczo. Miała brudną i spoconą twarz, a na ramionach ślady krwi, ale nie zwracała na to uwagi. Wpatrywała się w niego intensywnie dziwnym wzrokiem.

- Alicia! - ponaglił.

- Twoje oparzenia... - szepnęła.

Cholera. Jeszcze i to.

- Podaj mi następną butelkę wody.

- Prawie zniknęły...

- Woda!

Mrugnęła i wyciągnęła ze zgrzewki kolejną butelkę.

- Otwieraj następne! Szybko, dziecinko! - wołał. Jego stanowczy ton wyrwał ją z letargu. Odkręcała kolejne butelki, a on wylewał wodę na oparzenia kobiety. Wydawało się, że minęła wieczność, nim w oddali usłyszeli syreny.

- Wreszcie są - powiedział John.

- Bogu dzięki - odetchnęła Alicia.

Po chwili zaroilo się od strażaków i karetek. Sanitariusze zajęli się nieprzytomną kobietą i przygotowali ją do transportu, podczas gdy John opowiadał policjantowi o całym zdarzeniu.

Wciąż się trzęsła, gdy słuchała jego słów. Nie był to jednak wpływ szoku. Widziała, jak jego rany znikają, co ją przeraziło. Owszem, widziała już coś podobnego, gdy był postrzelony, ale nie chciała znów słuchać o tybetańskich mnichach. W Johnie Nightwalkerze było coś dziwnego, coś, czego nie rozumiała. Słyszała o mężczyznach, którzy ładnie się starzeją, ale on nie starzał się w ogóle. Byli też ludzie, którzy szybko zdrowieli, ale na pewno nie tak błyskawicznie jak on.

- W porządku - powiedział wreszcie policjant. - To wszystko. Muszę przyznać, że ta kobieta miała cholerne szczęście, że za nią jechaliście.

- Cieszymy się, że mogliśmy pomóc - powiedział John i objął Alicię, ale drgnęła tylko i odsunęła się od niego. Zrozumiał, że kłopoty wcale się nie skończyły. - Chodź, dziecinko - powiedział miękko. - Możemy już iść. W porządku?

245

Spojrzała na niego, zastanawiając się, czy będzie miała odwagę wsiąść z nim do samochodu. Ale wyraz jego oczu skruszył jej serce. Wyglądał jak ktoś, kto spodziewa się odrzucenia. Westchnęła, wyjęła z kieszeni kluczyki i podała mu.

Gdy dotknęła palców jego dłoni, poczuła, że drżą, i już ich nie puściła. Poszli do samochodu, trzymając się za ręce. Otworzył jej drzwi i dopilnował, żeby przypięła się pasami. Potem wsiadł, uruchomił silnik i odjechali - znacznie poniżej dozwolonej prędkości.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Dom powitał ich miłym chłodem i kojącą ciszą. Zanieśli zakupy do kuchni i rozpakowali je w milczeniu.

John wyraźnie odczuwał dystans, który narastał między nimi, co bardzo mu się nie podobało. Wiedział jednak, że to jego wina. Właśnie z tego powodu nigdy wcześniej nie angażował się w poważne związki. Seks to jedno, ale obcowanie z drugą osobą przez długi czas oznaczało konieczność wyjaśnienia tego, co się z nim działo. A to było niemożliwe. No i teraz musiał stawić czoło rezultatom własnej głupoty. Nie powinien był dopuszczać do takiej sytuacji, ale zakochał się w Alicii i musi ponieść konsekwencje własnej nierozwagi.

Torby były już puste, zakupy wypakowane, lecz wciąż panowała niezręczna cisza. John odetchnął głęboko i spojrzał z powagą na Alicię. Wiedział, że zbyt wiele razy odwlekał chwilę prawdy.

- Alicio, ja....

- Założę się, że chciałbyś wziąć prysznic i zmienić ubranie - powiedziała. - Bo ja na pewno.

Westchnął. Cóż, nie była jeszcze gotowa na rozmowę. Nie mógł jej za to winić.

- Tak, masz rację, ale potem porozmawiamy, zgoda? Wzruszyła ramionami.

John zmarszczył brwi. A co to miało znaczyć?!

- Odnoszę wrażenie, że usłyszałam już wszystko, co miałeś mi do powiedzenia. Nie chcę słuchać więcej kłamstw. Na pewno świetnie rozumiesz, dlaczego.

Spojrzał na nią gniewnie.

- Mimo wszystko będę w salonie za kilka minut i mam nadzieję, że też tam się zjawisz. A jak nie, to cię poszukam. Na pewno świetnie rozumiesz, dlaczego - z odpowiednią intonacją powtórzył jej słowa i wyszedł z kuchni.

Alicia została sama z nieprzyjemnym poczuciem, że w tej rozgrywce John był górą. To nie w porządku! Przecież to nie ona kłamała, nie ona ukrywała swój wiek, nie ona jest cholernym kameleonem zmieniającym wcielenia! Po jego spojrzeniu widziała, że jest naprawdę wkurzony, a wcale jej się nie uśmiechała rola ofiary tego gniewu. Poszła więc do swojego pokoju, starając się, by nie wyglądało to jak ucieczka.

John stał pod prysznicem i rozważał różne scenariusze. Zastanawiał się, co mógłby powiedzieć Alicii, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Sam nie wiedział, jak do tego doszło. Po prostu stało się. Uczył się żyć na własnych błędach. Przodkowie wraz z darem nie przekazali mu żadnej instrukcji. Spełnili tylko jego życzenie, zostawiając mu całą resztę.

Ogarniało go coraz większe napięcie. Nie wiedział, jak Alicia zareaguje na jego rewelacje, ale nie chciałby spotkać się z niechęcią, szyderstwem czy odrazą. Nie od niej.

Wciągnął na siebie tylko dżinsy, tak czuł się najlepiej, a potrzebował wszystkich sił, czekała go bowiem nadzwyczaj trudna konfrontacja.

Czekał na Alicię w salonie. Po chwili usłyszał jej kroki. Stał na szeroko rozstawionych nogach, z uniesionym podbródkiem i rękami na biodrach, skupiając wszystkie siły, by nie powiedzieć czegoś, czego mógłby potem żałować.

Taki właśnie obraz zastała wchodząca Alicia. Perfekcyjny, pomyślała. Powinnam być wdzięczna losowi, że nie jest całkiem nagi. Na pierwszy rzut oka wyglądał na zamkniętego w sobie i zagniewanego, dostrzegła jednak pewną obawę w jego wzroku. Poczowała ulgę.

- No to jestem - powiedziała z wahaniem.

- Ja też.

- Co teraz?

Takich właśnie pytań się obawiał, ale musiał zmierzyć się z nimi.

- Może usiądziemy? - Wskazał kanapę. - Nie wiem jak ty, aleja po dzisiejszych przeżyciach jestem wykończony.

Zadrżała na samo wspomnienie tego, co się stało, strasznego wypadku i popalonej, pełnej zdartych pęcherzy skóry. Jeszcze bardziej przerażało ją jednak *to, że teraz nie było po nich śladu.

Usiadła na kanapie, on zajął miejsce naprzeciwko niej i lekko się pochylił.

- Przysięgam na wszystko, co dla mnie święte, że odpowiem szczerze na każde twoje pytanie - oznajmił z powagą. - Nie będę kłamał ani kręcił. To, czy mi uwierzysz, zależy tylko od ciebie.

- Dziękuję ci, John - powiedziała poruszona.

- A zatem co chcesz wiedzieć?

- Może zaczniemy od ostatniej rewelacji. John, ile tak naprawdę masz lat?

Jęknął w duchu. Nie ma to jak mocny początek. Ale

obiecał mówić prawdę niezależnie od tego, jak ona ją przyjmie.

- W czasach, gdy się urodziłem i dorastałem, data urodzin nie była aż tak ważna, ale według moich szacunków mam jakieś pięćset dwadzieścia dziewięć lat - powiedział spokojnie.

Alicia przez chwilę wpatrywała się w niego oszołomiona, a potem nagle zerwała się na równe nogi.

- Do cholery, John! Mam tego dość! Czy ty mnie bierzesz za kompletną idiotkę?! Dlaczego łudziłam się, że możesz być ze mną szczery?

Siedział bez ruchu i czekał, aż się uspokoi. Albo Alicia zaakceptuje prawdę, albo odejdzie. Nie mógł nic na to poradzić, ale nie potrafił opanować emocji. Czuł, że do oczu napływają mu łzy, a twarz Alicii powoli staje się coraz bardziej rozmazana.

Była wściekła. Próbowwała zrozumieć, co się tu dzieje, i nawet nie zauważyła, że John siedzi bez ruchu, nie broni się ani nie próbuje niczego tłumaczyć. Kiedy wreszcie na niego spojrzała, była zaskoczona.

Wręcz zamarła między jednym okrzykiem wściekłości a drugim. Czyżby to, co widziała w jego oczach, to były łzy? Odetchnęła, by znów wybuchnąć, ale wtedy duża kropla spłynęła mu po policzku.

Napięcie powoli ją opuszczało. Zaczęła chodzić przed Johnem w jedną i drugą stronę, mrużąc coś do siebie. Wreszcie znów usiadła i spojrzała na niego.

- John?

- Tak?

- Chyba nie oczekujesz, że w to uwierzę!

- To stwierdzenie czy pytanie?

- Mam uwierzyć, że masz pięćset dwadzieścia dziewięć lat?

250

- Przez chwilę miałem taką nadzieję, ale jak widać się myliłem...
- Opadła na kanapę, wyczerpana swoim wybuchem i kłębiącymi się w niej uczuciami.
- Mówiłeś poważnie? - spytała niepewnie.
- Tak, Alicio, jak najbardziej poważnie.
- Czy kiedykolwiek rozmawiałeś z kimś o tym... urojeniu? - zasugerowała ostrożnie.
- Masz na myśli psychiatrę, dziecinko? - Uśmiechnął się smutno.
- Cóż, nie ma nic złego w wizycie u psychiatry - dodała szybko. - Choroby umysłowe się zdarzają i nie ma się czego wstydzić.
- Myślisz, że jestem świrem?
- A co, twoim zdaniem, powinnam myśleć? - zirytowała się.
- Ze powiedziałem ci prawdę!
- Och, daj spokój!
- To zapytaj mnie może o coś innego! - zaproponował cicho.
- Nie wiem, czy się odważę... - Gdy czekał cierpliwie, zaczęła z wahaniem: - No dobrze, staruszkule...
Jeżeli naprawdę masz tyle lat, a mój ojciec, jak twierdzisz, zabił twoją rodzinę, to z tego wynika, że on też jest nieśmiertelny!
- Nie do końca...
- To znaczy?
- Wierzysz w reinkarnację? Machnęła niecierpliwie ręką.
- Nie odpowiadaj pytaniem na pytanie.
- Nie mogę, póki mi nie powiesz, czy wierzysz w reinkarnację.
- Raczej nie.

- W takim razie trudno będzie zrozumieć ci to wszystko...
- Po prostu wszystko mi opowiedz.
- To długa historia...
- Akurat nigdzie nam się nie śpieszy.
- Cóż... - zaczął z wyraźnym trudem. - Więc moja wioska... wioska, w której się urodziłem, leżała na wybrzeżu. Dom, w którym byliśmy poprzednio, został zbudowany w tym samym miejscu. Miałem wtedy dwadzieścia dziewięć lat i żyłem z Białą Sarenką. Byliśmy już razem kilka lat, kiedy zacząłem mieć wizje. Wy nazywacie je proroczymi snami. Widziałem dym i krew, a moja żona umierała na moich rękach. Te straszliwe wizje nawiedzały mnie coraz częściej. Alicia była poruszona. Jego widzenia tak bardzo przypominały jej sen... Wstrząśnięta zastanawiała się, co to może oznaczać...
- Byłem wodzem szczepu, czułem się odpowiedzialny za mój lud. Po pojawieniu się wizji zacząłem się bać. Od tamtej pory czuwałem na urwisku, strzegąc mojej wioski. Pewnego dnia przyszedł sztorm, a z nim na naszym brzegu pojawili się obcy. Teraz wiem, że to byli Hiszpanie. Poraził mnie widok ogromnej łodzi z białymi skrzydłami i ludzi o bladej skórze, twarzach pokrytych zarostem, ubranych, a nawet opancerzonych. Zeszli na brzeg. Wciąż nie wiem, dlaczego napadli na wioskę i wymordowali mój lud... - opowiadał ze ściśniętym gardłem. - Nie posiadaliśmy niczego wartościowego. Prowadził ich człowiek zły i chciwy. Jego dusza jest teraz w twoim ojcu - zakończył z przekonaniem. Ukryła twarz w dłoniach. Nie! Tylko nie to! Zakochała się w szaleńcu...

- Winisz mojego ojca za coś, co wydarzyło się pięćset lat temu? - upewniła się.

Czuł, że Alicia jest na skraju załamania, ale nie mógł nic na to poradzić.

- Człowiek umiera, ale dusza żyje dalej... i czasami się odradza - próbował tłumaczyć. - Czasami szybko, a czasami po wielu latach. Zawsze wiem, kiedy jego dusza się odradza, bo wtedy nawiedza mnie fizyczny ból. Im bliżej jestem wcielenia tej duszy, tym większa jest udreka. Ścigam go przez kontynenty i przez wieki. Tęsknię do zemsty, która będzie zarazem moim spoczynkiem...

Bała się zadać kolejne pytanie, ale musiała znać odpowiedź:

- A co się stanie, kiedy... już odnajdziesz jego duszę?

- Muszę zakończyć jego życie - oświadczył zupełnie spokojnie.

Czuła zawroty głowy. To już nawet nie było śmieszne. Usłyszała, jak zadaje kolejne pytanie:

- A kiedy zabijesz to ciało... to, w którym przebywa ta dusza... to ty też umrzesz?

- Nie mam pojęcia, choć wiem doskonale, że nieważne, ile razy zostałbym ranny, natychmiast zdrowieję.

Zamknęła oczy, próbowała zebrać myśli. Nagle przypomniała sobie, że przerwała mu w środku opowieści.

- Więc co się stało, kiedy statek wpłynął do zatoki?

- Wyczułem niebezpieczeństwo i pobiegłem do wioski. Z daleka słyszałem wrzaski i okrzyki wojenne. Słyszałem też huki, które brałem za pioruny, a teraz wiem, że to były wystrzały. Czułem dym niesiony wiatrem. Kiedy dobiegłem, wioska właśnie się dopalała, a wszyscy moi współbracia nie żyli. Biała Sarenka również.

Nie wiedziała, w co ma wierzyć, ale przejęła się tą opowieścią. Gdy mówił o żonie, głos mu drżał, a po twarzy spływały łzy. To wszystko brzmiało niedorzecznie, ale nie wątpiła, że bardzo to przeżywał.

- Stał tam mężczyzna z talizmanem Białej Sarenki

- ciągnął. - Każdy z nas nosił na szyi woreczek ze świętymi przedmiotami. Wierzyliśmy, że są ważne dla naszego życia tu, na ziemi, i potem, po śmierci. A on zabrał talizman Białej Sarenki, nie dbając o jej duszę i życie. - Drgnął, zebrał się w sobie i dokończył:

- A potem podciął jej gardło.

Nie mógł dalej mówić. Potarł dłońmi twarz, jakby chciał wymazać z pamięci te straszne obrazy.

Odetchnął głęboko i po chwili kontynuował opowieść, ale już bardziej beznamiętnie.

- Staralem się ich zabić. Ogarnęła mnie wściekłość, której nie umiem wytłumaczyć. Mogę opowiedzieć ci, co się stało, ale nadal sam tego nie rozumiem. Próbowali do mnie strzelać, ale proch im zamókł. W walce wręcz nie mogli się ze mną równać. Zabijałem, najpierw z łuku, potem włócznią i maczugą, każdą bronią, która wpadła mi w ręce. W końcu ci, którzy przeżyli, zaczęli uciekać. Dotarli do łodzi i szybko odpłynęli. Zostałem sam. Ostatni z ludu. Nie mogłem żyć z niespełnioną zemstą. Nie chciałem żyć bez Białej Sarenki. Błagałem Wielkiego Ducha, krzyczałem i przeklinałem, że nie mogę umrzeć bez wymierzenia sprawiedliwości. Wreszcie jednak kula dotarła do mnie, lecz nie uczyniła mi krzywdy. A potem pojawiło się światło, które początkowo wziąłem za błyskawicę. Myślałem, że mnie zabije i dołączę do moich bliskich, ale zamiast tego otrzymałem od Duchów Przodków dar, o który prosiłem. Powiedziano mi, że nie umrę, póki nie pomszczę swojego

szczepu. - Przeczesał palcami włosy. - Nie spodziewałem się, że tak ciężko będzie znaleźć jednego człowieka. Parę razy byłem już blisko, ale się nie udało. - Wzruszył ramionami. - Zawsze wiem, kiedy się rodzi i kiedy umiera. Wtedy pozostaje mi czekać na kolejne wcielenie. I mieć nadzieję, że tym razem się uda.

- Więc mówisz, że ta dusza jest w moim ojcu? - spytała ostrożnie.

- Tak. Jakies sześćdziesiąt lat temu poczułem, że to znowu się stało. Nastąpiło nowe wcielenie. A potem odczułem silne napięcie, gdy spotkałem ciebie. Na początku myślałem nawet, że to właśnie ty! Alicia drgnęła.

- Gdybym to była ja, zabiłbyś mnie?

- Tak - przyznał bez wahania. - Na stacji benzynowej, przy twoim bmw.

Poczuła się słabo, krew odpłynęła z jej twarzy. John widział, jak słabnie, bał się, że zemdleje.

Współczuł jej, bo doznawała katuszy, ale nie żałował wypowiedzianych słów. Obiecał jej prawdę i dotrzymał słowa.

Minęło dobrych pięć minut, zanim Alicia się odezwała. Kiedy usłyszał pierwsze słowa, wiedział już, że przegrał.

- Czy to wszystko?

- W zasadzie tak.

- Czyli podsumowując... masz ponad pięćset lat i przez te wszystkie lata szukasz wcielenia duszy odpowiedzialnej za śmierć twojego szczepu. A ta dusza obecnie znajduje się w moim ojcu. Nie starzejesz się i nie można cię zabić. Tak?

- Tak...

Starła się zachować spokój, nawet zdobyła się na leciutki uśmiech.

- John... muszę ci powiedzieć... jesteś zdumiewającym, bardzo odważnym człowiekiem. Uratowałeś mi życie wiele razy. Nie mam pojęcia, jakim sposobem twoje ciało tak szybko wraca do zdrowia, ale za to wiem, że w łóżku jesteś fantastyczny. Po raz pierwszy od dawna czuję się szczęśliwa, choć wiem, że ojciec chce mnie zabić.

Obserwował ją, czekając najakieś „ale”, i niestety nie zawiódł się.

- Ale... dotarło do mnie, że oprócz tego jesteś kompletnie szalony. Potrzebujesz pomocy, i to od kogoś bardziej wykwalifikowanego niż ja. Pamiętaj, że będę przy tobie, będę cię wspierać i zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

Zrozumiał, że chociaż nie uciekła, nadal mu nie wierzyła. Myślała, że jest niespełna rozumu, czemu zresztą trudno się dziwić.

Skinął głową. Klepnął się po udach, jakby mówiąc, że to na tyle, i wstał.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

- Nie uciekam od ciebie... - powiedział głuchym tonem. - Po prostu nie chcę być teraz z tobą... w każdym razie nie w tej chwili.

Wyszedł, nie oglądając się. Patrzyła za nim zdezorientowana. Nie rozumiała, dlaczego to on czuł się zdradzony. Ale im dłużej o tym myślała, tym bardziej czuła się winna. W końcu on jest chory...

Wreszcie cisza stała się tak nieznośna, że Alicia ruszyła na poszukiwania Johna.

Przeszukała wszystkie pomieszczenia, aż dotarła na małe patio. Lecz i tu nie dostrzegła Johna. Już miała wracać, kiedy kątem oka w nocnym mroku zauważyła jakiś ruch. Spadająca gwiazda, pomyślała. Zatrzymała

się i obserwowała ją, czekając, aż światełko zniknie. Ale wbrew jej oczekiwaniom, gwiazda zbliżała się coraz bardziej i nie gasła.

- John! Musisz to zobaczyć! - wołała, ale nikt nie odpowiadał.

Światło było coraz bliżej, aż w końcu oświetliło pustynię. Alicia dostrzegła, że John jest na przeciwległym krańcu patio i też obserwuje zbliżający się obiekt. Była pewna, że po prostu zaczyna tracić zmysły. Światło ruszyło ku niej. Chciała uciec, ale nie mogła się ruszyć. Sparaliżował ją strach, jakiego nigdy dotąd nie czuła. Nie mogła nawet krzyczeć. Stała, czekając na śmierć w płomieniach. Światło było nad nią, a potem nagle poczuła je w sobie. Zamiast ją zabić, przyniosło spokój i błogość. Widziała starego Indianina o włosach tak długich, że dotykały ziemi. Był ubrany w strój utkany z tęczowych piór, który falował na wietrze, choć nie czuła najmniejszego podmuchu. Gdy się uśmiechnął, miała ochotę paść do jego stóp. Wtedy wyciągnął do niej rękę. Podała mu swoją...

To musi być sen, przekonywała siebie, za chwilę obudzę się w swoim łóżku!

Ale sen trwał dalej. Indianin włożył coś do jej ręki i powiedział:

- Uwierz!

Po chwili zniknął, a wraz z nim światło.

- Niesamowite... - wyszeptała oszołomiona.

Z ciemności wyłonił się John, przeszedł obok, nie patrząc na nią, i wszedł do domu. Musiał ją słyszeć, ale nie odpowiedział. Nie zależało mu! Serce ścisnęło jej się z bólu, który rósł z każdą chwilą.

Już miała ruszyć za nim, kiedy poczuła, że trzyma coś w dłoni. Dostała gęsiej skórki. Jeżeli stary Indianin był

tylko przywidzeniem, to co ona ma w ręku? Wbiegła do domu i zapaliła światło. Wszystko wyglądało tak samo. Meble kuchenne, naczynia, nawet okulary Johna leżące przy telefonie. Przymknęła oczy, odetchnęła głęboko i spojrzała na to, co dostała od Indianina.

Oszołomiona, nie mogła pojąć, dlaczego przedmiot wydaje jej się znajomy. Gdy zrozumiała, upuściła go na stół i krzyknęła ze strachu.

W drzwiach pojawił się John.

- Co się dzieje? Wskazała na stół.

- Skąd to się wzięło? - zawołała drżącym głosem. Podeszedł do stołu, popatrzył uważnie.

- Co to jest?

- Broszka mojej matki. Słodki Jezu... To broszka mamy!

Nadal słyszała w głowie głos starca, ale jak mogła uwierzyć w niemożliwe?

- Ładna - stwierdził John. - Ale nie rozumiem, o co chodzi?

- O co chodzi? Mój Boże, John... Podarowałam tę broszkę mamie niedługo przed jej śmiercią. - Głos Alicii narastał histerią. - Przypięłam ją do jej sukni w dzień pogrzebu. Została z nią pochowana. Teraz powinna być pod ziemią na cmentarzu w Bostonie. A nie jest!

- Co ci powiedział starzec? Jej oczy się zwęziły.

- Skąd wiesz o starcu? Jak? Znowu śnimy te same sny?

- To nie był sen. On zawsze przychodzi w strumieniu światła i zawsze zostawia wiadomość.

Próbowała zrozumieć, co do niej mówi, ale umysł był

bezradny wobec tego, co się działo. Naprawdę widziała starego Indianina i dostała od niego broszkę matki? A może...

- Co ci powiedział? - ponownie spytał John.

- Uwierz. Powiedział, żebym uwierzyła.

- A ty nadal nie wierzysz.

- Nie wiem, nie wiem... - powtarzała bezradnie. - To nie może być prawda!

- Zaakceptuj to, co się stało, albo dalej żyj w swoim zamkniętym świecie.

Choć te słowa ją zabolowały, były jak otrzeźwiający policzek, którego potrzebowała.

- Z tobą też rozmawiał? - spytała.

- Tak.

- Co ci powiedział?

- To nieważne.

- Jak to nieważne! - zawołała. - Obiecałeś odpowiadać na moje pytania.

- Ale ty odrzucasz moje odpowiedzi. Po co mam tracić czas?

- John, proszę... Przykro mi.

- Wcale nie, ale to bez znaczenia. - Już miał wyjść, lecz spytał jeszcze: - Wierzysz w Boga?

- Cóż... tak - odparła zaskoczona.

- A w anioły?

- Tak. Czemu pytasz?

- Jeśli wierzysz w Boga i w anioły, to dlaczego nie chcesz przyjąć do wiadomości, że mogą ukazać się nam, zwykłym ludziom?

- Tak nie mówiłam. Właśnie powiedziałam, że wierzę w anioły, choć nigdy żadnego nie widziałam.

- Ależ widziałaś, przed chwilą. Tylko twój umysł to odrzuca.

- Ten stary Indianin to było przywidzenie, nie anioł - zaprotestowała.

- Nie tylko wątpisz w moje słowa, ale też jesteś uprzedzona - stwierdził zrezygowany. - Odrzuciłaś to, co zobaczyłaś, tylko dlatego, że anioł nie był w białej szacie, nie machał skrzydłami i nie miał aureoli! Dowiedziałaś się dziś o mnie czegoś, co bardzo ci się nie podoba. Chyba zresztą oboje poznaliśmy się z gorszej strony, bo ja też zobaczyłem w tobie coś, co mnie rozczarowało. Jego słowa raniły boleśnie. A jeśli miał rację? Jeśli rzeczywiście doświadczyła cudu? Opadła na krzesło, patrzyła na Johna w milczeniu. Przypomniała sobie, że nie powiedział jej, jaką wiadomość otrzymał. Podniosła się i stanęła tuż przed nim.

- Jeśli zadam ci jeszcze jedno pytanie, odpowiesz?

- Pewnie jestem masochistą, ale czemu nie? - Wzruszył ramionami. - Pytaj.

- Powiedziałaś, że ten... anioł zawsze przynosi wiadomość...

- Tak.

- Mnie powiedział, żebym uwierzyła, a tobie? Zaśmiał się gorzko.

- Że złamiesz mi serce. Możesz zaufać jego słowom, bo ta przepowiednia już się sprawdziła.

Ostatni raz spojrzął na broszkę i wyszedł.

Ból w jego głosie był przerażający. A świadomość, że to ona jest jego przyczyną, była jeszcze gorsza. Ale jak mogła zgodzić się na swój udział w tym szaleństwie?

Podniosła broszkę, przycisnęła ją do serca i poszła do swojego pokoju. Płakała, jeszcze zanim dotarła do łóżka. Rzuciła się na materac, zwinęła w kłębek i próbowała zasnąć.

Dieter był w Austrii. Już zwykły, leniwy spacer po znajomych ulicach i dźwięk języka, którego uczył się od matki, sprawiły, że poczuł ulgę. Udało się. Dotarł tutaj i starał się dołączyć do szefa. Im szybciej zaczną nowe życie, tym lepiej. Rozglądał się za barem. Chciał się napić dobrego niemieckiego piwa i zagryźć kiełbasą. Na samą myśl o jedzeniu poczuł się głodny. Zobaczył za rogiem szyld z kuflem piwa, szybko więc ruszył w tamtym kierunku.

Minął jeszcze tydzień, zanim opatrunki zostały ostatecznie zdjęte z twarzy Richarda. Czas ten spędził na realizacji kolejnego etapu planu, który miał uwiarygodnić jego nową tożsamość.

Zawiadomił Helgę i Gustava, że wskutek poważnego wypadku musiał poddać się operacji plastycznej. Za pomocą tej samej historyjki załatwił sobie nowe zdjęcie do paszportu. Poszło gładko, w końcu miał zaświadczenie z kliniki o przebytej operacji.

Powoli wracała mu ochota do życia. Zaczął się nawet zastanawiać, jak rozwinąć w Europie swoje interesy. Ale najpierw musi zrealizować kolejny punkt planu. Dopiero potem zajmie się tworzeniem imperium od nowa.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Padał gęsty deszcz, gdy taksówka dowiozła Richarda do jego niemieckiej rezydencji. Rzucił kilkanaście euro na siedzenie i wysiadał, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i przed dom, dzierżąc duży parasol, wybiegł Gustav.

- Witamy w domu, panie Schloss! - zawołał. - Wystraszyliśmy się, kiedy dotarła do nas wiadomość o pańskim wypadku, ale szczęśliwie szybko doszedł pan do siebie.

Taksówkarz wypakował bagaże, w tym małe metalowe pudełko, i odjechał.

Gustav wziął walizkę w jedną rękę, drugą podał Richardowi i ruszyli do domu. Zanim weszli na półpięt-ro, Richard był wyczerpany.

- Nie jestem w najlepszej formie - przyznał, kiedy wreszcie dotarli do sypialni. - Wstaw rzeczy, Helga je później rozpakuje. Zdrzemnę się trochę, ale gdybym nie wstał do kolacji, obudź mnie. Nie chcę tracić posiłku, muszę odzyskać siły.

Gustav wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Dopiero wtedy mógł zająć się niewielkim metalowym pudełkiem.

- A to mój as w rękawie - powiedział z satysfakcją. Sprawdził, czy zamki nie są uszkodzone, i uspokoiony umieścił pudełko na najwyższej półce szafy. Nie zastanawiał się, jak makabryczne musiało się wydać personelowi szpitala jego żądanie, by zachowali skórę i tkanki pozostałe po operacji. Przeszedł do łazienki, włączył światło i stanął przed lustrem. Uśmiechnął się z zadowoleniem i ucieszył się jeszcze bardziej, bo zauważył, że nawet usta układały się inaczej. Inne były też łuki brwiowe. Implanty na policzkach i podbródku wraz z nowym nosem przydawały nieco słowiańskich cech. W połączeniu z nową fryzurą, sam siebie nie poznawał. Poklepał się po piersi, a potem stanął bokiem i podziwiał nową figurę. Odświeżył się i ułożył wygodnie w łóżku. Powoli ogarniał go sen, gdy usłyszał dzwonek telefonu.

- Tak?

- To ja, szefie.

- Gdzie jesteś?

- W Austrii. Wynająłem pokój, ale mogę się przenieść, gdzie tylko będę panu potrzebny.

Richard uśmiechnął się zadowolony.

- Więc Isis nie zawiodła!

Dieter zastanawiał się, czy przekazać wiadomość, którą zostawiła Richardowi, ten jednak natychmiast wyczuł to wahanie.

- Mów! - rozkazał.

- Powiedziała, że jeśli postawi pan nogę w Houston, zabije pana.

- Nie żartowała, nie wie jednak, że nawet jeśli się tam pojawię, i tak mnie nie rozpozna.

- Co ma pan na myśli?

- Sam zobaczysz, jak się spotkamy.

- Kiedy to będzie?
- Jeszcze nie teraz. Najpierw muszę wydobrzeć. Zadzwoń, jak tylko poczuję się lepiej. Jak stoisz z forszą?
- Dobrze, Isis była bardzo hojna. No i załatwiła dobre papiery.
- No tak, czyli nawet nie wiem, z kim rozmawiam - ze śmiechem skomentował Richard.
- Lars Vintner, obywatel USA, ale z austriackimi korzeniami.
- Miło cię poznać, Vintner. Rozmawiasz z Antonen Schlossem.
- Wspaniale, szefie! Wystawiliśmy ich wszystkich! Nie mogę się doczekać nowego życia.
- Taak... Jednak zanim rozpoczniemy nowe życie, muszę uregulować kilka spraw w starym... - mruknął Richard. - Zadzwoń, gdy będzie czas zaczynać.

Minęły dwa straszne dni od tamtego dziwnego dnia.

John zapewniał Alicii wygodę i bezpieczeństwo oraz cierpliwie odpowiadał na pytania, choć z własnej inicjatywy raczej się do niej nie odzywał. Równie dobrze mogłaby być cieniem. Rzadko na nią spoglądał, a jeśli już, to jego spojrzenie było pełne chłodu i dystansu.

Bardzo ją to wszystko bolało, ale nie widziała szans na poprawę.

Tyle już razy rozmyślała nad tym, co powiedział, że sama zaczynała być bliska szaleństwa. Nie miała pojęcia, co jest prawdą, a co złudzeniem, wiedziała tylko, że utraciła to najwspanialsze, co ją w życiu spotkało, a mianowicie miłość Johna.

Co rano budziła się z bólem głowy i podkrążonymi

oczyma. Widać było, że nie jest jej lekko, ale widać było też, że Johna niewiele to obchodzi. Broszka matki leżała przy jej łóżku, brała ją do rąk kilkanaście razy dziennie. Była jedynym dowodem na to, że to szaleństwo zdarzyło się naprawdę. I chociaż próbowała sobie tłumaczyć, że podrzucono jej tylko kopię, i tak niczego to nie wyjaśniało. Musiała zmierzyć się z tym, co przekazał jej Indianin. Uwierzyć - lub nie. Podobnie jak w opowieść Johna.

Pragnęła go tak rozpaczliwie i desperacko, jak nikogo przedtem. Ale bała się, że skończy tak samo obłąkana jak on. Nie odróżniająca snów od jawy, zaplątana w dziwaczny krąg zemsty.

Każda chwila, w której musiał trzymać ją na dystans, była dla niego torturą. Nie czuł takiej pustki w sercu od śmierci Białej Sarenki. Wolałby czuć gniew zamiast tego bólu. Ale nie potrafił gniewać się na nią. Za bardzo wtopiła się w jego duszę i nie widział już, gdzie kończy się on, a zaczyna ona.

Co za ironia losu, że jedyna osoba, której wyjawiał prawdę, odrzuciła nie tylko jego słowa, ale też jego serce.

Wiedział, że ona również cierpi. Twarz miała zmęczoną, zaczerwienione oczy. Setki razy czuł na sobie jej bolesne spojrzenia, ale nie chciał już nic tłumaczyć. Było tak, jak powiedział jej starzec.

Uwierzy... lub nie.

John szykował się do snu, kiedy zadzwonił telefon.

- Sierżant Belmont. Czy pan John Nightwalker?

- Tak.

- Witam. Zajmuję się tym wypadkiem, którego był pan świadkiem.

265

- A, tak. W czym mogę pomóc?
 - Na pewno pana ucieszy, że ofiara wypadku wreszcie odzyskała przytomność. Zdiagnozowano u niej epilepsję, której napad był przyczyną całego zdarzenia. Minał, zanim pan do niej dotarł, ale doznała silnego wstrząśnienia mózgu, ma złamanych kilka żeber i szczękę. Ocalił jej pan życie.
 - Cieszę się, że mogłem pomóc.
 - Gdyby jej pan nie wyciągnął, spłonęłaby. Jej rodzina chciałaby podziękować panu osobiście, ale wolałem najpierw ustalić, czy pan sobie tego życzy.
 - Proszę im przekazać, że cieszę się z jej powrotu do zdrowia. Bardzo się też cieszę, że mogłem pomóc, ale z pewnych przyczyn wolałbym pozostać w cieniu.
 - Tak właśnie myślałem. Pańskie nazwisko wydało mi się znajome, a po powrocie na posterunek tylko się upewniłem. Przypuszczam, że młoda kobieta, która była z panem, to Alicia Ponte?
 - Tak, ale byłbym wdzięczny za dyskrecję. Od tego zależy jej życie.
 - Tak, oczywiście. Proszę tylko przekazać panie Ponte wyrazy uznania i wdzięczności. Mam brata w piechocie morskiej w Iraku, tym bardziej więc doceniam to, co zrobiła. Ujawniła zdradę własnego ojca. To straszne, znaleźć się w takiej sytuacji, tak ciężko wybrać, ale patriotyzm przeważał. To godne najwyższego szacunku.
 - Powtórzę jej.
 - A ja przekażę pańską wiadomość rodzinie poszkodowanej. Trzymajcie się!
 - Dziękuję, sierżancie Belmont.
- Odłożył telefon i zaczął się rozbierać, ale przypomniał sobie, że powinien spełnić obietnicę. Nie chciał widzieć Alicii, bo to zmuszało go do trzymania uczuć na

wodzy, ale i tak kiedyś musiał jej powiedzieć. Im szybciej, tym lepiej.

Przeszedł przez hol i zapukał do drzwi.

Alicja siedziała na łóżku i patrzyła w telewizor, choć i tak żadne słowa do niej nie docierały. Płakała tak długo, że oczy miała czerwone jak u królika. Właśnie sięgała po kolejną chusteczkę, gdy usłyszała pukanie.

- Czego chcesz? - zawołała.

- Mogę wejść?

Wiedziała, jak wygląda, i za nic nie chciała pokazywać mu się w takim stanie.

- Nie!

John położył dłoń na drzwiach, oparł czoło o framugę i przymknął oczy.

- Muszę ci coś powiedzieć!

Przewróciła oczami, zwinęła chusteczkę w kulkę i cisnęła do kosza. Nie trafiła, jak prawie zawsze zresztą. Zwlokła się z łóżka i otworzyła drzwi.

- Czego? - rzuciła opryskliwie.

- Płakałaś - stwierdził oskarżycielsko i zaraz pomyślał, jak głupio to zabrzmiało.

- Co ty powiesz, Sherlocku. - Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Zagryzł usta, żeby nie krzyknąć, i zapukał jeszcze raz.

- Co znowu?!

- Jeszcze nie skończyłem.

- Aleja tak! I z moim ojcem, i z tobą! A właściwie ze wszystkimi facetami. Tylko potraficie kłamać i mnie ranić!

Z trzaskiem otworzył drzwi i wtargnął do środka. Popatrzyła na niego rozszerzonymi ze strachu oczyma. Cóż, trochę jednak przesadziła.

Podszedł do niej, stuknął ją palcem w zębra.

- Nie kłamałem - wycodził. - To ty nie uwierzyłaś. Sama doprowadziłaś się do takiego stanu. Możesz w nim tkwić, ale nie wiń mnie za to.

- Au! - Potarła zębra. - To bolało.

- I dobrze!

Westchnęła ciężko. Nie było sensu ciągnąć tematu.

- Co masz mi do powiedzenia?

- Dzwonili z posterunku policji drogowej. Kobieta odzyskała przytomność i będzie żyła. Miała atak epilepsji. Funkcjonariusz skojarzył moje nazwisko i domyślił się, kim jesteś. Obiecał utrzymać to w tajemnicy, ale prosił, żeby ci podziękować. Mówił, że rozumie, jakie to było trudne dla ciebie wydać ojca, ale docenia to. Jego brat walczy w Iraku. - Obrócił się na pięcie i jeszcze głośniej trzasnął drzwiami.

Sięgnęła po kolejną chusteczkę.

- I dobrze! - mruknęła do siebie, powrzucała do kosza zmięte chusteczki i poszła do kuchni.

Właśnie naląła sobie soku i szykowała kanapkę, gdy w progu stanął John.

Pierwsza myśl, która przyszła mu do głowy, to spostrzeżenie, że jeszcze niedawno nie umiała zrobić sobie nic do jedzenia, a teraz całkiem żwawo opróżnia jego lodówkę.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś - powiedział. - Przepraszam.

- To twój dom. - Wzruszyła ramionami.

Chciał coś powiedzieć, ale uznał, że to doprowadzi tylko do kolejnej awantury, więc wyszedł.

Przygotowała sobie kanapki i usiadła przy stole. Po kilku minutach w kuchni znowu pojawił się John.

- Przepraszam - powtórzył. - Myślałem, że już wyszłaś.

- Zamknij się, dobrze? - rzuciła ostro, poprawiając plaster pomidora. - I przestań mnie ciągle przepraszać za to, że wchodzisz do własnej kuchni. To ja tu jestem intruzem. Do tego mam okropny nastrój, więc lepiej zajmij się swoimi sprawami i pozwól mi zostać w tym bałaganie, który sama sobie zafundowałam. Dobrze?

Spodziewała się każdej reakcji, tylko nie śmiechu. Zanim podniosła wzrok, już go nie było, ale nadal słyszała śmiech rozlegający się w korytarzu.

- Zasłużyłam na medal za dowcip dnia - mruknęła kwaśno, po czym wstawiła naczynia do zmywarki, zupełnie nieświadoma, że właśnie dokonała pierwszego wyłomu w dzielącym ich murze.

John, gdy już znalazł się w swoim gabinecie, nadal się uśmiechał. Dużo jeszcze brakowało do tego, aby wróciła dawna atmosfera, ale po raz pierwszy od kilku dni miał wrażenie, że jest dla nich jakaś szansa. Niesamowita kobieta! Ani Richard Ponte, ani on nie byli w stanie jej złamać.

Gdy tym zmęczonym, smutnym głosem kazała mu się zaniknąć, miał ochotę ją pocałować. Była najbardziej irytującą, upartą, bezkompromisową i twardą kobietą, jaką kiedykolwiek znał. Nawet buńczuczna z natury Biała Sarenka nigdy nie podważała jego autorytetu, ale Alicia jasno dawała wyraz temu, że zarówno on, jak i cała reszta jego gatunku jest do kitu.

Usiadł przy biurku i otworzył laptopa. I tak nie potrafiłby teraz zasnąć. Czekał, aż załadują się wszystkie programy, rozmyślał o tym, co powiedziałby jego ojciec, gdyby opisał mu postęp ludzkości, telewizję, telefon, nie mówiąc już o locie na Księżyc.

I nagle dotarła do niego zadziwiająca prawda. Jego

ojciec zareagowałby tak samo jak ona - uznałby go za szaleńca.

Potał twarz dłońmi.

Naprawdę winien jej był przeprosiny. Może nie za wszystko, ale i tak narozrabiał całkiem solidnie.

Znow przeszedł do kuchni.

- Chciałem ci coś zaproponować... - powiedział już od progu.

- Tak?

Z wahaniem wyciągnął rękę.

- Rozejm...? - spytał niepewnie.

Też była zmęczona tą zimną wojną, więc propozycja Johna była jak odpowiedź na jej modlitwy.

- Tak. Dziękuję - zgodziła się szybko.

Wziął ją w ramiona, pocałował w czubek głowy, a potem w policzek, usta... Znowu i znowu. Aż obojgu brakło tchu.

- Jestem ci winien przeprosiny - powiedział miękko.

- Kilka minut temu coś zrozumiałem.

Była tak szczęśliwa, że ledwie docierał do niej sens jego słów.

- Co takiego?

- Czekałem, aż uruchomi się mój komputer i myślałem o tym, że taka mała skrzynka łączy mnie z całym światem. I nagle zrozumiałem, jak trudno byłoby mi wytłumaczyć to mojemu ojcu.

Nie miała pojęcia, o jakim ojcu mówi. O tym prawdziwym czy o tym urojonym sprzed pięciuset lat?

- I co? - ponagliła go.

- Dotarło do mnie, że uznałby mnie za szaleńca i wezwał szamana, by mnie uleczył. Innymi słowy...

- Ujął w dłonie jej twarz. - Zareagowałby podobnie jak ty. Ale jego nie wygnałbym ze swojego życia.

Więc

dlaczego zrobiłem tak z tobą? Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Westchnęła. A więc nadal upierał się przy swoich urojeniach...

I co z tego, pomyślała nagle. Kochał ją. Stał przed nią inteligentny, szczodry i dzielny mężczyzna.

Prawda, trochę dziwny, ale to nieistotne. No, prawie.

- John, dobrze mi z tym, że już się na mnie nie wściekasz, dlatego zgodzę się niemal na wszystko, co powiesz. Niemal... Rozumiesz, co mam na myśli?

Owszem, pojmował ją doskonale. Czuła się niepewnie w tej dziwacznej sytuacji, zastrzegła więc sobie obszar, który można by nazwać Królestwem Rozumu. Nie miało tam wstępu nic, co było sprzeczne z logiką, oficjalną nauką i czymś, co powszechnie nazywa się zdrowym rozsądkiem.

Uszanuje to, rzecz jasna i dlatego nieodwołalnie będą inaczej postrzegać świat, rzeczywistość. Lecz przede wszystkim tęsknili do siebie i pragnęli swojej bliskości.

- Rozumiem - stwierdził pogodnie. - Chyba da się z tym żyć.

- Też tak myślę. - Przytuliła go mocno. Nieważne, czy był szalony. Wolała żyć z szaleńcem, niż spędzić kolejny dzień w takim chłdzie, tęskniąc do faceta, który był dwie ściany dalej.

- Dokąd więc zmierzamy? - spytał.

- Do łóżka?

- Już myślałem, że nigdy tego nie powiesz - wyszeptał, idąc z nią do sypialni.

Rozbierali się bez słów. Gdy byli już nago, chwycił ją w ramiona. Czas się zatrzymał.

- Alicio... - Z zachwytem patrzył na jej cudowne ciało.

- Kochaj mnie, John. Tak tęskniłam...

Zaczął od jej ust, a potem całował każdy centymetr jej ciała, aż cała płonęła z pożądania.

Słyszał jej szepty i zaklęcia, odpowiadał w języku swojego plemienia. Uzdrawiał serce i duszę. A kiedy przyjęła go w siebie, poczuł się, jakby wrócił do domu.

- Alicio... - szeptał w uniesieniu. - Alicio... Potem przez kilka spokojnych chwil po prostu leżeli, delektując się wzajemną bliskością. Przejechał palcami przez jej włosy i wyszeptał:

- Moja...

Westchnęła cicho. To była prawda. Wiedziała, że na dobre i na złe oddała serce temu mężczyźnie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Dieter spędzał kolejny leniwy poranek w kawiarni, rozkoszując się smakiem kruchego rogalika i kawy cynamonowej. Już dwa tygodnie spędził w austriackim pensjonacie i zaczynał się przyzwyczajać do spokojnych, podobnych do siebie jak krople wody dni.

Kiedy dopijał resztkę kawy, zadzwonił telefon. Zerknął na wyświetlacz i dał sobie sekundę, zanim odebrał. Wiedział, że ten dzwonek oznacza koniec sielanki.

- Witam, szefie.

- Zaczynałem już myśleć, że nie odbierzesz - burknął Richard. - Słuchaj uważnie. Chcę jak najszybciej dokończyć nasze sprawy. Dziś dostaniesz przesyłkę. Będą tam dalsze instrukcje i bilet lotniczy.

- Dokąd lecę?

- Lecimy.

- Pan też? - zdziwił się Dieter.

- Tak. Spotkam się z tobą na wyspach Bahama, ale ostrzegam, to nie będą wakacje.

- Domyślam się.

- Wypełnij instrukcję i nie spóźnij się na lot - rozkazał Richard i rozłączył się.

Dieter westchnął, schował telefon do kieszeni i zamó-

wił jeszcze jedną kawę. Chciał cieszyć się każdą chwilą, bo wszystkie znaki na niebie i ziemi mówiły, że to jego ostatnie spokojne godziny.

Corbin Woodliff właśnie kończył artykuł o oszustwach w opiece społecznej, gdy zadzwonił telefon.

- John! - ucieszył się. - Od dawna nie dawałeś znaku życia. Co słyhać?

- Właśnie dlatego dzwonię do ciebie. Myślałem o powrocie do Georgii, ale chciałbym się dowiedzieć, na jakim etapie są poszukiwania. Wiesz coś?

- Niestety nie mam pocieszających wieści. Ostatni trop prowadził na Bałkany, ale okazał się ślepym zaułkiem. Nie namierzyli tego drania.

- A niech to... - John skrzywił się. Nie zabrzmiało to dobrze. Z drugiej jednak strony w Arizonie wcale nie byli bardziej bezpieczni niż w Georgii, bo oba miejsca zostały namierzone, a wolał tamten dom. Jeszcze nie rozmawiał z Alicią o tym pomysłe, ale wiedział, że na tym pustynnym pustkowiu też czuła się jak w więzieniu.

- Co więc zamierzasz zrobić? - spytał Corbin.

- Muszę naradzić się z Alicią. Jeśli się przeniesiemy, dam ci znać.

- Dzięki. Odezwę się, jak czegoś się dowiem. Aha, John!

- Tak?

- Jak już to wszystko się skończy, nie zapomnij, że temat jest mój.

- Jasne, dziennikarska hieno - odparł ze śmiechem i odłożył słuchawkę.

Ruszył na poszukiwana Alicii. Zajęty pracą nie widział jej od śniadania i chciał wiedzieć, co porabia.

Przed chwilą wzięła prysznic. Stała przy oknie i wpatrywała się w pustynny krajobraz. Góry, piach i z rzadka rosnące kaktusy. Ten widok przypominał jej własne życie - puste i jałowe.

Gdyby dziś umarła, nikogo poza Johnem nie obeszło-by to specjalnie. Z uwagi na ostatnie wydarzenia pojawiłoby się kilka informacji w programach informacyjnych, ale nikt by po niej nie zapłakał.

Przezesła palcami mokre włosy i owinęła je ręcznikiem. Może jej życie potoczyłoby się inaczej, gdyby matka nie umarła tak szybko, może ojciec byłby inny?

Westchnęła ciężko. Takie myślenie oczywiście prowadziło donikąd.

Wzięła grzebień i wyszła na taras. Słońce już się podniosło, niebo było zupełnie czyste. Usiadła, zdjęła ręcznik i zaczęła przeczesywać włosy, aż długie, jedwabiste pasma stały się gładkie i błyszczące.

Właśnie miała zapleść je w prosty warkocz, gdy na niebie pojawił się duży ptak. Zataczał coraz większe kręgi, wyraźnie wypatrując zdobyczy. Zapatrzona w niego przestała myśleć, co robi. Jej palce bezwiednie podzieliły włosy na cztery pasma i zaczęły je splatać.

John przeszukał cały dom, ale nigdzie jej nie znalazł. Dopiero gdy dotarł do salonu, zobaczył ją na tarasie. Dostrzegł ruchy jej dłoni na włosach i zapało mu dech.

Znów poczuł się tak, jakby czas cofnął się o pół tysiąclecia. Był w swojej wiosce i patrzył na Białą Sarenkę, która splatała długie włosy. Zamiast pleść warkocz z trzech pasm, jak inne kobiety, dzieliła włosy na cztery.

Tak robiła Biała Sarenka, ale nie Alicia.

Serce mocno dudniło mu w piersi, gdy przechodził

przez salon. Czy to działa się naprawdę, czy też to kolejny sen, z którego zaraz się obudzi? Doszedł do niej w chwili, gdy wyciągnęła z kieszeni gumkę i związywała końcówki włosów. Zauważywszy jego cień na posadzce, uśmiechnęła się.

- Właśnie miałam wejść do środka.

Ujął jej twarz i przejechał kciukiem po ustach. Potem dotknął głowy i drżącymi palcami przesunął po całej długości warkocza. Brakowało mu tchu, czuł skurcz w gardle.

- Alicia... jak to zrobiłaś?

- Co zrobiłam? - zdziwiła się, zbierając swoje rzeczy.

- Tak zaplotłaś włosy.

Sięgnęła rękami do tyłu i ujęła gruby, płaski warkocz.

- O! - wyszeptała z niedowierzaniem. - Ja tego nie zrobiłam. Nie umiałabym...

Uniósł jej twarz, wpatrywał się w rysy, jakby nigdy dotąd ich nie widział. Wystraszyła się nieco, on zaś miał wrażenie, jakby poruszał się we śnie.

- Co się stało? - spytała drżącym głosem. - Czy to kolejny cud wywołany magią tego miejsca?

- Patrz na mnie, Alicio! - poprosił. - Patrz!

- Patrzę przecież! Widzę cię...

- Czy to ty... czy to ty, moja miłości? - szeptał, błędząc palcami po jej twarzy.

Zaczynała naprawdę się bać. Działo się tu coś, czego nie rozumiała.

- John, co się dzieje? Proszę, mów do mnie. Drgnął, jakby wybudzał się z transu, a potem pochylił się i oparł czoło na jej czole. Przez chwilę ich oddechy się mieszały, a serca biły z równą niepewnością, jak rozumieć to, co się właśnie wydarzyło. Wreszcie objął ją i przycisnął do siebie.

- Zrobiłam coś złego? - spytała niepewnie.
- Przeciwnie, kochanie, przeciwnie. Zrobiłaś coś wspaniałego. Coś, co usiłowałaś mi powiedzieć od dnia naszego spotkania, ale nie chciałem tego dostrzec, bo w moim sercu było zbyt wiele nienawiści. Przepraszam, maleńka. Przepraszam...
- Nie rozumiem... - szepnęła, patrząc na niego badawczo.
- Raz jeszcze spojrzął na warkocz, przytulił ją.
- Nie szkodzi. Nic nie jest teraz ważniejsze od tego, że tu jesteś.
- Oczywiście, że jestem tu... - Odsunęła się lekko, oparła dłonie na biodrach i spojrzała na niego uważnie. - Myślałam, że porozumieliśmy się, co do twoich... wierzeń. Jeśli mogę ci jakoś pomóc, powiedz. Nie obchodzi mnie, czy uważasz, że masz pięć czy pięćset lat, ale nie chcę cię stracić! Pocałował ją. Był tak roztrzęsiony, że ledwie mógł myśleć, ale nie wiedział, jak wytłumaczyć jej swoje uczucia.
- Nie stracisz mnie - wyszeptał miękko. - Obiecuję. A ja nie stracę ciebie, nigdy więcej. Zgoda?
- Zgoda. - Przebiegła palcami po warkoczu. - Swoją drogą, nie mam pojęcia, jak mi się to udało. Nie zwracałam uwagi na warkocz, bo patrzyłam na ptaka. Nie umiałabym drugi raz tak samo zapleść włosów.
- Pewnie nie... - Chwycił ją w ramiona. - Mam pomysł!
- Jaki?
- Co powiesz na to, żebyśmy wrócili do domu? Do Georgii?
- Naprawdę? Możemy? - Rozejrzała się wokół. - To miejsce jest piękne, ale... takie odległe od wszystkiego.

- Dlatego tu przyjechaliśmy, ale myślę, że potrafię cię uchronić, gdziekolwiek będziemy.
- Już się pakuję! Kiedy ruszamy?
- Rano polecimy do Sedony, zatankujemy, a potem kierunek wschód!
- Świetnie, John! - Uniosła ręce i odtańczyła taniec zwycięstwa, zanim weszła do domu.

Patrzył z czułością na długi warkocz powiewający za nią, zupełnie jak wtedy, gdy była trochę niższa i nosiła niebieskie piórko we włosach.

Richard stał przy punkcie odpraw bagażowych na lotnisku w Nassau i czekał na Dietera. Miał na sobie białe szorty i niebieskie polo. By chronić ogoloną głowę i operowaną twarz, włożył duże okulary i kapelusz z szerokim rondem. Wyglądał jak zamożny biznesmen na wakacjach.

Co kilka minut zerkał na zegarek. Nie cierpiał czekać. Sprawdził już, że samolot Dietera przyleciał bez opóźnień, lada chwila więc powinien tu być.

On sam przyleciał wczoraj, wynajął apartament w hotelu i odpoczął po podróży. Nie chciał podróżować ze swoją cenną walizeczką, nadał ją więc już wcześniej, z nową porcją suchego lodu i dokładną instrukcją, jak ją przechowywać.

Jutro, może pojutrze Richard Ponte umrze. Będą o tym trąbić wszystkie media, już on tego dopilnuje, choć i tak będzie to news na pierwsze strony gazet. Oczywiście by fakt stał się niezbity, musi być potwierdzony testami DNA, ale właśnie na tym polegał jego genialny plan. Rozpierała go duma, jednak czuł pewien niedosyt z tego powodu, że jedynie Dieter będzie mógł to docenić.

Wreszcie od strony wyjścia pojawiła się grupa podróżnych, wśród których z trudem wypatrzył Dietera, który ufarbował włosy i zapuścił wąsy, by upodobnić się do zdjęć w dokumentach. Wyglądał tylko trochę starzej, ale trudno było go rozpoznać.

Już chciał do niego pomachać, pomyślał jednak, że to doskonała okazja, żeby wreszcie sprawdzić swój nowy wizerunek...

Dieter stał przy taśmie z bagażami. Otarł pot z czoła. Był zmęczony podróżą, żałował, że nie włożył lżejszych ubrań. Bardzo chciało mu się pić.

Co jakiś czas szukał wzrokiem Richarda. Wiedział, że szef będzie w przebraniu, ale z całą pewnością go rozpozna. Pracował dla niego od piętnastu lat i znał tego zimnego drania jak samego siebie. Jednak po kilku minutach obserwacji uznał, że szef jeszcze nie dotarł. Nie, na pewno czeka przy postoju taksówek, pomyślał Dieter.

Gdy ukazała się jego walizka, złapał ją za uchwyt i potoczył się do wyjścia.

- Nawet się nie przywitasz?

Dieter wpatrywał się zdumiony w mężczyznę, który zastąpił mu drogę. Głos był znajomy, ale to wszystko.

- Szef? - spytał niepewnie.

Richard uśmiechnął się z satysfakcją. Jeśli Dieter go nie rozpoznał, to nikt go nie rozpozna.

- Anton Schloss. Chyba mnie pan szukał? Dieter wciąż patrzył z niedowierzaniem.

- To... to naprawdę pan?

Gdy Richard roześmiał się, Dieter drgnął. Znał ten śmiech.

- Dobra, Lars, zabieraj bagaże i chodź za mną. Taksówka czeka.

Wciąż oszołomiony Dieter chwycił walizkę i podążył za odmienionym szefem.

Jak się spodziewał, hotel był najwyższej klasy. Może i Richard się zmienił zewnętrznie, ale innych cech nie zatracił. Zmieszani z tłumem turystów minęli recepcję i skierowali się do windy.

- Do twojego pokoju - powiedział Richard, podając mu kartę. - Wziąłem apartament.

Wysiedli z windy i przeszli do pokoju. Ledwie drzwi się za nimi zatrzasnęły, Dieter rzucił walizkę i zawołał:

- Jak pan to zrobił?

- Tu trochę dodać, tam trochę odjąć, i proszę... oto Anton Schloss, niemiecki biznesmen na wakacjach - oświadczył z satysfakcją.

- Miał pan operację plastyczną? Całej twarzy?

- Raczej całego ciała - poprawił Richard i zdjął okulary. - Jak wyglądam?

- Przerażająco... to znaczy... przerażająco dobrze. Szefie, szczerze, zatkało mnie!

- Co mnie bardzo cieszy. Doktorek wykonał niezłą robotę. - Uśmiechnął się z satysfakcją. - Na pewno jesteś zmęczony. Odpocznij trochę. Spotkamy się za godzinę, zjemy coś i pójdziemy na przystań.

- Hm... Zamierza pan łowić?

- Ciepło, Lars, ciepło... Potrzebuję dużego, świeżo złowionego rekina. Mam nadzieję, że i tym razem nam się powiedzie.

- Ostrzegam, że nie są zbyt smaczne...

- Nie będziemy go jeść, Dieter. To on zje mnie.

Słońce już zachodziło, gdy John zbliżał się do lądowiska przy domu w Georgii. Wody oceanu były ciemne i wzburzone, typowe dla Atlantyku, ale sam ich widok po

tylu dniach oglądania piasków pustyni, podniósł go na duchu.

- Zaraz będziemy na miejscu - powiedział. Podobnie jak poprzednio, Alicia źle zniosła lot i odliczała minuty do lądowania.

- Nie widać nic podejrzanego? - spytała nerwowo. Ogarnął teren uważnym spojrzeniem.

- Wszystko w porządku. Tutaj systemy alarmowe są jeszcze bardziej rozbudowane niż w Sedonie i połączone z posterunkiem policji w Justice. Gdyby ktokolwiek się włamał, natychmiast poszłaby tam informacja. - Sprowadził maszynę niżej, wylądował. - Witaj w domu!

Gdy opuściliabinę, Alicia odetchnęła głęboko.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że wreszcie stoję na ziemi.

Objął ją mocno i pocałował, a potem poprowadził do domu.

- Uciekaj z tego wiatru - ponaglił ją, otwierając drzwi.

- To miłe uczucie. Taki wiatr to zupełnie coś innego niż pustynny. - Zatrzymała się w progu, obróciła i odetchnęła głęboko. - Kocham zapach oceanu, dlatego wołałam zostać w Miami, gdy ojciec wyjeżdżał na dłużej.

- Jesteśmy dość daleko od Florydy - zauważył.

- Wiem, ale... Miami, cóż... Spędziłam tam prawie całe życie, John... To dziwne... ale właśnie tu czuję się jak w domu.

Poruszyła go głęboka, płynąca z duszy szczerść tych słów. Być może Alicia nigdy nie zrozumie, że była z nim już wcześniej, i to właśnie w tym miejscu. A jeśli sama nie dotrze do tej prawdy, z całą pewnością nie będzie na

siłę jej przekonywał, bo to nie prowadziło do niczego dobrego. Zresztą wystarczyło mu, że sam znał tę prawdę.

Wniósł bagaże i zamknął drzwi. Czuł podobnie jak Alicia - nie miało znaczenia, gdzie przebywał i jak wiele posiadał rezydencji. Znalazł się w domu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Pierwszy etap genialnego planu Richarda polegał na wysadzeniu jego ulubionego jachtu. Wcale mu się to nie podobało, ale nie było innego wyjścia. Wiedział, że jacht jest pod obserwacją agentów federalnych, podobnie jak wszystkie jego rezydencje i inne nieruchomości rozsiane po całych Stanach. Kapitan, zgodnie z jego rozkazem, raz na tydzień miał wyprowadzać łódź z portu i Richard nie sądził, aby to się zmieniło.

Zeszłej nocy Dieter włożył kombinezon nurka, podpłynął do łodzi i przymocował bombę do kadłuba. Zapalnik był nastawiony na wybuch po dziesięciu godzinach.

Do tego czasu jacht znajdował się na morzu. A wtedy zamierzał wprowadzić na scenę rekina.

Richard siedział w porcie z filiżanką kawy i obserwował, jak kapitan podniósł kotwicę i łódź wypłynęła w morze. Do wybuchu została jeszcze godzina.

Dopił kawę, wstał i poszedł do zaparkowanego nieopodal samochodu, w którym czekał Dieter.

- Idę na śniadanie - poinformował go. - Ty tu siedź i czekaj na wiadomość dnia.

- Tak jest, szefie - mruknął Dieter. Też miał ochotę na śniadanie, ale musiał obejść się smakiem. Natomiast wczoraj Richard wysłał go na przystań z atrakcyjną ofertą: kto pierwszy przyniesie sporego rekina, dostanie tysiąc dolarów.

Siedział tak około godziny, gdy nagle na nabrzeżu zapanowało poruszenie. Rozległy się syreny, wystartował helikopter, a kilka łodzi wypłynęło w morze.

- Ej, co się dzieje? - spytał przebiegającego mężczyznę.

- Dostaliśmy wiadomość SOS od jakiegoś rybaka. Widział wybuchający jacht!

- Ktoś przeżył?

- Raczej nie. Jacht zatonął, zanim zdążyli do niego dopłynąć.

- To straszne - stwierdził Dieter. Mężczyzna przytaknął i pobiegł dalej.

Gdy tylko wokół opustoszało, Dieter sięgnął po telefon i zadzwonił do Richarda.

- Wybuchło - zameldował. - Żadnych rozbitków.

- Co za strata - zakpił Richard. - Informuj, gdy przyjedzie dostawa.

- Tak jest, szefie.

Po czterech godzinach pojawił się oczekiwany rekin. Po chwili Dieter jechał z nim do pustego budynku, wynajętego przez Richarda.

Rekin nie był zbyt duży, ale wystarczający do ich celów.

Richard przybył na miejsce ze swoją cenną walizeczką. Uśmiechnął się, gdy pomyślał, że objechała pół świata, aż wreszcie dotarła do miejsca przeznaczenia. Wysypał jej zawartość do wanienki ze słoną wodą. Dorzucili tam portfel, parę kawałków spodni i zakrwa-

wiony rękaw koszuli. Po godzinie moczenia w słonej wodzie Richard uznał, że czas na kolejny etap. Rozwarł szeroko paszczę ryby, a Dieter włożył długie chirurgiczne rękawice i z trudem pokonując obrzydzenie, wpychał wszystko do gardła rekina.

Po skończonej operacji Richard wyglądał na bardzo zadowolonego, a Dieter przyrzekł sobie, że już nigdy nie tknie żadnej ryby.

Richard obejrzał pomieszczenie, sprawdzając, czy nigdzie nie zostały ślady ich działalności, a potem wybrał numer w telefonie.

- Firma Landis Taxidermy, preparowanie zwierząt - usłyszał.

- Witam, Anton Schloss - mówił, starając się przybrać niemiecki akcent. - Dzwoniłem wczoraj z pytaniem, czy wyprawicie moją zdobycz.

- Oczywiście panie Schloss. Rozumiem, że właśnie złapał pan wymarzonego rekina.

- To był mój szczęśliwy ranek.

- Gratuluję. Wszystko już przygotowane, zapraszamy do naszej siedziby.

- Mam rekina na przyczepie, będę u pana za kilka minut.

Niedługo potem rekin leżał na laboratoryjnym stole w firmie George'a Landisa, a Richard stał obok z kamerą. Nalegał, by pozwolono mu filmować cały proces sprawiania ryby. Landis nie był tym zachwycony, ale pięćset dolarów ponad taryfową stawkę uśmierzyło jego obiekcje.

Nagranie zostanie rozesłane do popularnych stacji telewizyjnych, i tym samym Richard zagra na nosie wszystkim, którzy chcieli go pograć. Gdyby tylko

wiedzieli, jak doskonale się bawił, aranżując zdarzenia i pociągając za kolejne sznurki! Czuł złośliwą satysfakcję, a zarazem puchł z dumy, gdy myślał, że zaraz nagra wydobywanie szczątków własnego ciała z gardła rekina. Plan naprawdę był genialny.

Wiedział, że samo ciało nie wystarczy, by wszystko poszło po jego myśli, dlatego dodał portfel razem z prawem jazdy i kartami kredytowymi, a jako bonus swoje zdjęcie z Alicią zrobione na imprezie charytatywnej. Miał nadzieję, że wydobyta z brzucha rekina fotografia będzie ją prześladować i w sennych koszmarach, i na jawie. Zdradzony przez córkę ojciec nie rozstawał się z jej zdjęciem...

- Jesteś gotów, George? - spytał.

Landis przytaknął, więc Richard włączył kamerę. Wyostrzył obraz na dłoń George'a, który właśnie przecinał od spodu skórę rekina.

- Uff... - sapnął Richard z niesmakiem, kiedy wnętrzności wypadły na stół. Wcale nie udawał, widok był okropny, a już odór...

Lecz i tak przysunął się bliżej, filmując uważnie. Gdy wśród wnętrzności pojawił się portfel, krzyknął:

- A co to takiego?!

George zamarł na chwilę, a potem pochylił się nad stołem.

- Niech mnie diabli... - jęknął.

- Co to jest?

- Jezu, kawałki skóry... ludzkiej... - Ostrożnie otworzył portfel. - Amerykańskie dokumenty... Jakiś... Pont...

Richard przewrócił oczami. Szlag go trafiał, gdy przekręcano jego nazwisko, a zaczęło się to już w szkole.

275

- Są też karty kredytowe i spora gotówka... Doprawdy, złowił pan cenną rybkę, panie Schloss.

- Myślę, że powinniśmy poinformować władze - zasugerował Richard.

- Oczywiście!

George umył ręce i złapał za telefon. Richard słyszał, jak podekscytowanym głosem relacjonuje jakiemuś funkcj onariuszo wi:

- Nie uwierzcie! Rozciąłem brzuch rekina i na stół wypadł truposzczak! Znaczy się człowiek, rozumiecie?!

Richard grał swoją rolę aż do końca. Ochoczo oddał władzom nagranie i prawo do rekina. Nie zauważyli, że przekazując kasetę, wytarł ją dokładnie. Nie był durniem, nie zamierzał zostawiać odcisków palców.

- Tak, zostanę tu jeszcze dzień lub dwa - poinformował policjanta. - Ale potem wracam do domu. Nie muszę chyba mówić, że przeszła mi ochota na łowienie. Biedny człowiek...

- Rozumiem. - Funkcjonariusz oddał mu paszport.

- Bardzo dziękujemy za pomoc. Szkoda, że będzie pan miał przykre wspomnienia z wakacji.

- Och, nie ma o czym mówić. Prawdziwego pecha miał ten Ponte. Co za paskudny koniec, zostać rozszarpanym przez rekina.

Pożegnał się, a po kilku minutach jechał taksówką do hotelu.

- Jak poszło? - dopytywał się Dieter.

- Łyknęli historyjkę. Wpadła prosto do ich paszczy

- dodał, rozbawiony własnym dowcipem.

Od kilku dni przebywali w Georgii. Dziś wstali późno, zjedli śniadanie i uznali, że sobie poleniuchują na słońcu.

Alicia poszła na taras i wyciągnęła się wygodnie na kocu, natomiast John ruszył do łazienki po krem do opalania.

Wtedy zadzwonił telefon. John zatrzymał się, patrząc tęsknie na cudowne kształty Alicii, na jej długie nogi. Nie chciał odbierać, bo po drugiej stronie był jakiś intruz, ale telefon dzwonił uparcie.

- Halo?

- John Nightwalker?

- Tak.

- Tu agent specjalny Joshua z FBI. Czy panna Ponte jest z panem?

- Tak. Dlaczego pan pyta?

- Chciałbym prosić, żeby zjawiła się jutro w Savannah. Jacht jej ojca eksplodował na wyspach Bahama, w pobliżu Nassau. Kilka godzin później jakiś turysta przyniósł rekina do preparatora zwierząt. Znalaziono w nim portfel, szczątki ubrań i fragmenty ciała. Dokumenty znalezione w portfelu opiewają na nazwisko Richard Ponte. Przeprowadzamy testy DNA znalezionych szczątków i musimy je porównać z DNA córki.

- To nie był on - zaprzeczył John mimowolnie.

- Co to znaczy? - zdumiał się Joshua. - Ma pan jakieś informacje?

- Nie. Przepraszam, źle to zabrzmiało. Miałem na myśli tylko tyle... że to byłoby zbyt proste - wymyślił naprędce. Nie mógł przecież powiedzieć, jak każdy nerw jego ciała ostrzegał, że dusza złoczyńcy nadal jest na ziemi.

- Aaa... Rozumiem - uspokoił się Joshua. - Brzmi to logicznie, biorąc pod uwagę, kim był i jakie zamieszanie wywołał Richard Ponte, ale wie pan, panie Nightwalker, nauczyłem się przez lata w FBI przyjmować fakty do

wiadomości i niczemu się nie dziwić, tylko wyciągać logiczne wnioski...

- Jasne - mruknął John.

- Wracając do tematu, przywiezie ją pan czy mamy tam kogoś wysłać?

- Nie, nie, przywiozę.

- W takim razie proszę zapisać, gdzie się spotkacie z naszym człowiekiem.

John zanotował dane. Starał się działać spokojnie, ale w środku aż w nim buzowało. Odłożył słuchawkę. Nie wiedział, jak przekazać Alicji wiadomość o śmierci ojca. I, co ważniejsze, jak ją przekonać, że jego przeczucia są zupełnie inne...

- Już myślałam, że o mnie zapomniawsz - mruknęła na jego widok.

Kłęknął przy niej, nabrał na dłoń nieco balsamu i zaczął rozsmarowywać na jej gładkiej skórze.

- Nigdy...

- Dzwonił ktoś? - spytała, odchylając głowę, aby wysmarował jej kark.

- Agent Joshua, jeden z tych, którzy aresztowali Carruthersa.

Odwróciła się do niego. Jedno spojrzenie wystarczyło jej, by wyczytać z jego twarzy, że coś się stało.

- Mów, John.

- Jacht twojego ojca wyleciał w powietrze. Po kilku godzinach w brzuchu złowionego rekina znaleziono kawałki ludzkiego ciała, odzieży i portfel.

Objęła kolana rękoma i przyciągnęła je do siebie, jakby szykowała się na nadchodzący cios. Widział, że łzy napływają jej do oczu, ale starała się, by głos brzmiał spokojnie:

- I co?

289

- Portfel należał do twojego ojca. Chcą, żebyś przyjechała do Savannah na testy porównawcze DNA.

- O Boże! - Oparła głowę na kolanach. - O Boże... John westchnął ciężko. Nie wiedział, czy powiedzieć

o swoich podejrzeniach, czy też pozwolić, by niepotrzebnie opłakiwała ojca.

Delikatnie położył rękę na jej ramieniu. Musiał powiedzieć. Potem niech sama wybierze.

- Alicia...

Uniosła zapłakane oczy.

- Próbował mnie zabić. Dlaczego więc płaczę...? Milczał, spojrzała więc na niego i zrozumiała, że chce

jej powiedzieć coś jeszcze.

- Mów, John...

- To ci się nie spodoba - ostrzegł.

- Wiele rzeczy mi się nie podoba, ale nie mają nic wspólnego z tobą. Mów więc.

- Pamiętasz, jak ci mówiłem, że czuję, kiedy odradza się dusza tego Hiszpana? - Gdy skinęła głową, patrząc na niego nieufnie, dodał: - A pamiętasz, jak mówiłem, że wyczuwam także jego śmierć? - Nie zdziwił się, gdy przytaknęła jeszcze bardziej niepewnie. - Posłuchaj, Alicio. Nie obchodzi mnie, co wykażą testy ani to, co twierdzą agenci. Zapewniam cię, że twój ojciec nie umarł.

Chciała zaprzeczyć, lecz wtedy musiałaby znów nazwać go szaleńcem albo kłamcą, a tego nie chciała. Już nie.

- Może testy DNA dowiodą, że masz rację... - podsunęła.

- Wątpię. Nie wiem, jak on to zrobił, ale oszukał ich. Zrobimy te testy, lecz niezależnie od tego, co wykażą, zapewniam, że on nie umarł, a ty nadal nie jesteś

bezpieczna. Chcę, żebyś zdawała sobie z tego sprawę. Jak również z tego, że nie pozwolę cię skrzywdzić.

Znów chciało jej się płakać, tym razem jednak z powodu Johna. Objęła go za szyję, przytuliła mocno.

- Kocham cię, Johnie Nightwalkerze - szepnęła miękko. - Bardzo cię kocham.

Wiedział, że mu nie uwierzyła, ale przynajmniej zrezygnowała z kłótni. Na razie nie powinien liczyć na więcej.

- Kiedy jedziemy do Savannah? - spytała

- Jutro. Ktoś z FBI będzie w szpitalu, żeby pobrać próbkę.

- Przykro mi, że znów wciągnęłam cię w swoje problemy.

- Nie rozumiesz? W nic mnie nie wciągasz, po prostu zanurzyłem się w tym po czubek głowy. Jestem z tobą tak związany, że nie pozbyłabyś się mnie, nawet gdybyś chciała.

Uśmiechnęła się niewesoło.

- John, wiem, że troszczysz się o mnie jak nikt i jest wiele rzeczy, za które powinnam być ci wdzięczna. Ale pomyśl tylko... Jeśli mój ojciec naprawdę nie żyje, to już nie musimy się martwić o moje bezpieczeństwo.

Nie odpowiedział. Skoro nie uwierzyła mu od razu, nie będzie próbował przekonać jej na siłę. Poza tym to i tak nie miało znaczenia. Richard Ponte mógł oszukać FBI, ale nie jego.

Richard zamówił obiad do apartamentu, poczekał, aż skończyli jeść, i dopiero wtedy przystąpił do ujawniania kolejnej części swojego planu.

Podszedł do szuflady, wyjął bilet lotniczy i podał Dieterowi.

- Spakuj walizki, zanim pójdziesz spać. Masz lot jutro o dziesiątej.
- Wspaniale - ucieszył się Dieter. - Stęskniłem się już za austriacką kawą.
- To będziesz musiał trochę poczekać, zanim ją wypijesz. Jeszcze nie wracamy do Europy.
- Dlaczego, szefie? Myślałem, że już po wszystkim i teraz zajmiemy się budowaniem nowego życia...

Dokąd mamy lecieć?

- Do Stanów.
 - Za nic! - Dieter podskoczył na równe nogi, odrzucił bilet i popatrzył na Richarda jak na szaleńca.
 - Siadaj i uspokój się!
 - Nie usiądę i nie uspokoję się! - ryknął Dieter. - Jeśli nie kupisz mi biletu do Austrii, to sam to zrobię!
- Richard podszedł do niego. Tylko centymetry dzieliły ich twarze. Był tak wściekły, że głos mu drżał.
- Pamiętaj, kim jesteś! - wysyczał. - I nie groź mi!
 - Wiem, kim jestem - odparował Dieter. - I wiem, kim ty jesteś. Może powinieneś zastrzelić mnie jako ostatniego świadka.

Richard był zdumiony. Nie przewidział takiej reakcji. Dieter zawsze był posłuszny jak dobrze wytresowany pies.

- Nie zamierzam cię zastrzelić, więc przestań dramatyzować.
- Nie dramatyzuję. Mówię całkiem poważnie!
- Co by cię przekonało do podjęcia ryzyka? - spytał Richard.
- Najpierw powiedz, po co je podejmujemy.
- Zemsta.
- Zemsta? Ale na kim? - Nagle dotarła do niego straszna prawda. - Nie! Za nic. Nie zabiję twojej córki.

Nawet nie zamierzam próbować. Już spotkałem tego Indiańca. Jest piekielnie groźny, choć uparcie twierdzisz, że jest inaczej. Nie ma takich pieniędzy, za które zgodziłbym się to zrobić, bo wiem, że nawet nie zdążyłbym ich wydać.

- Pięć milionów.

Dieter burknął coś niewyraźnie, przecierając twarz dłońmi.

- Ty draniu - wyszeptał po chwili.

Richard uśmiechnął się. Miał go. Teraz trzeba zrobić wszystko, byle tylko nie zerwał się z haczyka.

- Co konkretnie miałbym zrobić... szefie? - spytał Dieter.

- Tylko pomóż mi ją znaleźć, a ja załatwię resztę. Potrzebuję zaufanego kierowcy. Kogoś, kto by czekał i szybko ulotnił się ze mną, gdy będzie już po wszystkim.

Dieter zaczął się uspokajać.

- Słuchaj - naciskał Richard - władze wkrótce uznają mnie za zmarłego. Nikt nie będzie cię szukał.

Masz nowe dokumenty i zmieniony wygląd. Nie widzę problemu.

- Nie widzisz problemu, bo jesteś nie do rozpoznania! To ja mam problem. Cholera, ten Indianin mnie zabije...

- Sześć milionów.

Dieter zerknął na niego z niedowierzaniem.

- Czyżbyś oszalał? Chcesz zabić własne dziecko i zapłacić mi sześć milionów za podwiezienie?!

- Dziesięć.

Dieter opadł bez sił na kanapę.

- Nie masz już dostępu do swojego majątku - przypomniał. - Czy Anton Schloss ma takie pieniądze?

- Zawsze mam pieniądze - odparł z urazą Richard. - Zrobisz, co powiedziałem?

- Tylko jeśli forsa znajdzie się na moim koncie, zanim wyjdę z hotelu.
- Dawaj swój komputer - warknął Richard. Dieter przyniósł szybko laptopa. Miał bardzo złe przeczucia w związku z tą akcją, ale czegoś się chociaż nauczył. Nie raz słyszał, że każdy ma swoją cenę. Właśnie poznał swoją. I jeśli to cokolwiek tłumaczyło, nie sprzedał się tanio. Kilka minut później obserwował, jak jego konto gwałtownie spuchło. Patrzył na kolejne zera na ekranie i po prostu nie mógł uwierzyć. Ale stało się. Był zanurzony w tym bagnie po uszy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

John nie był w Savannah od czasu tamtego napadu na bank. Miał sentyment do tego uroczego miasta i wolałby przyjechać tu z Alicią z innych powodów niż spotkanie z agentami federalnymi.

Alicia była spięta, co doskonale rozumiał. To na pewno nie będą przyjemne przeżycia.

Choć wiedział, że Richard Ponte żyje, spodziewał się pozytywnego wyniku testu DNA. Nawet przez chwilę nie pozwalał sobie na niedocenywanie przeciwnika. Wiedział, że ten drań jest zdolny do wszystkiego i ma środki na zrealizowanie każdego pomysłu.

Problem polegał na tym, że po oficjalnym uznaniu Pontego za zmarłego, władze przestaną go ścigać, będzie mógł więc bez przeszkód poruszać się po świecie. Gdyby był mądry, zaszyłby się w kącie i żył spokojnie, ale coś mówiło Johnowi, że tak się nie stanie.

Delikatnie uściśnął dłoń Alicii.

- Damy radę - powiedział pocieszająco.

- Wiem, John. Dzięki tobie wierzę, że wszystko jest możliwe.

Uściśnął ją mocniej.

- Odkąd wkroczyłaś w moje życie, też tak uważam. Uśmiechnęła się lekko, oparła o fotel i pozwoliła, by

monotonny szum samochodu ukołysał ją do snu. Zanim dojechali do Savannah, zdążyła trochę odpocząć i była gotowa stawić czoło wydarzeniom.

Wreszcie John zaparkował przed szpitalem. Alicia uśmiechała się łagodnie przez sen. Wolałby ją tak zostawić, lecz nastał czas, by wrócić do rzeczywistości. Pocałował ją delikatnie.

- Och, nie... - westchnęła ciężko, widząc, że są już na miejscu.

- Trzymaj się, maleńka - szepnął. - Będę z tobą. Odetchnęła głęboko. Miał rację. Na razie chodziło tylko o próbkę DNA. O wyniki badań będzie się martwić później.

Po tygodniu ukazał się oficjalny komunikat, w którym podano do publicznej wiadomości, że ścigany za zdradę kraju Richard Ponte nie żyje. Stwierdzono ten fakt na podstawie zgodności DNA szczątków ludzkich znalezionych we wnętrzościach rekina z DNA Alicii Ponte.

Tym samym Alicia oficjalnie stała się sierotą.

Kiedy kancelaria prawna wydała w imieniu Alicii Ponte oświadczenie, że wszystkie firmy zbrojeniowe należące do imperium jej ojca wystawione są na sprzedaż, w świecie biznesu zawrzało.

Kiedy jednak ogłosiła, że cała kwota uzyskana ze sprzedaży zostanie przeznaczona na pomoc rodzinom żołnierzy poległych w Iraku, media ogłosiły ją współczesną Matką Teresą. Nie mogła nikomu przywrócić życia, chciała jednak zapewnić godziwy byt osieroconym rodzinom.

Otrzymała mnóstwo zaproszeń do programów telewizyjnych, wydawcy oferowali ogromne honoraria za

umowy wydawnicze, a Hollywood jeszcze większe za prawa do sfilmowania jej historii. Odmówiła wszystkim. Nie chciała przeżywać tego jeszcze raz. Marzyła, by jak najszybciej zapomnieć o tym koszmarze.

John rozumiał, jak bardzo było jej ciężko, ale nie mógł jej pomóc. Do tego każdym nerwem czuł, że Richard Ponte nie tylko żyje, ale wrócił do Stanów. Czuł to boleśnie, a w snach znów zaczęły go nawiedzać wizje masakry.

Kiedy nie leżał w łóżku w jej objęciach, wychodził na balkon i obserwował ocean, jak to robił wieki temu. I tak samo jak wtedy nie potrafił wytłumaczyć swoich lęków wodzowi Dwa Kruki, tak teraz nie umiał przekonać Alicii.

Wyczuwała jego niepokój, ale cokolwiek by powiedział, niezmiennie była przekonana o śmierci ojca. Wiedziała, że dręczą go koszmary. Wiele razy tylko udawała, że śpi, gdy budził się z krzykiem i wybiegał na balkon, a potem długo patrzył w ocean. W dzień też nie było lepiej. Nagle zrywał się z miejsca, rozglądał się nerwowo, wdrapywał się na skalisty brzeg i patrzył w bezkresną dal... Bała się jednak zapytać, co go tak martwi, bo nie chciała usłyszeć kolejnej tajemniczej, a może szalonej odpowiedzi.

- Ta suka wszystko rozdaje! - Richard był tak wściekły, że nabrzmiały mu żyły na szyi, a w kącikach ust pojawiła się piana. - Widziałeś to?! - wrzasnął, wskazując ekran telewizora. - Wystawia moje fabryki na sprzedaż, a pieniądze przekazuje pieprzonym żołnierzom! Nie może tego zrobić! Całe życie budowałem to imperium, a ona je niszczy! Jakie dziecko robi coś takiego swojemu ojcu?

- Może takie, którego ojciec już nie żyje? A przedtem próbował je zabić? - odpowiedział Dieter. Richard był tak zszokowany zuchwałą odpowiedzią, że zaniemówił. Niestety Dieter stracił dawną uległość i stawał się coraz bardziej arogancki, co Richardowi bardzo się nie podobało. Lecz zajmie się tym później. Teraz musi skupić się na swoim planie.

- Wypożyczyłeś motorówkę?

- Tak. Możemy ją odebrać każdego ranka po siódmej. Płatne z góry, razem z kaucją.

- W porządku... Chcę być na wodzie przed ósmą.

- Nie uda się tam dostać z lądu - ostrzegł Dieter. - Ten cholerny Indianiec zainstalował doskonały system alarmowy.

- To może trzeba się dostać z wody? - odpowiedział z sarkazmem Richard.

Dieter nie zwracał już uwagi na ten ton, choć były czasy, gdy ledwie zmarszczka na czole Richarda stawiała go na baczność.

- To za długi rejs dla tak małej łodzi. Dobra jest dla plażowiczów, którzy chcą popływać blisko brzegu, i jak tylko trochę zadmucha, zwiewają do przystani. A my nie możemy trzymać się lądu, strasznie wydłuży to trasę.

- Damy radę - upierał się Richard. - Załatw wszystko, co trzeba, i wróc przed wieczorem.

- Dobrze, mamusiu - odciął się Dieter i z trzaskiem zamknął drzwi.

Richard chwycił szklankę z wodą i cisnął za nim o ścianę. Potem złapał kapelusz i okulary i też wyszedł. Chciał ostatni raz przejechać obok swojego domu w Miami.

- Obudź się! Obudź się!

Usiadł gwałtownie. Wciąż słyszał ten krzyk, ten alert, lecz przecież nikt nie krzyczał, nie alarmował... na jawie. John wiedział swoje. Serce waliło mu mocno, ciało pokrywał pot. Pokój zalany był łagodnym światłem księżyca. Alicia spała smacznie. Ciężko podniósł się z łóżka i wyszedł na balkon. Chłodna bryza przyniosła ukojnie.

Księżyc roztaczał blady blask nad całą zatoką. Nic nie wyglądało podejrzanie, wszędzie panował spokój. Ale on słyszał głosy i wiedział, że nie wolno lekceważyć ostrzeżeń przodków.

Już chciał wracać do sypialni, gdy usłyszał miękki odgłos stóp Alicii. Obrócił się do niej i pomyślał: jest moja!

Wyglądała cudownie w świetle księżyca, z ciemnymi, potarganymi włosami i powiekami ciężkimi od snu. Była całkiem naga. Jej piersi zadrżały, gdy się do niej zbliżył. Zachęcały, wabiły... Wyciągnął ręce, by ująć słodki ciężar.

Przytuliła się do niego.

- Kolejny zły sen? - spytała.

Westchnął. Powinien był wiedzieć, że jej nie oszuka.

- Już minął. - Przytulił policzek do jej głowy.

- Jestem tu, John.

- Wiem, maleńka. Przepraszam, że cię obudziłem.

- Nieważne... - Wtulała się w niego, chłonęła cudowną bliskość i poczucie bezpieczeństwa, które jej dawał.

Było coś ważnego, czego jeszcze mu nie powiedziała. Coś, o czym myślała nieustannie od tygodnia. Gdzieś między spotkaniem na stacji benzynowej w Justice a pobytem w Sedonie niepostrzeżenie zmieniły się priorytety w jej życiu. Nagle pojawiły się sprawy ważniejsze niż wizyta u fryzjera i wakacyjne plany.

Chciała, aby jej życie nabrało sensu, by zaistniały w nim prawdziwe wartości.

I oto los wyszedł jej naprzeciw. Dostała dar, o który nie ośmielała się nawet prosić. Dar ważniejszy niż cokolwiek innego, co mogłoby ją w życiu spotkać.

Chciała porozmawiać o tym z Johnem, ale przez te złe sny i napięcie, w którym ostatnio żył, brakowało dobrej okazji. Uznała jednak, że właśnie teraz jest właściwy czas. Może to sprawi, że John oderwie myśli od ponurych przeczuć i choć na chwilę poczuje się szczęśliwy...

- John...

- Tak, maleńka? - spytał miękko, odsuwając zabłąkany kosmyk z jej oczu.

- Nie rozmawialiśmy dotąd o przyszłości... - zaczęła ostrożnie.

Pocałował ją czule.

- Ty jesteś w mojej przyszłości, a ja w twojej. Uśmiechnęła się. To była najlepsza odpowiedź, jaką mogła od niego usłyszeć. Sięgnęła po jego dłoń i położyła na swoim brzuchu.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo jesteś obecny w mojej przyszłości, John... i będziesz w niej przez najbliższych osiem miesięcy...

Aż bał się pomyśleć, co oznaczają te słowa.

- Alicio... O czym ty mówisz?

Ujęła jego drugą rękę i również umieściła na brzuchu.

- Tam, w środku jest dziecko - powiedziała po prostu. - Twoje... nasze dziecko, John.

Na jego twarzy pojawił się wyraz absolutnego szczęścia. Próbował coś powiedzieć, ale brakowało mu słów. Padł na kolana i przytulił twarz do jej brzucha. To było coś, o czym zawsze marzył, ale to marzenie skończyło

się wraz ze śmiercią Białej Sarenki. A teraz wróciło ze zwielokrotnioną siłą.

Wzruszona głaskała go po włosach.

- John, najdroższy... - szeptała. Dostrzegła łzy na jego policzkach.

Wstał i spojrzał jej prosto w oczy, nie wstydząc się swojego wzruszenia.

- Dzięki tobie jestem najszczęśliwszym z ludzi. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile to dla mnie znaczy.

Dziękuję, Alicio, za twoją miłość i za to, że nosisz nasze dziecko. - Otoczył dłońmi jej twarz, obsypał pocałunkami. Po chwili odsunął się nieco i powiedział z powagą:

- Pamiętasz, jak ci mówiłem, że jak będzie po wszystkim, spytam cię o coś?

- Tak.

- Cóż... wprawdzie jest trochę za wcześnie, ale dziecko zwiększa moje szanse.

- Jakie szanse? - spytała zdziwiona.

- Że powiesz „tak”, kiedy ci się oświadczę. Zaśmiała się.

- To miało być to pytanie? - Gdy pokiwał głową, dodała: - I myślisz, że na pewno się zgodzę, bo noszę twoje dziecko?

- Mam nadzieję, że to zwiększy moje szanse - przyznał z uśmiechem.

- Więc zgoda, mówię: tak - wyszeptała z czułością. - I jestem bardzo szczęśliwa, że będziemy mieli dziecko.

- Objęła go, a gdy uniosła ku Johnowi usta, blask księżyca oświetlił srebrne piórko w jego uchu.

Wydawało się mrugać jak niemy świadek ich sekretu. Pomyślała, że zaczyna mieć przywidzenia, więc oddała się czemuś o wiele bardziej realnemu...

O świcie opuścili Miami i wypłynęli na pełne wody. Łódź była bardzo szybka, paliwa mieli w bród, lecz gdyby ocean się wzburzył, taka łupinka nie miałaby szans w starciu z dużymi falami.

Richard siedział w fotelu na dziobie, krople wody rozbryzgiwały mu się na twarzy. Dręczył go niepokój, nie był on jednak związany z niebezpiecznym rejsem. Richard zastanawiał się, co powinien powiedzieć, żeby Alicia zrozumiała swoją zdradę i bezmiar winy, zanim skręci jej kark, ale nie mógł się na tym skupić, bo z każdym kolejnym kilometrem miał coraz silniejsze uczucie, że kiedyś już to przeżył. Już płynął po tych wodach, niecierpliwie wypatrując tamtego miejsca. Dla kogoś tak twardo stąpającego po ziemi to było coś koszmarnego. Absurd, który zawładnął umysłem.

Dieter stał u steru, pogrążony w ponurej zadumie. Dlaczego okazał się tak słaby? Dlaczego nadal tu jest? Nie chodziło przecież o pieniądze, bo już były na jego koncie. Mógł się ulotnić, a Ponte i tak nie odzyskałby forsy. Ale został. I nie ze strachu przed Richardem. Miał w sobie jakiś fatalizm, poczucie nieuchronnego losu, od którego wyroków nie ma ucieczki. Jakby wszechmocne fatum kierowało jego krokami, a on musiał podążać wyznaczoną drogą, nawet jeśli prowadziła do zguby...

Wiele już godzin pędzili przez fale, gdy Dieter krzyknął z ożywieniem:

- Patrz! To tam! - Pokazał coś w oddali. - Ten duży dom na urwisku należy do Nightwalkera.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu John obudził się szczęśliwy. Nieustannie myślał o cudownej nowinie, którą przekazała mu Alicia. Słyszał, jak śpiewała pod

prysznicem stare szlagiery. Wyszedł z łóżka i dołączył do niej.
Po śniadaniu ruszył do biura trochę popracować. Alicia pocałowała go na pożegnanie i poszła do biblioteki, żeby wybrać sobie coś do czytania.
Minęło kilka godzin, zanim uznał, że dość pracy na dzisiaj i przeciągnął zastygłe mięśnie. Gdy wyszedł z biura, uświadomił sobie, że dom wydaje się dziwnie opustoszały.
Zaczął wołać Alicię, ale nie odpowiadała. Pognał na piętro, ale tam też jej nie było. Sprawdził bibliotekę, taras i sypialnię - nigdzie ani śladu. W końcu wyskoczył na balkon i wtedy dostrzegł ją w dole. Spacerowała po plaży, trzymała buty w rękę i brodziła po kostki w wodzie.
Ogarnęło go okropne przeczucie. Kiedyś już tak stał, starając się dojrzeć w wiosce Białą Sarenkę... Spojrzał na ocean. Jakby usłyszał dźwięk silnika, choć w zasięgu wzroku nie zauważył nic podejrzanego.
Wszystko było jak wtedy.
Taki sam lęk.
To samo poczucie, że zbliża się zło.
Ciało Johna przeszywał ból. Duch Vargasa był blisko, tak blisko, jak nigdy dotąd. Dostrzegął w tym okrutną ironię losu. Przez pięćset lat szukał swojego wroga we wszystkich zakątkach świata, a teraz Vargas sam przychodzi do niego, wraca na miejsce zbrodni.
Krzyczał do niej, żeby uciekała, ale nie słyszała go, szum oceanu zagłuszał jego głos. Gdyby tylko nie była tak daleko... Już miał opuścić balkon, gdy u wejścia do zatoki pojawiła się łódź motorowa.
Jednak zamiast przeciąć zatokę, kierowała się wprost do brzegu.

Alicia nie chciała przeszkadzać Johnowi, dlatego poszła na spacer. Brodziła po płytkiej wodzie i choć nigdy wcześniej tu nie była, otoczenie wydało jej się dziwnie znajome.

Dzień był bardzo upalny, ale zimne fale przynosiły miłą ochłodę.

Nie wiedziała, jak długo już tak chodzi, gdy usłyszała szum silnika. Zatrzymała się, osłoniła oczy od słońca i spojrzała na zatokę. Nagle dostrzegła pędzącą łódź, która wyłoniła się zza cypla.

Patrzyła na chmurę pyłu wodnego wzbijaną przez motorówkę, gdy dobiegł do niej krzyk Johna.

Obróciła się w stronę domu i zobaczyła, że szaleńczo stara się dać jej jakieś znaki. Musiało dziać się coś złego. Wychwyciła jedno słowo:

- Uciekaj! - wrzeszczał John.

Znów obróciła się do oceanu. Łódź pędziła wprost na nią.

Rzuciła buty i zaczęła biec, niemal frunąc przez wydmy, przeskakując kępy traw, ledwie świadoma tego, że z drugiej strony John nadbiegał ku niej z nożem wetkniętym w cholewę i z karabinem w dłoni. Bez tchu biegła w jego kierunku, gdy nagle zaczęło dziać się coś dziwnego. Jakieś straszne, oderwane sceny błyskały przed jej oczami.

Biegła przez wioskę. Wszystkie chaty płonęły. Dym był wszędzie, miała go w oczach i ustach. Słyszała okrzyki strachu i bólu, a potem indiański okrzyk wojenny. Wiatr porwał jej włosy i uderzał nimi o twarz. Nigdzie nie mogła dostrzec Johna, co jeszcze bardziej wzmoгло jej przerażenie.

Była uwięziona gdzieś między teraźniejszością a przeszłością. Pędziła przed siebie, by ocalić życie, jak raz to już robiła - w tym samym miejscu, w obecności tego samego mężczyzny, ale w innym czasie. Nagle tuż przed nią pojawiła się wysoka postać. Krzyknęła więc i upadła. Poczowała, że pali ją krtań. Kiedy jej dotknęła, poczuła krew. Z jej gardła wyrwał się rozpaczliwy krzyk, który przemierzał stulecia.

Wołała Johna.

Richard czujnie rozglądał się wokoło. Zarys urwiska i linia brzegowa wydały mu się dziwnie znajome. Miał niejasne wrażenie, że już tu kiedyś był. Odrzucił je szybko, tłumacząc sobie, że te majaki są wynikiem napiętych nerwów.

Nagle dostrzegł jakiś ruch na plaży i rozpoznał wysoką, smukłą sylwetkę córki. Chwycił Dietera za ramię, wskazał kierunek i krzyknął:

- Tam! Patrz! Na brzegu! Sama wpada w moje ręce! - ucieszył się. - Zobaczyła nas, cholera, ucieka! Szybciej! Szybciej!

Silnik ryczał pełną mocą. Im bardziej zbliżali się do celu, tym bardziej Dieter był pewien, że nie wyjdzie stąd żywy.

- Dobijaj do brzegu! - wrzeszczał Richard.

Po chwili łódź osiadła na piasku, silnik zadławił się i zgasł.

- Ucieka! Łap ją!

Dieter odwrócił się gwałtownie.

- Miałem cię tu tylko przywieźć - rzucił twardo. Richard wyciągnął pistolet i przystawił mu do głowy.

- Goń ją albo umrzesz - syknął. - Twój wybór. Oczy Dietera błysnęły dziko. Odtrącił broń, a potem

wyskoczył z łodzi. Biegł długimi susami. Gdy dzieliło go od Alicii kilkanaście metrów, potknęła się i upadła. Miał ją.

Nie dostrzegł Johna, który pędził przez wydmy, ale usłyszał huk jedno uderzenie serca wcześniej, zanim pocisk uderzył go w prawe oko i wyszedł tyłem, rozrywając czaszkę.

Richard był kilkadziesiąt metrów dalej, gdy usłyszał strzał i zobaczył mgiełkę krwi tryskającą z głowy Dietera. Zawahał się. Nie wiedział, czy biec dalej, czy uciekać. Ale gdy zobaczył, że córka leży na piasku, podjął decyzję.

Alicia wydostała się spod ciała Dietera i chwiejnie stanęła na nogach, lecz zaraz dopadł ją Richard i znów powalił na ziemię. Runęli na piasek i przetoczyli się kilka razy. Broń wypadła Richardowi z kieszeni, ale nie szukał jej. I tak sobie poradzi. Przewrócił Alicię na plecy, usiadł na niej, zacisnął mocno palce na jej szyi i krzyknął:

- Zniszczyłaś mnie! Zniszczyłaś wszystko, co stworzyłem! Córka nie ma prawa tak robić! - wrzeszczał z narastającą furją.

Nie czuł, że biła go, drapała, walczyła z całych sił.

- Ty suko! - ciągnął wściekle. - Zniszczyłaś mnie, a teraz trwonisz mój majątek! Jakie to uczucie wiedzieć, że wkrótce umrzesz?

Nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Człowiek, który ją powalił i przyduszał do ziemi, wyglądał całkiem obco, ale głos doskonale znała, słyszała go przez całe życie. Więc John miał rację. Jej ojciec nie umarł. Ale ona też nie może umrzeć, nie teraz, kiedy nosi pod sercem nowe życie.

Póki starczało jej sił, walczyła, wołała Johna, kopała,

waliła pięściami. Richard bezlitośnie oddawał razy, aż w końcu uderzył ją w głowę i straciła przytomność.

Oddychał z trudem. Czuł ciężar w piersi, cały spływał potem. Teraz muszę znaleźć broń, pomyślał. Nagle usłyszał czyjeś kroki. Indianin! Rozejrzał się nerwowo.

Był z pięćdziesiąt metrów dalej, nadbiegał długimi susami. Ogarnięty paniką Richard zsunął się z ciała Alicii i nerwowo przekopywał sypki piasek w poszukiwaniu broni. Spojrzał znów. Indianin był coraz bliżej. Nadbiegał z okrzykiem, który go przerażał, a on wciąż nie mógł znaleźć pistoletu.

Nagle zrobiło się chłodniej, poczuł na twarzy zimny deszcz. W nosie miał odór spalonych ciał, a ubranie spływało krwią. Wokół biegali mężczyźni w dziwnych ubraniach, mordowali, palili i śmiali się dziko. Miał dziwne wrażenie, jakby stał gdzieś poza swoim ciałem i obserwował tę scenę z boku. Wokół było wielu dzikusów, ale większość leżała już martwa lub konała, z deszczem w ziemię spływała krew. Nagle pojawił się ogromny dzikus, wyglądał jak Night-walker. Wybiegł z lasu z okrzykiem wojennym, dzierżył łuk. Deszcz przebiegał po kręgosłupie Richarda, gdy Indianin strzelał, ciął i wybijał w pień jego ludzi.

Kiedy Indianin spojrział na niego, Richard zrozumiał, że będzie następny. I nagle dzikus był już przy nim, krzycząc coś w języku, którego Richard nie rozumiał.

Wszystko wokół Johna wydawało się rozgrywać w zwolnionym tempie. Nie umiał nawet powiedzieć, które z postaci to duchy nawiedzające to miejsce, a które to ludzie przybyli w motorówce. Słyszał tylko Alicię wykrzykującą jego imię. Wpadł spośród drzew, gdy Dieter już miał ją pochwycić. Na ten widok ogarnęło go

dzikie szaleństwo. Tylko nie to! Nie przeżyje tego po raz drugi!

Nie przerywając biegu, strzelił z biodra, powalając Dietera jednym pociskiem. To się nie zdarza, tak się nie trafia do celu, lecz była to godzina duchów.

John pędził w kierunku drugiego mężczyzny. Chociaż nie wyglądał jak Richard Ponte, wiedział, że to on. Biegł, czując znajomy ból, tętno krwi i bicie serca Vargasa. Czuł strach, który rósł w złości.

A więc ta mroczna dusza rzeczywiście wróciła na miejsce przestępstwa...

John uniósł strzelbę nad głowę i wydał okrzyk wojenny. Przyłożył kolbę do ramienia i już miał pociągnąć za spust, gdy Alicia chwiejnie wstała i znalazła się na linii strzału.

- Padnij! - krzyczał, lecz ona szła dalej.

Nie mógł strzelić z takiego kąta, a drań był coraz bliżej Alicii. Wreszcie ją dopadł i powalił. John pomyślał o dziecku i pomknął co sił w nogach. Niestety przez ostatnich pięćset lat nieco tu się zmieniło, narosła warstwa piasku, co go skutecznie hamowało.

Ze szczytu następnej wydmy zobaczył, jak Ponte usiadł na Alicii. Gdy chwycił ją za gardło, John zawył z gniewu. Potem drań uniósł pięść i zamroczył ją.

Gdy Alicia zemdląca, miał czyste pole do strzału. Pierwszy pocisk uderzył Vargasa w ramię, drugi otarł się o czoło. Upadł z wrzaskiem, krew buchała z jego ran i wsiąkała w piach. John nie mógł już oddać trzeciego strzału, bo łajdak tak upadł, że Alicia znów przesłoniła cel.

Ponte uniósł się. W dłoni miał pistolet, celował w Johna. Pierwsze dwa pociski chybiły, ale trzeci zranił go boleśnie.

Zachwiał się, uniósł karabin, by strzelić znowu, ale magazynek był pusty. Wtedy zobaczył, jak Ponte kieruje broń w stronę Alicii.

- Nie! - krzyknął, wyciągnął nóż z cholewy i rzucił. Richard patrzył przerażony na rękojeść wystającą z jego piersi, potem spojrzął na Nightwalkera. Wydało mu się, że widzi półnagiego Indianina biegnącego ku niemu z długą włócznią... i poczuł ulgę, że wreszcie wszystko się skończy. Ogarnęła go ciemność, opadł na ciało córki.

Z trudem panując nad bólem w ramieniu, John przebiegł ostatnie metry i gwałtownym szarpnięciem ściągnął zwłoki Richarda z Alicii.

Klęknął i spojrzął na nią ze strachem. Cała pokryta była krwią.

- Błagam, niech to będzie jego krew - zaklinał los, próbując wyczuć tętno na szyi. Bez skutku. - Nie... Proszę, nie! - Nagle poczuł pod palcami regularne uderzenia. - Dzięki ci, Boże! - powiedział miękko, wziął Alicię w ramiona i długo kołysał.

Jego gniew minął w chwili, gdy Richard Ponte wydał ostatnie tchnienie. W tym samym momencie skończyła się też jego nieśmiertelność, bo rana nie goiła się, a krew spływała po ramieniu.

- Niech i tak będzie... - mruknął, po czym wyciągnął nóż z piersi Richarda, wbił go kilka razy w piasek dla oczyszczenia i schował do buta.

Chwiejnie stanął na nogach, zagryzając zęby z bólu, i podniósł Alicię. Z trudem przeniósł ją pod niewysokie drzewka, gdzie ułożył ją na trawie.

Przez kilka sekund oddychał głęboko i pocierał twarz dłońmi, aż wreszcie wyciągnął telefon, wybrał numer i usłyszał:

- Corbin Woodliff, słucham.
 - Witaj, Corbin. Mam dla ciebie obiecaną historię, ale najpierw musisz gdzieś zadzwonić.
 - Co znowu? - zdziwił się Corbin. - I gdzie właściwie jesteś?
 - W mojej posiadłości na plaży, w Georgii. Musisz zadzwonić do FBI, trzeba tu trochę posprzątać.
 - O czym ty, do cholery, mówisz?
 - Na mojej plaży leżą dwa ciała. Jeden z nich to Dieter Bahn, a drugi to Richard Ponte.
 - Oszalałeś?! Ponte nie żyje!
 - Teraz już nie. Zapytaj swoich kolegów z FBI, czy zastrzegają sobie prawo do ogłoszenia tej historii, czy mam zadzwonić do lokalnych władz, by obwieściły światu tę sensację. Przykro mi to mówić, przyjacielu, ale Ponte wystrychnął ich na dudka. Zrobił sobie operację plastyczną i zmylił tropy dzięki resztkom tkanki wrzuconym do brzucha rekina.
 - Jezu, ty nie żartujesz.... - Głos Corbina aż zadrżał z emocji.
- Zanim zdążył odpowiedzieć, Alicia jęknęła. Odzyskiwała świadomość, gdy on ją tracił. Potrzebowali pomocy, i to szybko.
- Corbin, muszę zadzwonić po karetkę. Popędź federalnych, żeby zabrali ciała, zanim zrobi to przypływ. - Skończył rozmowę i wybrał kolejny numer.
 - Pogotowie, przyjmuję zgłoszenie.
 - Cześć, Sandy, tu John Nightwalker.
 - Cześć, John, wszystko w porządku?
 - Nie, całkiem nie w porządku. Mam kulę w ramieniu i trzymam w ramionach nieprzytomną kobietę. Jesteśmy na plaży poniżej mojego domu. Mogłabyś tu kogoś przysłać?

- John, trzymajcie się! Pomoc będzie, zanim się obejrzysz. Mam zawiadomić policję?

- Możesz kogoś przysłać, ale powiedz im, że w drodze jest już FBI.

- John, wytrzymajcie jeszcze trochę. Wysyłam karetkę.

Oparł się o pień drzewa i patrzył na Alicię. Twarz miała obitą i poranioną, ale powieki zatrzepotały lekko, a kiedy usłyszał jej jęk, ogarnęła go taka ulga, że ledwie mógł się poruszyć. I nagle stało się coś niezwykłego. Było to wrażenie tak ulotne, że niemal mu umknęło. Nagle jej rysy się rozmazały i na chwilę zobaczył ciemniejszą skórę, szerszy nos i usta zawsze ułożone do uśmiechu.

- Widziałem cię - powiedział miękko, a potem przytulił ją mocniej i przymknął oczy.

Alicia ocknęła się z obolałą twarzą i strachem w sercu, ale ku swej uldze zorientowała się, że leży bezpiecznie w ramionach Johna. Zaraz potem dostrzegła, że jego twarz jest niemal popielato blada, a z ramienia sączy się krew. Zapomniała o swoim bólu i wysunęła się z jego objęć.

- John! John! - wołała.

Nie odpowiadał. Serce w niej zamarło. Rozchyliła koszulę i modliła się, by rana zniknęła, jak zawsze do tej pory, ale krew płynęła dalej.

- Pomóż mi, Boże - szeptała przerażona. Delikatnie ściągnęła jego koszulę, by wykorzystać ją jako opatrunek. Gdy zaczęła owijać mu ramię, jęknął głucho.

- John... John! - zawołała. - To ja, Alicia. Co z tobą? Wszystko dobrze?

311

Jęknął znowu, a potem otworzył oczy i uśmiechnął się lekko.

- Nie, nie jest dobrze. Mam dziurę po kuli w ramieniu. Boli...

- Dlaczego się nie goi? - denerwowała się. - Zawsze tak się działo. Leczyłeś się w mig. No, zrób to! I to szybko, bo tracisz mnóstwo krwi!

- Nie leczyłem się sam - wyszeptał. - To się działo, bo nie mogłem umrzeć, dopóki nie pokonam mojego wroga. Teraz wszystko się zmieniło...

I wtedy sobie przypomniała. Jej ojciec. Dieter. Byli tu. Ostrożnie obejrzała się za siebie i parę metrów dalej dojrzała leżące ciała. Miała dziwne poczucie ulgi. Jej ojciec leżał martwy, a ona czuła ulgę.

Obróciła się do Johna, jej oczy wypełniły się łzami. Zaczął do niej docierać koszmar, który przeżyli.

- John... miałaś rację - mówiła drżącym głosem. - Mój ojciec wcale nie był martwy. Próbował mnie zabić. Naprawdę próbował!

Zacząła płakać wielkimi, cichymi łzami, które raniły jego serce. Zdrową ręką ostrożnie przytulił ją do siebie, a potem uniósł dłoń Alicii do ust. Całował każdy siniak i zadrapanie, a między pocałunkami składał obietnice:

- To się już nie zdarzy. Nikt więcej cię nie skrzywdzi. Jestem tego pewien. - Nagle poczuł, że obraz przed jego oczami zaczyna falować. To źle wróżyło. Miał nadzieję, że karetka szybko przyjedzie.

- Kto cię postrzelił? - spytała. - Ojciec czy Dieter? Zdziwił się. Czyżby niczego nie pamiętała? Zresztą może tak jest lepiej... Usłyszeli dźwięk syren.

- Wreszcie - mruknął John.

Nadjechał policyjny wóz patrolowy, a zaraz po nim

karetka. Alicia wstała i zaczęła machać rękoma, by ich szybciej znaleźli.

- Już nadchodzi pomoc, kochany. - Znow uklękła obok niego. - Wszystko będzie dobrze.

John chwycił ją mocno za rękę.

- Pomóż mi wstać - poprosił.

- Lepiej zaczekaj na sanitariuszy... - Gdy jednak zobaczyła, że sam próbuje się podnieść, podparła go ramieniem.

- Czekałem na to zbyt długo, Alicio. Nie chcę już dłużej tego odkładać. Czas zacząć nowe życie. - Pocałował ją czule.

EPILOG

Zatrzymał się przed domem i wysiadł z samochodu. Przez otwarte drzwi dobiegł go najpierw cieniutki pisk, a potem głośny dziecięcy śmiech.

Serce podskoczyło mu z radości, jak zawsze, gdy widział swoją rodzinę. Nawet jeśli, jak dziś, rozstał się z nimi tylko na dwie godziny, żeby zrobić zakupy w Justice i odebrać pocztę.

- Tata włócił! Tata! - usłyszał, ledwie przekroczył próg.

Z kuchni wybiegła jego śliczna córeczka Annie. Zobaczył, że znowu ma na sobie tylko różowe majteczki z Kopciuszkiem. Uśmiechnął się do niej.

- Hej, goła księżniczko! - zawołał, chwycił ją w biegu i pocałował w policzek, a potem pieszczotliwie pociągnął za ciemne warkoczyki. - Słuchałaś się mamy?

- Tak, tatusiu. - Jej oczy się śmiały. - Psywiozłeś mi coś?

- Sam nie wiem. Trzeba by zajrzeć do kieszeni... Zręczna łapka migiem wyciągnęła paczkę kolorowych żelków.

- Gumisie! - zawołała rozradowana Annie.

John poszedł do kuchni i uśmiechnął się do żony. Cztery lata temu burzliwie wkroczyła w jego życie i od tamtej pory nic już nie było takie samo. Nie potrafiłby znaleźć słów, by opisać, jak bardzo ją kochał. Ona i dzieci, które mu dawała, były jego największym skarbem.

Spojrzał na tłuściutkiego chłopczyka opartego na jej biodrze. Małe oczka były czarne jak węgielki, a sterczące włoski ciemne jak skrzydło kruka. Gdy dostrzegł ojca, klasnął radośnie i roześmiał się.

- A czy ten mały mężczyzna był dobry dla swojej mamy? - spytał, obejmując oboje.

- Nie. - Alicia przewróciła oczami.

John zaśmiał się i delikatnie pogładził włoski synka.

Pocałował Alicię, która jęknęła, czując dotyk jego ust, a potem odchyliła się lekko i spojrzała mu prosto w oczy.

- A mnie też coś przyniosłeś?

Był w tym pytaniu żart, miłość, uśmiech i namiętność. Po raz kolejny pomyślał, że nigdy nie będzie miał dość tej kobiety.

- Tak, kochanie - odparł czule. - Przyniosłem coś, co ci się spodoba... Tylko musisz poczekać do wieczora, żeby to dostać.

Alicia westchnęła. Jak on to robi? Po czterech latach małżeństwa wciąż sam jego głos wywoływał u niej rozkoszne dreszcze.

- Mam wrażenie, że całe życie czekałam, byś pojawił się w moim życiu, więc mogę poczekać jeszcze kilka godzin - zgodziła się z uśmiechem. - Chodź, Annie

- zawołała córeczkę. - Schowamy trochę tych misiów...

- A widząc smutny wzrok dziewczynki, dodała szybko:

- Jak tylko tata odniesie listy, pomożesz mu wypakować

zakupy z samochodu, bo sam sobie nie poradzi. - Mrugnęła do niego i uśmiechnęła się, zanim odeszli. Zostawił listy w gabinecie i szybko podążył w ślad za rozlegającymi się w korytarzu śmiechami trzech istot, które nadały sens jego życiu. Każda chwila bez nich wydawała się stracona, a on nie chciał tracić ani minuty z tych lat, które mu pozostały.